W NUMERZE: TADEUSZ GÓRSKI mówi o stanie sanitarnym Łodzi (3), WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI opowiada o swoim 35-leciu (5), JERZY BINDER opisuje zbrodnię w osadzie nad Łódką (4), MAŁGORZATA GOLICKA rozmawia z PHILIPPEM GREFFETEM o kulturze francuskiej i nauce języka (9), KONRAD FREJDLICH z radzieckim pisarzem SIERGIEJEM BARUZDINEM o literaturze narodów ZSRR (10), wiersze MICHAŁA M. SZARGANA (10), Recenzje, felietony, „Załącznik".

W NASTĘPNYM NUMERZE: między innymi: Apoloniusz Zawilski „Budzenie olbrzyma", Lucjusz Włodkowski „Widzew: kto i za co odpowiada", Eugeniusz Iwanicki „Trwa wojna o „Venus".

tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 47 (1046) ROK XXII 25 LISTOPADA 1979 R. CENA 3 ZŁ

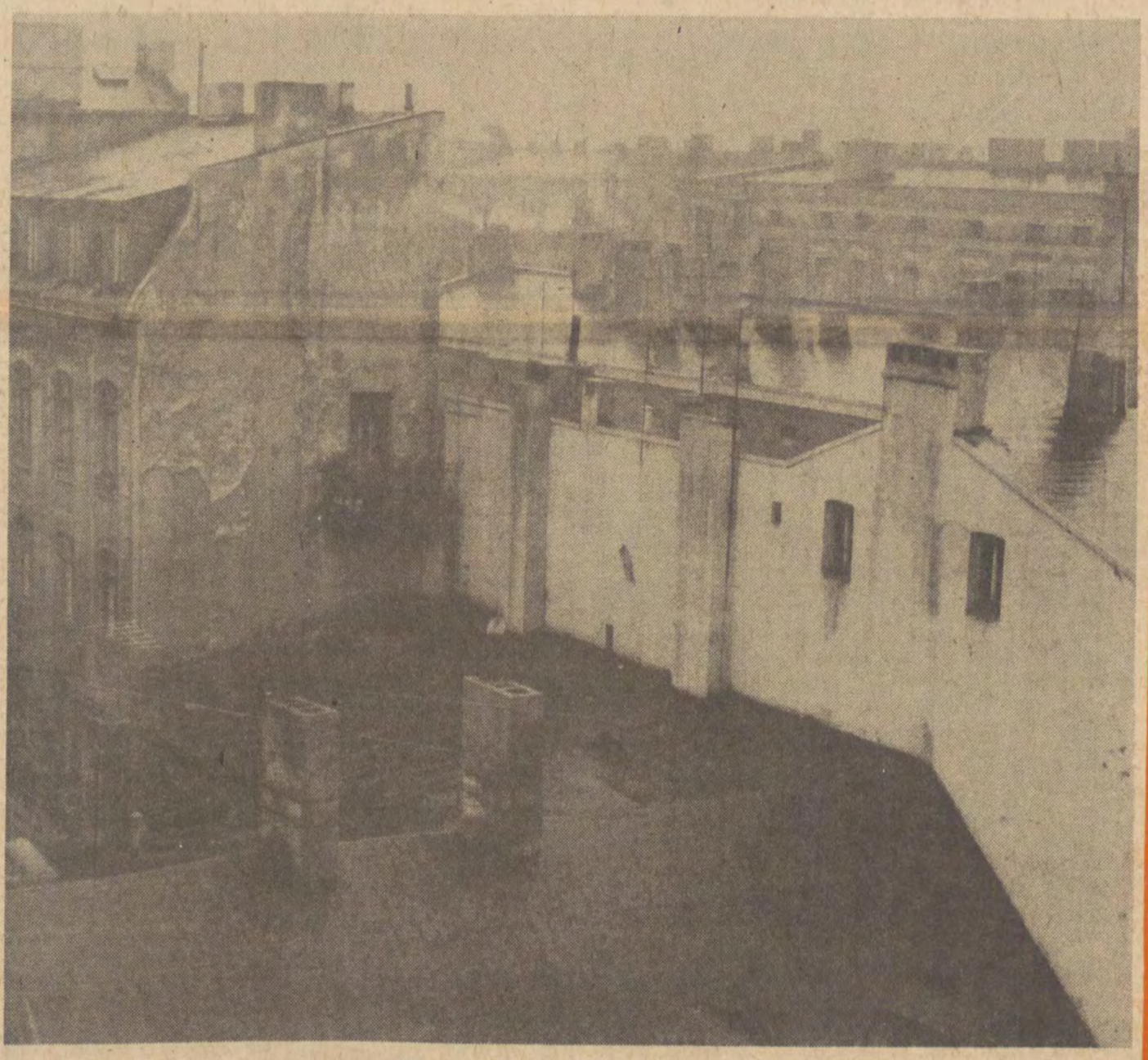

Foto: R. Łucyszyn

WRÓG POD MIKROSKOPEM

czytaj strona 3

ANDRZEJ MAKOWIECKI

CORRIDA NA PLAZA DE TOROS

(korespondencja z Hiszpanii)

Środkiem placu przeciągnął orszak, trzy czarne, znużone konie, na pierwszym człowiek z żelaznymi okuciami w butach, drugi (koń nie człowiek) przywiązany był postronkiem do ogona pierwszego, a trzeci łańcuchem do szyi drugiego.

Zniknęli w bramie na tyłach pałacu, gdzie stała służba porządkowa i policja oraz parę ciężarowych samochodów, którymi przewozi się byki; wionęło (nie od byków, tylko z pustych samochodów) piżmem i sierścią, a przez wąskie, wycięte w bramie drzwi widać było piaszczysty, prostokątny wybieg, na którym ćwiczyły konie pikadorów — przysadziste belgi o bokach wyłożonych grubą matą, spoza której wystawały tylko dołem pęciny, a górą grzbiet, głowa i ogon.

Człap, człap, w tę i z powrotem, bez iskierki entuzjazmu, wokół zaś gromadzili się ludzie, niektórzy przebrani już, niektórzy w cywilu, szczupli i tędzy, ważni i mniej ważni, pierwszych podwoziły do wejścia luksusowe limuzyny, drudzy przybywali pieszo, dźwigając w rękach skórzane torby ze sprzętem, jedni palili cygara, oprawione w ogromne, srebrne fify, innym wystarczał papieros albo przygryzane ukradkiem paznokcie.

Obcych nie wpuszczano. Główne wejście, Senor. Ktoś ponad głowami policjantów i porządkowych usiłował zrobić zdjęcie dwóm objuczonym, człapiącym wciąż miarowo dookoła wybiegu belgom pikadorów.

Tymczasem centralny plac i jego zachodnie pobocze, zapełniało się samochodami i autokarami. Chodniki, zdeptane kiedyś nogami Hemingwaya, roiły się ludźmi.

Wielka, nadzwyczajna przedostatnia w sezonie...

CORRIDA DE TOROS.

Sześć znakomitych byków ze sławnej hodowli Garcii Romero w Yerez de La Frontera zostanie skłutych przez pikadorów i banderilleros, a następnie uśmierconych przez szpady matadorów. Wystąpią:

Sandez Bejarano.
Curro Mendez.
oraz
Rayito de Venezuela.

Dokładnie godzinę przed terminem zaczęto wpuszczać publiczność. Podszedł do mnie człowiek z naręczem skórzanych poduszek.

— *Una almohadilla, amigo!*
— Nie, dziękuję.

Zacząłem piąć się po schodach tego ogromnego, masywnego gmachu, nazwanego nie bez racji pałacem. Ma kształt rotundy i na każdym piętrze można go obejść dookoła, na każdym piętrze są otwory, z których ujrzysz dowolny punkt Plaza de Toros, a kiedy przyglądasz się konstrukcji od wewnątrz, to widzisz, że zrobiona jest z cegły w kolorze bordo i że sklepienia otworów zwieńczonych łagodnym łukiem inkrustowane są mozaiką na modłę zamków mauretańskich.

Wchodzę na trzecie piętro omijając póki co bramę numer siedem, za którą mieści się mój sektor. Ustępy dla mężczyzn, toalety dla pań, piwo, dmuchany ryż, cukierki. Krążę wokół kamiennego, mrocznego korytarza, wystawiając tu i ówdzie głowę przez otwór — plac i parking zatłoczone są coraz bardziej, tłum Japończyków w czerwonych dresach podąża do wejścia; jest trochę Amerykanów i trochę Anglików, ale w sumie przeważają Hiszpanie, prawdziwi aficionados, sezon turystyczny skończył się bowiem na dobre, i tu, na centralnym placu toreadorów, największym i najsławniejszym w Hiszpanii, ma się odbyć prawdziwa, krwawa corrida, a nie żadna lipna pokazówka dla cudzoziemców.

Dalszy ciąg na str. 7

BYŁEM NA WOJNIE

Rozmowa z SIERGIEJEM BARUZDINEM

— Jest Pan redaktorem naczelnym miesięcznika „Drużba narodów" (Przyjaźń narodów), który, jak mi wiadomo, ma na celu przede wszystkim zapoznanie czytelnika rosyjskiego z dokonaniami literatur narodowych w Związku Radzieckim. Czy ten program, sformułowany bodaj przez Gorkiego, jest w dalszym ciągu nienaruszalną zasadą waszego pisma?

— Czasopismo nasze istnieje już czterdzieści lat. Założył je Gorki, który rzeczywiście określił cele „Drużby narodów" tak, jak to Pan sformułował w swoim pytaniu. W pierwszym okresie nie było więc na naszych łamach miejsca nawet dla rosyjskiej literatury radzieckiej. Stopniowo jednak formuła rozszerzała się. Cóż, z gazetą jest jak z człowiekiem. Zmienia się. Dziś nie tylko znaczną część jej objętości zajmują utwory pisarzy rosyjskich, ale nawet przekłady z literatury światowej. Język rosyjski upowszechnił się, za pośrednictwem rosyjskiego przekładu Tadżyk może poznać np. gruzińską poezję, Łotysz azerbejdżańską prozę itd.

Dalszy ciąg na str. 10—11

JACEK INDELAK

MPK: MOŻLIWOŚCI I OCZEKIWANIA

Długie stoły konferencyjne zasłane zielonym suknem. Skromnie przystrojone podium, ponad które wznosi się mównica, sąsiadująca ze stołem prezydialnym. Z boku bogato zdobione sztandary: organizacji partyjnej i młodzieżowej, związków zawodowych.

Wśród zgromadzonych na sali — odświętnie ubranych, udekorowanych odznaczeniami — jest wielu takich, z którymi my, mieszkańcy województwa łódzkiego, stykamy się na co dzień. Obradują przedstawiciele organizacji partyjnej, jednej z największych nie tylko w naszym mieście.

— *Upływającą dziś kadencję zakładowa organizacja partyjna rozpoczęła w liczbie 1414 towarzyszy, w tym: robotników — 1041, pracowników umysłowych — 373* — informuje Jerzy Niewola, składając przed konferencją partyjną sprawozdanie egzekutywy KZ PZPR. — *W okresie kadencji nastąpił dynamiczny rozwój szeregów partyjnych, zakładowa organizacja partyjna na dzień dzisiejszy liczy 2008 towarzyszy.*

Obraduje organizacja partyjna, do której należy dziś co trzeci pracownik MIEJSKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA KOMUNIKACYJNEGO w Łodzi.

1999 legitymacja partyjna w MPK — dla DANUTY RZEŹNIK-BANAT z Zakładu Remontu Taboru, 2000 legitymacja — dla kierowcy autobusu, ANDRZEJA JĘDRZEJCZAKA, 2001 legitymacja — dla JADWIGI JÓŹWIAK, pracującej w charakterze motorniczego na łódzkich tramwajach. Ta właśnie trójka otrzymuje dziś legitymacje partyjne.

Przewodniczący zebrania — LESZEK PIASECZNY i WIESŁAW WOŁOSZYN — zapowiadają następny punkt obrad.

— *Dynamiczny rozwój budownictwa mieszkaniowego* — przypomniał w swoim referacie Eugeniusz Polak, dyrektor naczelny przedsiębiorstwa — *całej infrastruktury komunalnej, rozwój inwestycji przemysłowych wyznaczyły i wyznaczają dla komunikacji miejskiej nowe ilościowo i jakościowo zadania. O ile w roku 1970 przewieźliśmy środkami komunikacji miejskiej 509 mln pasażerów, to już w roku 1978 wielkość ta wzrosła do 833 mln pasażerów i wzrasta nadal. Długość linii tramwajowych i autobusowych wzrosła z 654 km w roku 1970 do 1 028 km w roku 1978, w tym linii autobusowych z 207 km do 505 km.*

Przypomnijmy, że w tym okresie:

- przebudowana została trasa na ul. Aleksandrowskiej, co umożliwiło stworzenie komunikacji tramwajowej na Teofilowie, mieszkalnym i przemysłowym;
- ułożono nowe tory tramwajowe w al. Włókniarzy, ul. Rzgowskiej za torem kolejowym, ul. Przybyszewskiego i Lodowej, ul. Marchlewskiego;
- przebudowano trasę i zorganizowano komunikację tramwajową dla obsługi osiedla Retkinia;
- uruchomiono komunikację autobusową w nowych osiedlach mieszkaniowych — Karolew, Retkinia, Radogoszcz, Widzew-Wschód i Łagiewnicka-Inflancka oraz w dzielnicach przemysłowych — Dąbrowa i Nowe Sady;
- wprowadzono stałą komunikację autobusową w Zgierzu, Pabianicach i Głownie;
- wybudowano zajezdnię autobusową na Nowych Sadach;
- rozpoczęto budowę zajezdni tramwajowej przy ul. Telefonicznej.

— *Inwestycje te mają kluczowe znaczenie dla rozwoju komunikacji miejskiej* — stwierdza Eugeniusz Polak — *i jakkolwiek nie rozwiążują całkowicie naszych potrzeb, to bez ich realizacji nie do pomyślenia byłoby zaspokojenie usług komunikacyjnych w wymiarach wyznaczonych społeczno-gospodarczymi potrzebami województwa.*

A potrzeby te są ogromne. W roku 1976 MPK przewiozło 743 mln osób. Natomiast w roku 1978 liczba pasażerów wyniosła 833 mln tj. o 90 mln więcej. Tabor MPK w tym okresie wzrósł tylko o 27 autobusów. Zmniejszył się natomiast o 3 jednostki tabor tramwajowy. Zapewnienie takiego wzrostu ilościowego usług było możliwe dzięki bardziej efektywnemu gospodarowaniu posiadanymi środkami, chociaż warunki przewozów uległy pogorszeniu na skutek wydłużenia się drogi podróży i wzrostu ilości przewożonych pasażerów.

— *Stąd też i jakość naszych usług nie jest zadowalająca i spotyka się ze słuszną krytyką mieszkańców województwa* — powie w pewnym momencie Eugeniusz Polak.

Słuszności tego sformułowania nie podważają inni uczestnicy konferencji. Bo rzeczywiście:

- Jedną trzecią taboru autobusowego stanowią autobusy „Berliet", których nieprzystosowanie do komunikacji miejskiej, istotne błędy konstrukcyjne i wysokie koszty eksploatacji nie ulegają już kwestii. Ich silniki osiągają średni przebieg w granicach 37 tysięcy km, podczas gdy silniki „Jelcza" mają przebiegi 8-krotnie wyższe. Ze względu na braki dostaw części i podzespołów tylko w tym roku wyłączono z eksploatacji 50 autobusów tego typu. „Jelcze", które składają się na pozostałą część taboru, w większości nadają się już do likwidacji. Na domiar złego dostawy „Berlietów" daleko odbiegają od potrzeb. W tym roku na planowanych 90 autobusów MPK otrzymało tylko 76, z czego 20 z zeszłorocznego „poślizgu".
- Podstawę taboru tramwajowego stanowią ciągle wagony typu 5N, wyprodukowane w latach 1950—62, których żywotność obliczano na 25 lat. Spora część osiągnęła już stan, domagający się likwidacji. Brak jednak dostatecznie dużych dostaw nowych tramwajów zmusza przedsiębiorstwo do kosztownych napraw, remontów i przeróbek starego taboru.
- Wszystkie zajezdnie tramwajowe wybudowano w latach 1898—1926 Nie są one przystosowane do przechowywania tak dużej ilości taboru, jak i do konserwacji i remontów nowoczesnych tramwajów i autobusów. Modernizacja i rozbudowa tej bazy jest potrzebą wręcz palącą.
- Ogromne braki materiałowe — m.in. komory łukowe, łożyska do silników z importu, rozruszniki, przekaźniki, bezpieczniki, stal, akumulatory, opony, pompy wysokoprężne — uniemożliwiły przedsiębiorstwu stworzenie odpowiednich rezerw zimowych, gwarantujących utrzymanie torów, trakcji i taboru w odpowiednim stanie technicznym.
- MPK brakuje — 200 kierowców i 250 motorniczych.

— *Dla przeciwdziałania występującym trudnościom zaopatrzeniowym* — mówi Eugeniusz Polak — *rozwinęliśmy w przedsiębiorstwie w miarę istniejących możliwości technicznych produkcję własną części zamiennych do autobusów i tramwajów. We własnym zakresie stworzyliśmy warunki techniczne do przeprowadzenia remontów kapitalnych silników autobusowych, do regeneracji akumulatorów W roku przyszłym podejmiemy w przedsiębiorstwie bieżnikowanie opon. Są to jednak działania, które występujące trudności łagodzą lecz ich nie rozwiązują.*

— *Aktualne możliwości naszego zakładu* — mówi Stefan Misiowiec, kierownik Wydziału Remontu Tramwajów w Zakładzie Remontu Taboru — *nie są w stanie sprostać potrzebom. Wystarczy stwierdzić, że mamy o 12 pracowników mniej, niż rok temu. Szczególnie drastyczne braki występują w takich zawodach, jak tokarz, frezer, spawacz. Nasze warsztaty mają za małą powierzchnię produkcyjną. Są wydziały, które mieszczą się w budynkach sprzed 80 lat, z trudem zaadaptowanych do nowych potrzeb Warunki bezpieczeństwa i higieny pracy urągają często przepisom. W efekcie każda kontrola, każda inspekcja napawa nas przerażeniem, że będziemy zmuszeni zawiesić działalność takiej czy innej komórki produkcyjnej. Do tych kłopotów z zaopatrzeniem w surowce materiały i części dodać jeszcze trzeba zbyt niski limit energetyczny dla naszych warsztatów. Tylko w październiku straty z tytułu wyłączeń energii wyniosły 4000 roboczogodzin.*

Głos zabiera kierowca Stefan Kuźma:

— *Sytuacja, jaką mamy w kraju w zakresie zaopatrzenia w części zamienne, stała się już wręcz tragiczna. Pogłębia ona jeszcze bardziej kryzys paliwowo-energetyczny. Czy tego naprawdę nikt nie widzi? Wobec braku akumulatorów czy rozruszników już przy temperaturach zerowych silniki autobusów muszą na postojach pracować na biegu jałowym. Co to oznacza? Dzień w dzień dziesiątki autobusów od chwili wyruszenia z bazy do momentu powrotu nie gaszą silników. Jeśli przyjmiemy, że każdy autobus „przepala" z tego powodu tylko 10 litrów oleju napędowego więcej, to każdego dnia przedsiębiorstwo, miasto, kraj, my wszyscy — tracimy niepotrzebnie tysiące litrów cennego paliwa!*

Troska, jaka przebija przez wiele wypowiedzi, dotyczy spraw różnych, również i bardzo wewnętrznych:

— *Jeżeli stać nas na wydawanie milionów złotych na obrabiarki i nowoczesne linie technologiczne* — stwierdza Stanisław Gortat, kierownik Oddziału Remontu Maszyn i Urządzeń w Zakładzie Mechaniczno-Energetycznym — *to także stać nas powinno być na ich właściwe przechowywanie i konserwację. Po prostu musimy stworzyć odpowiednie warunki dla tego sprzętu, odpowiednie warunki do pracy na nim, co przy ciasnocie przestarzałych pomieszczeń jest obecnie prawie niemożliwe. Do tego wezwania dodam jeszcze gorący apel o przeciwdziałanie dewastacji urządzeń i wyposażenia powierzanego naszym pracownikom Mają bowiem jeszcze miejsce takie przypadki, które — w połączeniu z karygodnym wandalizmem niektórych pasażerów — przynoszą nam ogromne straty.*

Spraw drastycznych i nieprzyjemnych nie unika też w swoim wystąpieniu Wojciech Krzyżanowski, wygłaszając swego rodzaju apel:

— *Przypomnijmy sobie minioną, straszną zimę. Przecież groziła nam wtedy całkowita likwidacja komunikacji. Sytuację uratowali wtedy ludzie — ofiarni, wspaniali, o nieludzkim wprost poświęceniu. Oni ratowali miasto przed sparaliżowaniem. Wspaniali — pracowali wtedy i po 20 godzin na dobę. I tym bardziej przykre jest to, że wśród tej, znakomitej i ofiarnej, załogi mamy przypadki łamania dyscypliny — pijaństwa, bumelanctwa, niesubordynacji. Towarzysze, to my, ludzie partii, powinniśmy dać z siebie wszystko, aby eliminować takie przypadki!*

Obok niewątpliwych osiągnięć i wymiernych sukcesów, MPK ma także i kłopoty, problemy, trudności. Różnego zresztą są one autoramentu:

— *Poprawa sytuacji socjalnej i warunków bytowych załogi jest niewątpliwa* — mówi Józef Gieraga, przewodniczący Rady Zakładowej. — *Są jednak jeszcze pewne mankamenty, z których dość dotkliwym jest sprawa bazy wypoczynkowej, jaka wyraźnie nie spełnia wszystkich potrzeb. Dwie trzecie tej bazy — to kwatery prywatne, które nie gwarantują prawidłowego wypoczynku. Mieszkanie kątem u kogoś w kiepskich nieraz warunkach, a i kłopoty z wyżywieniem, bo często i daleko do stołówki, i kuchnia nie najlepsza. Cóż dopiero mówić o prowadzeniu działalności kulturalno-oświatowej. Do tego skierowania są bardzo drogie, coraz droższe, mimo że w zamian nie oferuje się niczego lepszego, niczego ciekawszego.*

Dyskutant ten porusza jeszcze jeden — istotny nie tylko dla MPK — problem:

— *Pamiętać też zawsze musimy, że mamy 1700 emerytów, którzy są członkami naszego związku. W tym jest około 200 emerytów z tzw. starego portfela, o nich musimy się troszczyć szczególnie, aczkolwiek możliwości w tym względzie są znikome. A przecież to są ci ludzie, którzy w czterdziestym piątym odbudowywali kraj i budowali ustrój, tworzyli i odzyskiwali stanowiska pracy — nie pytając o zapłatę, w imię przyszłości, w interesie następnych pokoleń. I to jest sprawa przykra, która wymaga chyba szybkiego uregulowania w skali kraju...*

Tadeusz Stępień, motorniczy z Chocianowic powiedział:

— *Chciałbym przedstawić prośbę o skrócenie czasu naszej pracy. Pracujemy w trudnych warunkach, dniem i nocą, najczęściej ponad siły, bo bardzo dużo w godzinach ponadliczbowych. Wobec braków kadrowych starzy motorniczy przepracowują 300 i więcej godzin w miesiącu. Są już bardzo zmęczeni i często schorowani.*

Dyspozytor z Zakładu Koordynacji Ruchu przedstawił jeszcze inny problem.

— *Musimy odnotować duży postęp* — powiedział — *który jest prawdziwym sukcesem naszej grupy kontrolerów. Za trzy pierwsze kwartały minionego roku 109 kontrolerów wykryło 21 650 osób bez biletu, co przynosiło MPK wpływy w wysokości 4 mln 284 tys. zł, dając wynik w postaci 182 osób i 36 000 zł na jednego kontrolera. W analogicznym okresie bieżącego roku 91 kontrolerów ujawniło 42 502 pasażerów na gapę, co daje 472 osoby i 89 000 zł na jednego kontrolera oraz 7 mln 247 tys. zł wpływów do kasy MPK.*

Trudności i kłopoty — nie można się dziwić, że zajmują tyle miejsca, że wywołują takie napięcia i emocje, bo są przecież własne, bo przecież doskwierają na co dzień. Mawia się w takich przypadkach coraz częściej, że niedostatki i bolączki, zachwiania i zahamowania nie powinny nam przesłaniać właściwego wymiaru naszej rzeczywistości, nie powinny tworzyć fałszywego obrazu, fałszywej hierarchii faktów i zjawisk Zwracał na to uwagę I sekretarz KZ PZPR — Jerzy Niewola, podkreślił to w swoim wystąpieniu kierownik Wydziału Budownictwa i Gospodarki Komunalnej KŁ PZPR — Bogdan Śliwiński:

— *Wybierając się na waszą konferencję wiedziałem z góry, że jednym z głównych tematów będzie problem zaopatrzenia w surowce, materiały i części, że będziecie mówić o kłopotach z bazą lokalową, stanem taboru. Macie, towarzysze, sporo racji, ale pozwólcie, że powiem wam tu kilka słów, podzielę się kilkoma własnymi refleksjami. Właśnie u nas, w Łodzi, szczególnie wyraziście widać ogrom dokonań całego 35-lecia a zwłaszcza lat ostatnich. Dam tylko jeden przykład: do 1970 roku, w całym ćwierćwieczu Polski Ludowej, wybudowaliśmy w Łodzi łącznie 98 tysięcy mieszkań, podczas gdy w obecnej dekadzie wybuduje się w Łodzi łącznie 120 tysięcy mieszkań. Wystarczy też powiedzieć, że w ciągu ostatnich ośmiu lat powstało w Łodzi 47 nowych przedsiębiorstw przemysłowych, dużych i nowoczesnych.*

Jest prawdą, że wasze przedsiębiorstwo było faktycznie niedoinwestowane w stosunku do programu rozwoju społeczno-gospodarczego województwa łódzkiego. Musimy pewne rzeczy dzielić, zachowywać właściwą hierarchię i odpowiednie proporcje potrzeb i możliwości. Warunków nie zmieni wam nikt — z dnia na dzień. Co w niczym nie zmienia faktu, że MPK musi prawidłowo spełniać swoje zadania. To trzeba zapamiętać! Na was ciąży odpowiedzialność za przewóz ludzi do pracy i do domów. Mamy wszyscy świadomość warunków, w jakich działacie. Nie uchylamy się więc od pomocy — czekamy na wasze propozycje. Pomagając przecież waszemu przedsiębiorstwu, pomagamy naszemu społeczeństwu.

— *Mamy świadomość odpowiedzialności* — powiedział mi Stanisław Włodarczyk — *jaka ciąży na naszym przedsiębiorstwie. Pełnimy przecież służbę społeczną wcale niebagatelną. Jeśli nie służymy społeczeństwu najlepiej, to jest ono niezadowolone z nas wszystkich, ale nie tylko. Stąd też bolą nas tak bardzo wszelkie trudności i kłopoty, jakie nękają nasze przedsiębiorstwo. Bo przecież nie chodzi o to, że przez nie gorzej nam się pracuje, lecz o to, że w rezultacie ludziom żyje się gorzej. I to chyba przesądziło, że na dzisiejszej konferencji towarzysze tak dużo mówili właśnie o trudnościach, o kłopotach...*

STANISŁAW WŁODARCZYK siedzi za jednym ze stołów, skupiony i opanowany, aczkolwiek zdradza chwilami zdenerwowanie. Nikt mu się zresztą nie dziwi — przeżywa istotny moment w swoim życiu: zgłoszony został jako jeden z kandydatów na delegata na VIII Zjazd partii. Słucha pilnie wystąpień, skrzętnie notuje fragmenty niektórych wypowiedzi, zamyśla się jednak często: kto wie, może obawia się nieco wyników tego sprawdzianu swej popularności w zakładzie; może rozmyśla nad odpowiedzialnością, jaka bez wątpienia ciąży na delegacie na zjazd; a może też spogląda wstecz, w swoje 47-letnie życie, które przyprószyło już mocno siwizną jego bujną wciąż czuprynę.

Urodził się w Goślubiu, w dawnym pow. łęczyckim, w rodzinie robotniczej. Razem z rodzicami, jako siedmiolatek, wywieziony został z początkiem wojny na roboty. Całą okupację hitlerowską przepracował u niemieckiego bauera, pobierając — najczęściej dorywczo i po części konspiracyjnie — pierwsze nauki. Po wyzwoleniu trafił do Łodzi, gdzie podjął naukę w szkole zawodowej, odbywając równocześnie praktykę w Państwowych Zakładach Przemysłu Wełnianego nr 2 (obecnie „Norbelana"), gdzie uczył się m.in. zawodu tkacza. W 1949 roku wstąpił do ZMP, gdzie jego aktywność wyróżniona została wyborem na przewodniczącego zakładowej organizacji. Z ramienia związku uczestniczył m.in. w 1952 roku w kampanii wyborczej na terenie Lubelskiego. Po wojsku wrócił do tego samego zakładu, gdzie zatrudniono go jako kierowcę. W „Norbelanie" przepracował w sumie 15 lat. Tam też przyjęty został w 1960 roku do organizacji partyjnej.

W 1965 roku — już jako znany aktywista partyjny — przeszedł do pracy w MPK. Wiele lat przepracował jako kierowca autobusu w zajezdni autobusowej przy ul. Kraszewskiego. W tym samym rejonie — po wielu latach działalności społecznej i partyjnej, pełnieniu funkcji sekretarza oddziałowych i podstawowych organizacji — pracuje dziś jako etatowy instruktor KZ PZPR, mający w swoim zasięgu również zajezdnię autobusową na Nowych Sadach i zajezdnię tramwajową przy ul. Kilińskiego, a także inne placówki MPK w południowej części miasta. Za pracę zawodową i społeczną wielokrotnie nagradzany odznaczeniami państwowymi i resortowymi. Lubiany i ceniony powszechnie, bo i powszechnie znany ze swej ideowości, uczciwości, ofiarności.

Owacyjne oklaski witają wynik wyborów: STANISŁAW WŁODARCZYK zostaje (przeważającą) większością głosów, delegatem na VIII Zjazd partii, wchodzi też w skład nowo wybranego Plenum KZ PZPR, które funkcję I sekretarza KZ PZPR powierza ponownie JERZEMU NIEWOLI.

— *Jestem wielce wzruszony* — mówi Włodarczyk — *i ogromnie wdzięczny za zaufanie okazane mi podczas wyborów. Przyznam się szczerze, że przed konferencją zastanawiałem się, czy zrobiłem wszystko, co do mnie należało. A teraz spoczywa na mnie zadanie najbardziej odpowiedzialne — reprezentowanie was wszystkich na Zjeździe, po którym przecież będę musiał się przed wami rozliczyć. Postaram się was nie zawieść, postaram się przenieść to wszystko, co mi przekażecie, na najwyższe forum partyjne...*

Zapadł już wieczór, konferencja zamknięta, a nowo wybrani przyjmują od towarzyszy i kolegów gratulacje. Stanisław Włodarczyk przyjmuje je z powagą i zatroskaniem. Rzeczywiście, czeka go zadanie odpowiedzialne i trudne Tym trudniejsze, że sprawy, którymi żyje, w których kręgu na co dzień się obraca nie są wcale łatwe i jednoznaczne...

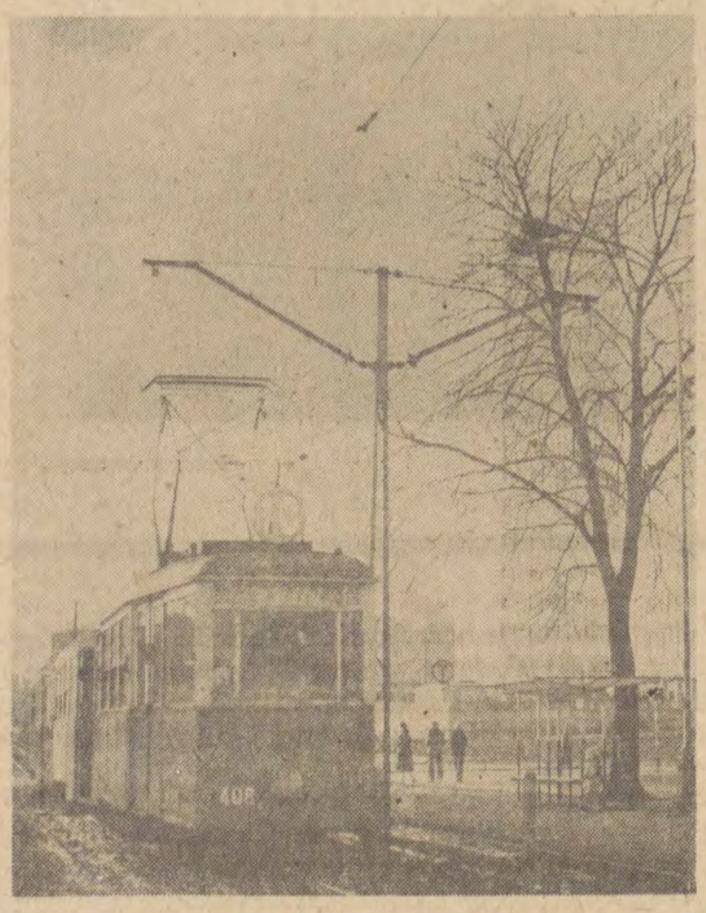

Foto: J. Mendychowski

odgłosy

Zespół redakcyjny: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAŁOWIECKI JERZY RZYMOWSKI TOMASZ SOLDENHOFF GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stale współpracują: JAN BABIŃSKI ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRZĄSTELEWSKI GRZEGORZ GAZDA ANDRZEJ F. GRABSKI WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI ANDRZEJ MAJER ZBIGNIEW S. NOWAK EWA NURCZYŃSKA WŁADYSŁAW ORŁOWSKI JERZY PANASEWICZ EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI TADEUSZ SZCZEPAŃSKI JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI

NASZA ROZMOWA

z doc. dr hab. TADEUSZEM GÓRSKIM dyrektorem Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Łodzi

WRÓG POD MIKROSKOPEM

— Kiedy we wrześniu 1975 roku pokazywał mi Pan obecny lokal Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej były tu tylko nagie ściany, kompletna pustka, przygnębiający obraz totalnej wyprowadzki. Dziś z kolei, jestem zdumiony obfitością nowoczesnej, głównie importowanej i kosztownej aparatury, dobrym wyposażeniem licznych laboratoriów. Ale przede wszystkim pańską energią i iście błyskawicznym tempem, w jakim zagospodarował Pan Stację.

— Rzeczywiście, wtedy, w związku z nowym administracyjnym podziałem kraju, cały majątek ówczesnej łódzkiej WSS-E, od probówek, po aparaturę badawczą, rozdzielono między trzy nowo powstające stacje: w Zduńskiej Woli, Piotrkowie i Skierniewicach. Dzięki opiece łódzkiej instancji partyjnej oraz pomocy Urzędu Miasta Łodzi i resortu służby zdrowia, które przydzieliły duże środki na uruchomienie i zaopatrzenie Stacji w nowoczesną aparaturę badawczą i sprzęt, mogliśmy, w stosunkowo krótkim czasie, stworzyć w Łodzi sprawnie funkcjonujący ośrodek sanitarno-epidemiologiczny. Nie ustajemy w doskonaleniu działalności Stacji i jesteśmy przekonani, że niebawem uda nam się osiągnąć dobry poziom europejski.

— Panie docencie, jak Pan ocenia na dzień dzisiejszy sanitarny stan miasta?

— Odpowiedź na tak sformułowane pytanie wymagałaby omówienia tylu dziedzin działalności Stacji, że nie zmieściłbym się w ramach jednej rozmowy. Proponuję pytania wybiorcze.

— Zgoda. Więc wirusowe zapalenie wątroby, choroba, która bardzo niepokoi społeczeństwo Łodzi. Jest lepiej czy gorzej?

— Przed kilkoma laty sytuacja była bardzo zła teraz nastąpiła duża poprawa. W Łodzi jest mniej zachorowań niż w innych regionach kraju.

— Ale to niewiele mówi. Czy opanowano sytuację, a jeżeli tak, to jakimi środkami?

— W zasadzie tak, ponieważ odwrócono tendencję kształtowania się wskaźników zachorowalności, które nie rosną, lecz maleją z roku na rok. Istotną rolę odgrywa w tym wczesne rozpoznanie choroby, obowiązkowa hospitalizacja, profilaktyczne podawanie gamaglobuliny oraz stosowanie strzykawek i igieł jednorazowego użytku.

— Jaką drogą następuje zakażenie wirusowym zapaleniem wątroby?

— Pokarmową. Ale wirus może się też przedostać drogą pozajelitową, na przykład przez niedostatecznie wyjałowioną strzykawkę lub igłę. Mówi się wówczas o żółtaczce wszczepiennej.

— Właśnie to ostatnie interesuje mnie szczególnie, wiadomo bowiem, że iniekcje stwarzają poważne niebezpieczeństwo zakażenia. Skutki społeczne i ekonomiczne — absencja, leczenie, zasiłki chorobowe — są w konsekwencji o wiele wyższe niż koszty produkcji takich igieł i strzykawek. Czy produkujemy je w kraju?

— Tak, w Lublinie. Już od kilku lat produkuje się tam strzykawki jednorazowego użytku, ale niestety, ta nowo podjęta produkcja nie pokrywa zapotrzebowania służby zdrowia. Odnoszę jednak wrażenie, że niedługo problem ten zostanie rozwiązany, gdyż każdego roku igieł i strzykawek jednorazowego użytku jest na rynku coraz więcej.

— Czyli możemy z ufnością patrzeć w przyszłość.

— Jak najbardziej. Natomiast wzbudzają niepokój poważne zakłócenia w zaopatrywaniu lecznictwa w drobny sprzęt sanitarno-medyczny, który zresztą stale był trudno dostępny na rynku, ale w tej chwili prawie go nie ma. Wiadomo mi jednak, iż zespół poselski i prezydent miasta Łodzi występowali w tej sprawie do rządu.

— Problemem współczesności jest skład chemiczny produktów żywnościowych, którego w dobie industrializacji nie nożna uważać za skład naturalny. Jakość żywności jest częściowo odbiciem zanieczyszczeń powietrza, gleby i wody oraz zanieczyszczeń chemizacją rolnictwa. Dodajmy jeszcze do tego związki chemiczne przenikające do żywności z urządzeń produkcyjnych, opakowań, związków konserwujących itp. Czy ta patologia żywienia jest przedmiotem profilaktycznej działalności Stacji?

— Zajmujemy się higieną żywienia, żywności i przedmiotów jej użytku i jesteśmy pierwszymi przeciwnikami każdej w tym względzie „patologii". Sądzę, iż za dużo jest pośredników między producentami żywności i jej konsumentami. Nasze opinie dotyczące jakości odżywczej żywności są często pomijane, natomiast w sytuacjach rażących zaniedbań, stanowiących ryzyko zdrowotne dla konsumenta, wydajemy rygorystyczne decyzje, które są zawsze respektowane. Chodzi tu szczególnie o sytuacje, kiedy w żywności wykrywamy bakterie chorobotwórcze powodujące zatrucia pokarmowe.

— Niemniej, sporo ludzi choruje z powodu zatruć pokarmowych.

— To prawda, ale ze szczególnych powodów. Pod tym względem Łódź nie świeci dobrym przykładem. Rzutuje na to nie tyle żywienie zbiorowe, otwarte czy zamknięte, ale tak zwane uroczystości rodzinne — urodziny, imieniny, chrzciny itp. — na których serwuje się najczęściej potrawy z własnych wyrobów mięsnych, nie zawsze badanych przez weterynarza. Niestety, rozwój kultury zdrowotnej nie nadąża za materialnym rozwojem społeczeństwa.

— A inne choroby zakaźne: czerwonka, dur brzuszny, świnka?

— Czerwonka nie przedstawia zagrożenia i w Łodzi notujemy małą zachorowalność na tę chorobę. To samo można powiedzieć o różyczce i śwince. Teraz czeka nas wdrażanie szczepień przeciwko tym obu chorobom. Natomiast mamy stale pod nadzorem kilkuset nosicieli duru brzusznego, paradurów i salmonelloz. Są oni stale kontrolowani i nie przedstawiają niebezpieczeństwa dla otoczenia. Obecnie ciężar działalności naszej Stacji przesuwa się na zwalczanie chorób niezakaźnych, przede wszystkim o wyraźnych uwarunkowaniach środowiskowych.

— Przepraszam na moment, ale chciałbym się jeszcze rozprawić z gronkowcem. Co jest źródłem zakażenia tymi bakteriami i jakie działania podejmuje Stacja, żeby uchronić ludność przed tym, bądź co bądź, groźnym wrogiem?

— Zakażenie następuje drogą jelitową, najczęściej przy spożyciu lodów i ciastek. Źródłem zakażenia żywności bakteriami gronkowca są zazwyczaj osoby dotknięte zmianami ropnymi w skórze, zatrudnione w sklepach spożywczych, garmażeryjnych, przetwórniach żywności itp. Do skutecznego zwalczania tej choroby jest konieczna świadomość i kultura zdrowotna społeczeństwa oraz sprawne i efektywne działanie wewnętrznych służb bhp. Stacja organizuje szkolenia z minimum sanitarnego dla 2—3 tysięcy osób rocznie, lecz nie nadąża za potrzebami. Trudności stwarza duża fluktuacja załóg w przetwórstwie, handlu i zakładach żywieniowych.

— Powracając do chorób niezakaźnych, czy chodzi tu o choroby związane z określonymi warunkami pracy?

— Tak. Znaczny postęp w ograniczaniu i zwalczaniu tych chorób nastąpił w Łodzi, co wiąże się z wyraźną poprawą warunków zdrowotnych w środowiskach pracy. W przemyśle łódzkim prawie nie występują już ostre zatrucia związkami toksycznymi. A przecież stosowane procesy przemysłowe w Łodzi są przeładowane truciznami, używanymi w licznych technologiach przemysłu lekkiego, chemicznego i elektromaszynowego. Tylko łódzkie galwanizernie zużywają rocznie ponad sto ton cyjanków. Od 25 lat Państwowa Inspekcja Sanitarna nadzoruje tę gospodarkę truciznami i śmiem twierdzić, iż nieustępliwość PIS w kwestiach dotyczących tej gospodarki jest skuteczna i pożyteczna z punktu widzenia ludzkiego zdrowia.

— Wszystko to bardzo cieszy, tylko że szybki postęp w przemyśle odbywa się według reguł technologicznych i ekonomicznych, i nie zawsze może brać pod uwagę względy zdrowotne.

— Owszem, stale wyłaniają się jakieś nowe trudności. Ostatnio np. stanęliśmy w obliczu wibracji i pól wysokiej częstotliwości. Mimo wszystko udało nam się w Łodzi zakwestionować szereg nowych technologii szkodliwych dla zdrowia. Jednak liczba wciąż wdrażanych technologii rośnie lawinowo, a przemysł jest bardzo przedsiębiorczy i potrafi wykorzystywać luki, w których brakuje specjalistów z zakresu higieny pracy. Mamy jednak sojusznika w Instytucie Medycyny Pracy i dajemy sobie radę, choć nieraz, muszę to przyznać, z dużym trudem. Nie oznacza to oczywiście, że hamujemy postęp w dziedzinie wdrażania nowych technologii, staramy się tylko włączyć do nich elementy ochrony ludzkiego zdrowia.

— W zakres nadzoru sanitarnego wchodzi także zapobiegawczy nadzór inwestycyjny. Co to znaczy?

— To znaczy, że na inwestorach spoczywa obowiązek uzyskania opinii Państwowej Inspekcji Sanitarnej o projektach wszystkich wielkich budów. Otrzymują oni opinie nie zawsze pozytywne, ale niestety nie są to opinie dla inwestora obligatoryjne. Dlatego też odbywają się nieraz długie korowody, kiedy oddawany do użytku obiekt przechodzi pod bieżący nadzór, w trakcie którego PIS, stosując środki administracyjne, wymusza na inwestorze doraźne przeróbki i adaptacyjne rozwiązania techniczno-sanitarne.

— Panie docencie, mam jeszcze cały worek pytań wybiorczych.

— Doskonale, niech go pan rozwiąże!

— Czy powietrze atmosferyczne, którym oddychamy w Łodzi, jest bardzo zatrute?

— Nie. Nie jest zanieczyszczone w stopniu zagrażającym zdrowiu mieszkańców miasta i regionu. Łódź ma swoją specyfikę, uważa się jednak, że powietrze w mieście jest względnie czyste dzięki rozwojowi elektrociepłownictwa.

— Jednak w 1978 roku w całej Łodzi występowały przekroczenia dopuszczalnych stężeń dwusiarczku węgla i siarkowodoru. Częstość tych przekroczeń dochodziła do 60 procent przy dopuszczalnej normie 5 procent. Winowajcą tej emisji zanieczyszczeń są Zakłady „Chemitex-Anilana" i nie ulega wątpliwości, że te związki są szkodliwe dla zdrowia.

— Zapewniam pana, że Zakłady „Chemitex-Anilana" nie wytrzymają długo z produkcją włókna wiskozowego. Instalacje dla tej technologii są wyeksploatowane. Niebawem 800 tysięcy mieszkańców naszego miasta dozna z dawna oczekiwanej ulgi. Władze Łodzi stawiają sprawę stanowczo i z pewnością pójdą za tym odpowiednie decyzje rządu.

— Sądzi Pan, że przetrzymamy „Anilanę"?

— Z pewnością.

— To bardzo dobrze, bo na przykład zachorowalność dzieci w Łodzi na astmę, nieżyty górnych dróg oddechowych, chrypki i chorobowe zmiany w gardle itp. jest najwyższa w kraju. Specjaliści twierdzą, że jest to skutkiem silnego zanieczyszczenia powietrza w Łodzi i regionie. A jest ono niebagatelne, skoro w Widzewskim Parku Rozrywki, dokąd wiatry zachodnie znoszą fale zanieczyszczeń powietrza z „Anilany", usychają młode świerki. Czy są ustawy chroniące nasze zdrowie przed skażeniami powietrza atmosferycznego?

— Właśnie specyfika zanieczyszczeń polega na występowaniu alergizujących pyłów włókienniczych w powietrzu atmosferycznym naszego miasta. Zależność tę, połączoną z wyższą zachorowalnością na astmę wśród dzieci, wykazał nasz pracownik, dr J. Świątczak, w badaniach prowadzonych wspólnie z łódzkimi pediatrami.

Z pewnością ucieszy czytelników „Odgłosów", zainteresowanych tymi problemami, informacja, że do Sejmu wpłynął już projekt ustawy o ochronie środowiska naturalnego. Pokładają w nim duże nadzieje także rzecznicy zdrowotnych interesów społeczeństwa w całym kraju.

— No, tak. Dwusiarczek węgla, węglowodory, pyły włókiennicze... A na dodatek powietrze, którym oddychamy, jest jeszcze zanieczyszczone tlenkiem węgla, toluenem, benzenem, akrylonitrylem. Jakim cudem jeszcze żyjemy?

— Człowiek posiada duże możliwości przystosowawcze, ale za przystosowanie się do zmienionych, niekorzystnych warunków musi płacić bardzo wysoką cenę. Ochrona zdrowia człowieka jest o wiele kosztowniejsza niż ochrona środowiska. Zresztą cena zdrowia jest niewymierna. Trzeba też powiedzieć, że stężenie tych zanieczyszczeń utrzymuje się na ogół poniżej groźnego poziomu, dzięki stosowaniu odpowiednich urządzeń ochronnych, lokalizacji zakładów produkcyjnych w dzielnicach przemysłowych, zmianom technologii, jak również przebudowie miasta, stwarzającej możliwość lepszego przewietrzania ulic i terenów okołomiejskich.

— Jestem prawie przekonany, Panie docencie, czy PIS kontroluje stan sanitarny domów mieszkalnych? Nie wszystkie administracje dbają o czystość w posesjach i osiedlach. Przydałyby się mandaty za brudy. Inna rzecz, że i wielu lokatorów utrzymuje własne mieszkania w antysanitarnych warunków i niemiłosiernie zaśmieca domy i osiedla. Ale tam nie sięga karzące ramię PIS...

— Chociaż stan sanitarny domów mieszkalnych nie należy do codziennych zadań PIS, to jednak włączamy się, wraz z MO, ORMO i organami gospodarki komunalnej, do okresowych przeglądów, które odbywają się po kilka razy w roku. Sypią się mandaty, dużo spraw wpływa do kolegiów, zakłady płacą grzywny. Ale wszystko to nie skutkuje. Stan sanitarny poprawia się na tak długo, jak długo chodzą kontrole. Takie lustracje musielibyśmy przeprowadzać codziennie, ale taka działalność wkraczałaby bardziej w sferę ładu i porządku niż zdrowia. I do tego musiałoby nas być co najmniej dwa razy więcej. A do mieszkań przydałoby się czasem zerknąć, oj przydało...

— Społeczeństwo Łodzi z sympatią i bardzo pozytywnie ocenia pracę Stacji, jak również sankcje PIS wobec sklepów z artykułami spożywczymi, w których żywność przechowuje się w antysanitarnych warunkach oraz wobec wszelkich placówek zbiorowego żywienia, które ignorują przepisy sanitarne.

— Bardzo przyjemnie jest mi usłyszeć, że społeczeństwo darzy nas sympatią i zaufaniem. Pragnę podkreślić, że jeśli chodzi o antysanitarne warunki w obrocie żywności, to są obiekty zarówno dobre, które mogą służyć za pozytywny przykład, jak i złe. Podobnie ma się rzecz w obiektach komunalnych i na ich terenie. Wobec brudasów, którzy zagrażają zdrowiu konsumentów, nie szczędzimy sankcji — od mandatów po zamykanie obiektów. Ale problem polega na czym innym: na wykształceniu odpowiedniego poziomu kultury usług i kultury zdrowotnej, przede wszystkim wśród osób zatrudnionych w produkcji i obrocie żywnością. Wiele w tej dziedzinie może zrobić prasa, w ogóle środki masowego przekazu.

— Czy WSS-E prowadzi badania naukowe?

— Nawet szerokie. Pracujemy nad rozwiązywaniem wybranych problemów — zwalczaniem palenia tytoniu i badaniami czynników rakotwórczych w środowisku. Specjalizujemy się w tych zagadnieniach. Opanowaliśmy i wdrożyliśmy wiele technik umożliwiających wykrywanie związków rakotwórczych z grupy węglowodorów aromatycznych, amin aromatycznych, mykotoksyn, jak również chlorku winylu, azbestu i niektórych metali. Prowadzimy te badania już od kilku lat na doskonałej, nowoczesnej aparaturze, w większej części importowanej. Badania te, najogólniej mówiąc, dotyczą uwarunkowań środowiskowych występowania nowotworów.

— Sądzę, że badając ten temat, Stacja mogłaby opracować skuteczną metodę odwyku palenia papierosów i tytoniu w ogóle.

— Nie wiem czy panu wiadomo że rok 1980 został ogłoszony przez Światową Organizację Zdrowia rokiem walki z nałogiem palenia tytoniu. Jesteśmy przygotowani do nasilenia badań problemowych w tej dziedzinie i rozpoczęcia działalności antynikotynowej. Władze naszego miasta już kilka lat temu doceniły wagę tego zagadnienia i oddały do dyspozycji Stacji odpowiedni lokal przy ul. Piotrkowskiej 194, w którym 7 kwietnia przyszłego roku, w Dniu Pracownika Służby Zdrowia, otworzymy Krajowy Ośrodek Zwalczania Palenia Tytoniu.

— Rzeczywiście nic mi o tym nie wiadomo.

— A widzi pan. W ośrodku uruchomimy przychodnię antynikotynową z placówką metodyczną, która będzie przekazywać doświadczenia przychodni innym ośrodkom tego rodzaju, działającym w całym kraju. Lekarze, psycholodzy i pedagodzy będą udzielać porad indywidualnych oraz zbiorowych dla grup młodzieżowych.

— Jakie zagadnienia znajdują się obecnie w centrum uwagi Stacji?

— Wszystkie, które stanowią zagrożenie dla zdrowia społeczeństwa. Wiele uwagi poświęcamy problematyce zdrowia dzieci i młodzieży. Wydaje się, iż wyrządzono dużą szkodę szkolnictwu, wyprowadzając ze szkoły — w imię integracji opieki zdrowotnej — szkolną służbę zdrowia do tzw. rejonu pediatrycznego. Uzasadniono to rozrzutnością w gospodarowaniu kadrą lekarską na obecnym etapie rozwoju. A przecież współczesna szkoła bardzo obciąża młode organizmy zarówno pod względem psychicznym, jak i fizycznym. Jestem przekonany, że lekarz pediatra ze specjalnością medycyny szkolnej jest w każdej większej szkole potrzebny od zaraz. Zwraca uwagę ogólny brak tężyzny fizycznej wśród uczniów, zaniedbania w dziedzinie krzewienia kultury fizycznej. Osobnym zagadnieniem jest zły stan sanitarny w niektórych szkołach. Nie zamierzamy go tolerować w tych szkołach, które sądzą, iż nie muszą wyrabiać wśród swoich wychowanków nawyków w sferze kultury zdrowotnej.

— Krzewienie kultury zdrowotnej i szerzenie w społeczeństwie oświaty sanitarnej jest zadaniem długofalowym i wcale niełatwym. Żeby się o tym przekonać, wystarczy się zetknąć z toaletami w pociągach, na dworcach, w szczególności autobusowych, w lokalach rozrywkowych, ba, nawet w instytucjach skądinąd bardzo szanowanych.

— To prawda. Niestety. Pragniemy stworzyć w Łodzi Dom Oświaty Zdrowotnej na wzór takich placówek działających już w innych miastach Polski. Chcielibyśmy tak ukierunkować oświatę i kulturę zdrowotną, żeby móc przygotować społeczeństwo do odbioru świadczeń służby zdrowia na rzecz zdrowia, a nie choroby.

— Trudności i zamierzenia?

— Trudności dużo, zwłaszcza przy sprawowaniu zapobiegawczego nadzoru inwestycyjnego, o czym wspomniałem już wcześniej. Mamy też wiele innych, ale nie ma co utyskiwać, trudności nas nie zrażają. Osiągnięcia Stacji utożsamiamy z każdą poprawą w stanie sanitarno-epidemiologicznym województwa. To jedyna dewiza i kryterium naszej działalności. Staramy się możliwie najefektywniej urzeczywistniać „Program działalności PIS na rzecz poprawy stanu sanitarno-epidemiologicznego kraju w latach 1978—1990", nakreślony w świetle stanowiska, wyrażonego przez I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, Edwarda Gierka, na spotkaniu z aktywem, w kwietniu 1977 roku.

Nasze zamierzenia, to dalsza intensyfikacja działalności Stacji, to — zgodnie z Wytycznymi KC na VIII Zjazd partii: *„Dalsze upowszechnianie oświaty zdrowotnej, zwiększanie wymogów higieny, ulepszanie stanu sanitarnego mieszkań, miast i wsi, ochrona naturalnego środowiska człowieka i zapobieganie zanieczyszczaniu atmosfery i wody"*.

— Z okazji jubileuszu 25-lecia istnienia Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Łodzi, w imieniu redakcji „Odgłosów" składam na Pana ręce życzenia całemu zespołowi WSS-E dalszych sukcesów w pracy nad doskonaleniem systemu ochrony zdrowia społeczeństwa. Dziękuję za interesującą rozmowę.

„...cena zdrowia jest niewymierna".
Foto: R. Łucyszyn

Rozmawiał:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

RÓŻNA SKALA ŹRÓDEŁ

Historię — jak o tym powiadano niejednokrotnie — pisze się ze źródeł. To prawda. Źle, jeśli pisze się ją z sufitu, aczkolwiek czasem to bardzo popłaca. Zwykle jednak na krótko, skoro za historię uważamy opis tego, co kiedyś rzeczywiście było, nie zaś tego, co powinno byłoby być. Historycy, którzy zazdroszczą ścisłości metody poznania naukom przyrodniczym, wydoskonalili teorię i praktykę krytyki źródła. Napisali na ten temat tysiące stron, sformułowali dziesiątki koncepcji i kontrkoncepcji. Nieraz jednak zapominali o tym, że historię wprawdzie pisze się ze źródeł, jednakże nie tylko z nich. Źródło jest to bowiem coś takiego, czemu historyk musi zadać pytanie, aby uzyskać na nie odpowiedź, zawierającą interesującą go informację. Rzecz w tym, że stawianie pytań martwym przedmiotom czy zmurszałym tekstom, przechowywanym w archiwach, jest wielce utrudnione, więc na wiele pytań odpowiedzi wciąż nie ma.

Czasem się jednak zdarza, że historyk może zadać swoje pytania nie przedmiotom, ale żywym ludziom: świadkom bądź uczestnikom interesujących go wydarzeń historycznych. W czasach, kiedy zajmowanie się historią najnowszą było w pogardzie wśród profesjonalistów, oczywiście podobna procedura była nie do pomyślenia. Kiedy jednak zajmowanie się dziejami najnowszymi uzyskało status pełnoprawnych, szczególnie ważnych badań historycznych, tego rodzaju postępowanie przyjęło się coraz bardziej. I dziś wielu historyków uważa, że korzystanie z wywiadów z aktorami i świadkami historycznych zdarzeń jest w pracy historyka czymś z gruntu podejrzanym, bowiem indagowane osoby są w swych sądach tendencyjne. Kto jednak powiedział, że podobnej tendencyjności nie zawierają np. różnego rodzaju teksty pisane, które wyciągamy z bibliotek i archiwów? Tak czy owak odwołanie się do wywiadu, jako źródła do poznania dziejów najnowszych, jest dziś praktyką coraz powszechniejszą i — mimo powściągliwej rezerwy naukowych konserwatystów — nie budzi już tyle podejrzliwości, co niegdyś.

Pomysł wykorzystania metody wywiadów dla badań nad dziejami stosunków polsko-francuskich w okresie międzywojennym, przyszedł **dr Kazimierze Mazurowej** do głowy przed ponad dziesięcioma laty, dokładnie w 1966 r., podczas jej kolejnego pobytu w Paryżu. Od tej pory, używając najrozmaitszych sposobów, o czym można by z pewnością wiele powiedzieć, polska badaczka starała się docierać do wybitnych przedstawicieli francuskiego życia politycznego sprzed wojny, aby uzyskać od nich odpowiedzi na postawione przez siebie pytania. W przypadku wielu osobistości udało się to w pełni, w wypadku niektórych nie dało rezultatów. Względy protokolarne uniemożliwiły przeprowadzenie wywiadu z generałem Ch. de Gaulle'em, który sprawował urząd prezydencki. Niektórzy po prostu odmówili wywiadu, inni zgodzili się ale takie lub inne okoliczności przeszkodziły w jego zrealizowaniu. Cóż, historyk, podobnie jak dziennikarz nieraz jest narażony na takie przeszkody.

Jednakże to, co mimo wszystkich trudności udało się zebrać dr K. Mazurowej, stanowi plon bogaty. Zaprezentowała go ona częściowo przed laty na łamach „Miesięcznika Literackiego", teraz zaś zebrała w książce zatytułowanej: **„Skazani na wojnę"**, która ukazała się właśnie (1979) nakładem Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej. Na książkę złożyły się: krótki wstęp oraz wprowadzenie o stosunkach polsko-francuskich w latach przed II wojną światową (sprawy te rozpatrzyła autorka szerzej w wydanej w 1974 monografii pt.: **„Europejska polityka Francji 1938—1939"**, o której pisałem przed laty na tym miejscu), autoryzowane teksty wywiadów z politykami francuskimi, **posłowie pióra prof. dr Mariana Wojciechowskiego** oraz aneksy. Wywiadów tych jest w książce 17, ponadto znalazły się tu fragmenty nigdzie nie drukowanych wspomnień **E. Daladiera**, udostępnione autorce przez rodzinę zmarłego polityka. Wśród ankietowanych osobistości znalazły się także i bardzo znaczne, takie jak **G. Bonnet, P. Cot, J. Duclos, L. Noël, J. Moch** i inni.

Nie ma najmniejszego sensu streszczać tę książkę. Celowe jednak będzie zwrócenie uwagi na pewną charakterystyczną cechę zebranych w niej wywiadów. Jako całość przynoszą one niezmiernie zróżnicowany — uwarunkowany politycznymi poglądami autorów, reprezentujących bardzo różne orientacje — ale przecież bardzo francuski obraz spraw polskich międzywojennego dwudziestolecia. Prezentują poglądy częstokroć szokujące, niekiedy budzące refleksję, na sprawy, o których my Polacy mamy już swoje zdanie, które skłonni bylibyśmy uważać za słuszne. Francuzi też mają swoje, nieraz bardzo od naszego różne. Jak dalece odmienne, o tym przekonamy się wówczas, kiedy będziemy czytali o różnych pretensjach, jakie politycy francuscy mieli do przedwojennej Polski.

Dr K. Mazurowa kierowała się w swojej pracy maksymą: „aby móc zrozumieć, trzeba przede wszystkim wszechstronnie poznać" Pamiętajmy o tym, czytając zebrane przez nią wywiady z politykami. Inna sprawa, że — jak podkreśla to na zakończenie tej książki M. Wojciechowski — lektura tych relacji prowadzi do wniosku, „że politycy i żołnierze francuscy — bohaterowie owej epoki — nie przemyśleli tych lat do końca, jeśli zaś to uczynili, to albo nie dali temu wyrazu, albo tylko w sposób niezmiernie cząstkowy. Wskazuje na to zwłaszcza relacja Georgesa Bonneta, głównego przecież architekta polityki zaspokojenia. Być może, ta ostatnia motywowana była również ciężkimi doświadczeniami Francji z lat 1914—1918 (znów te kategorie!), obawą przed ponownymi stratami. Ale tylko również".

Zgadzam się z prof. M. Wojciechowskim, że lektura zebranych przez dr K. Mazurową wywiadów skłania do wniosku, że „historii nie mogą pisać ci, co ją tworzyli, że jest to zadanie historyka zawodowego". Aktorom historycznych wydarzeń niezmiernie trudno jest przekroczyć zaklęty krąg spraw minionych, wznieść swą refleksję ponad obronę siebie samego czy krytykę niegdysiejszych przeciwników. Przekonamy się o tym, czytając fascynujące teksty, zawarte w książce dr K. Mazurowej.

ANDRZEJ F. GRABSKI

JAK SIĘ DAWNIEJ BAWIONO

Krzysztof Woźniak

W przeszłości Łodzi szybko rosła liczba mieszkańców, a to głównie dzięki napływowi ludności wiejskiej. Decydowała ona o potędze łódzkiego przemysłu. Ludzie przybywali do Łodzi ze swoimi zwyczajami i upodobaniami. W chwili przybycia do Łodzi uzyskiwali status mieszkańców miasta, ale nie wyzbywali się starych, wiejskich cech. Stawało się to często przyczyną konfliktów. Starali się więc przejmować zachowanie i zwyczaje ludności miejskiej. W kąt szło wiejskie ubranie. Wyzbywano się gwary. Przyswojono nowe słowa. Włączenie kilku obcobrzmiących słów podczas wieczornej podwórkowej rozmowy w gronie sąsiadów znacznie podnosiło autorytet mówiącego.

Wolniej postępowały przemiany świadomości, choć i tu nowe warunki życia wpływały modyfikująco na tradycyjne obrzędy, wierzenia czy nawet moralność. Różnorodne wpływy, jakie niosło ze sobą miasto, stapiały się w tradycji i wspólnocie pochodzenia przybyszów, kształtowania się kultury robotniczej.

Czas wolny łódzcy robotnicy spędzali trochę na sposób wiejski, ale też tworzyli nowe wzory. Tak więc uroczyste puszczanie wianków na stawie scheiblerowskim, w wigilię św. Jana, miało przede wszystkim charakter zabawy środowiskowej dla mieszkańców Księżego Młyna. Ostatkowe korowody przebierańców, czy całkiem już dziś zapomniane przedstawienia Herodów na Szlezyngu, stawały się zabawą masową, a nie wystąpieniem małej grupy, żądnej pochwał i uznania.

Były też w Łodzi imprezy mające charakter masowy: uchodzące za najweselsze święto łódzkie — „święto Fajki" oraz żywe do dziś we wspomnieniach — majówki, w których uczestniczyli niemal wszyscy łodzianie.

Na majówkę

„Na majówkę w Mani-Lesie, każdy z sobą futer niesie" — brzmiały słowa jednej z majówkowych piosenek, w której tajemniczy „futer" był odpowiednikiem późniejszej, popularnej „wałówki". Nie tylko las na Mani był uprzywilejowanym miejskiem majówek. Urządzano je w każdą pogodną niedzielę od maja do października. Miejsce było mniej istotne. Wystarczyło trochę zieleni, kilkanaście drzew, by w ich cieniu przyjemnie spędzić niedzielę. Zaludniał się więc i wypełniał wesołym gwarem park fabryczny zwany Kwela, lasek na Grynbachu, zagajniki na Stokach i lasek Szeląg przy ul. Rokicińskiej. To ostatnie miejsce dostarczało szczególnych atrakcji dzieciom. W pobliżu przebiegały tory kolejowe, można zatem było z bliska zobaczyć prawdziwy, otoczony kłębami dymu i pary, pociąg.

Chętnie zbierano się też w małym lasku u wylotu ul. Emilii (dziś park nad Jasienią). Na zielonej murawie układano „bretle", czyli deski tworzące podłogę do tańca. Wstęp był wolny, grała orkiestra strażacka zakładów Scheiblera. Zdarzało się, że właściciel fabryki fundował dwie beczki piwa.

Mieszkańcy Szlezynga ze szczególnym upodobaniem wypoczywali wokół stawu scheiblerowskiego. Jego brzeg od strony ul. Milionowej porośnięty był starymi drzewami, przeważnie dębami. Zabierało się z domu starą kraciastą chustkę, której matka już nie używała do okrywania się w drodze do fabryki, koszyk z jedzeniem i butelkę z herbatą dla dzieci. Butelki zawijano w papier, żeby herbata nie stygła. W cieniu drzew rozkładano chustę i siadano. Dzieci bawiły się z rówieśnikami, dorośli szukali znajomych, aby we wspólnym gronie podzielić się nowinkami z ostatniego tygodnia. Gdy słońce zachodziło i koszyk po „wałówce" świecił już pustkami, wracano do domu.

Majówki często urozmaicone były różnymi atrakcjami. Pojawiali się przyjezdni kramarze, rozkładający „wygry", czyli loterie. Anonsowali się dowcipnym zawołaniem: „Kto ma żonę, kręci w jedną stronę, kto nie ma żony, kręci w obie strony!" i... nie narzekali na brak klienteli. Tym bardziej, że za jedyne dziesięć groszy każdy mógł stać się właścicielem pierścionka z błyszczącym w słońcu oczkiem, lub „rzadkiej piękności" wielkiego, gipsowego psa. Przychodzili też uliczni muzykanci, tak zwani „hauzeracy", z bogatym repertuarem aktualnych szlagierów: lirycznych i wesołych, sentymentalnych i frywolnych.

Tym, czym dla Warszawy były Bielany i Młociny, tym dla Łodzi były Łagiewniki. Tu, w pełni można było docenić urok łódzkiej majówki. Śródmiejskie enklawy zieleni, laski podmiejskie, lasy pod Wiskitnem, Tuszynem, Mieleszkami musiały ustąpić pierwszeństwa Łagiewnikom, którę gromadziły mieszkańców wszystkich dzielnic Łodzi. Trud pieszej wycieczki wydawał się znikomy wobec licznych niespodzianek i atrakcji.

Szczególnie uroczysty i masowy charakter miały łagiewnickie majówki w Zielone Świątki i podczas czerwcowego odpustu św. Antoniego. Wyruszano w gronie rodziny, znajomych lub rówieśników, zabierając ze sobą nieodłączną „wałówkę". Duży kosz lub zgrabnie zawiązany tobołek mieścił w sobie chleb, garnczek ze smalcem, rzadziej z masłem, kawałki kaszanki, czarnego kiełbasy. Szczelnie opatulone złożonym obrusem stały dwa „sztofy" z piwem bawarskim i jałowcowym. Z drugiej strony, oddzielnie owinięte, umieszczano butelki z podpiwkiem lub herbatą dla dzieci. Gdzieniegdzie bystrzejszy obserwator dostrzegłby butelkę „monopolki", choć byli i tacy, którzy uważali, że miejscem dla niej najodpowiedniejszym jest kieszeń marynarki.

Po przybyciu na miejsce obchodzono najpierw plac odpustowy, uważnie oglądano wszystkie kramy, kupowano precle i pączki, czasem drobne pamiątki dla tych, którzy z różnych przyczyn musieli zostać w mieście. Później szukano miejsca w lesie, w którym można by wygodnie spędzić resztę dnia. Odpoczynek urozmaicano sobie różnym; zabawami. Grano w piłkę, ciuciubabkę, berka, klipę, chowanego. Czasem ktoś dla żartu „ginął", by pojawić się z najmniej oczekiwanej strony.

Na zmęczonych letnim upałem i spragnionych czekały duże, miedziane syfony z wodą sodową ustawione w wiadrach pełnych lodu. Roznoszono też lemoniadę własnego wyrobu z pływającymi w niej plastrami cytryny. Wielkie zainteresowanie wzbudzał zawsze fotograf. Przenośny szyld informował, że mistrz „wykonywa obrazy sposobem momentalnym podług najnowszej mody". Sposób był, rzeczywiście, momentalny, gdyż cały proces obróbki przebiegał w dwóch wiadrach.

W różnych miejscach lasu przygrywały do tańca kapele. Grano przeważnie na akordeonach, gitarach, mandolinach, guzikówkach i ustnych harmonijkach. Nie brakowało tańczących. Walce, polki, sztajerki cieszyły się wielkim powodzeniem. Podchwytywano rytmiczne refreny, wybuchy śmiechu towarzyszyły dowcipnym, ad hoc improwizowanym przyśpiewkom, panowała atmosfera wesołej, powszechnej zabawy.

Późnym wieczorem wracano do domów. Tu i ówdzie niesiono kolorowe, bibułkowe lampiony, podświetlone od wewnątrz łojowymi świeczkami. Mężczyźni grali na harmonijkach. Powrotowi towarzyszył śpiew, nie tylko beztroski i wesoły. Nierzadko echo powtarzało słowa „Z dymem pożarów" czy „Czerwonego sztandaru".

„Święto Fajki"

Centrum Widzewa — Wodny Rynek. Był świadkiem ćwiczeń carskiej piechoty, pierwszomajowych akcji robotniczych, wystąpień przeciw lokautom, wieców. Zapisał się też w pamięci łodzian pogodniej, odświętniej, jako miejsce corocznie obchodzonego podczas Zielonych Świąt „święta Fajki". Był to chyba najstarszy łódzki festyn, przyniesiony gdzieś z Zachodu przez pierwszych imigrantów epoki przemysłu. Skąd taka nazwa — nie wiadomo. Może to przekręcone słowo „Feier", a może — jak chce legenda — pamiątka po cudownym ukazaniu się nad Wodnym Rynkiem godła fajczarzy.

Już na tydzień przed Zielonymi Świętami zjeżdżały na plac tabory wozów cyrkowych, budy jarmarczne, pojazdy kryjące w sobie strzelnice i dziesiątki niewidocznych jeszcze urządzeń. Rozbijano namioty, ustawiano karuzele, młyny diabelskie, drewniane tory do karkołomnych akrobacji rowerowych, bujające fotele, strzelnice, gabinety śmiechu i strachu, na trawnikach w parku Kwela układano drewniane podłogi do tańca.

W południe świątecznej niedzieli uderzał w niebo ryk i zgiełk, mający swe źródło w licznie zgromadzonych orkiestrach dętych, które w jednej chwili, równocześnie, rozpoczynały koncert. Towarzyszyły im katarynki ze swymi piskliwymi, skocznymi tonami. Na Wodny Rynek nadciągały tłumy mieszkańców Łodzi. Najmłodsi oblegali karuzele. Jazda na drewnianym rumaku była szczytem marzeń każdego chłopca. Ciasny wianuszek gapiów, otaczał każdy z kilku 12-metrowych słupów, zakończonych małym podestem, na którym znajdowała się nagroda. Otrzymywał ją ten, kto wspiął się po nią, a zadanie to wcale nie było łatwe. Słup był wysoki, gładki i stromy, często u wierzchołka powleczony tłuszczem. Kto jednak osiągnął wierzchołek, mógł liczyć na wysoką nagrodę — nawet ubranie czy zegarek.

Największą frekwencją cieszyły się zawsze pokazy tresury zwierząt. Przed wejściem do menażerii stał pogromca, zachęcający do wejścia. Już sam jego wygląd budził dreszcz emocji i zapowiadał niecodzienne przeżycia. „Pogromca miał na sobie żółte, lakierowane buty z cholewami, niebieskie rajtuzy i czerwoną kurtkę ze srebrnymi guzikami, złotym szamerowaniem i złotymi akselbantami. Pierś jego zdobiły dwa rzędy błyszczących „orderów". W rękach w białych rękawiczkach trzymał srebrny pistolet i krótki bat z długim biczyskiem. Małżonka pogromcy, ubrana w dżety i futrzaną narzutkę, z diademem we włosach, sprzedawała bilety. Z głębi namiotu dochodził ryk dzikich zwierząt". Tak przedstawia pogromcę przekaz z tamtego czasu.

Nieco spokojniej, choć nie mniej tłocznie, było w parku fabrycznym. Z podziwem spoglądano na żony i córki fabrykantów i majstrów, dla których „Fajka" była jedną z najlepszych okazji do zaprezentowania nowości ówczesnej mody. Również tu grała orkiestra dęta, można było potańczyć na drewnianych podłogach pod drzewami lub ochłodzić się „bombą" piwa w bufecie.

„Fajka" była wielkim świętem „Towarzystwa Strzeleckiego", które w tym dniu obierało, w wyniku konkursu strzeleckiego, Króla Kurkowego na najbliższy rok. Ceremoniał tych zawodów i ogłaszania nazwiska nowego króla był bogaty i widowiskowy, gromadził jednak głównie członków „Towarzystwa Strzeleckiego" i majstrów fabrycznych.

Dwudniowe „święto Fajki" na Wodnym Rynku dostarczało wielu silnych wrażeń, toteż długo było wspominane. Na widok kolorowych kramów odżywały wspomnienia wiejskich odpustów, ale koncert orkiestry dętej, cyrk czy menażeria to był już zaczarowany świat wielkiego miasta.

Zabawy dzieci i młodzieży

Kto dziś pamięta okrzyk: „Hulala szturmala!" Kto dziś pamięta owe „szturmy", nieodmiennie kończące się poszarpaniem ubrania, a nierzadko i uszczerbkiem na ciele?

„Szturmy" to autentyczne boje, staczane przez grupy chłopców z różnych dzielnic. Na kilka dni przed „szturmem" parlamentariusze jednej z grup wyruszali do drugiej, celem omówienia miejsca i czasu spotkania. Tylko te dwie rzeczy wchodziły w rachubę, gdyż odmowa potraktowana byłaby jako akt największego tchórzostwa. W oznaczonym dniu obie drużyny stawały naprzeciwko siebie obrzucając się kamieniami, następnie w ruch szły proce i sznajdry. Jeżeli w trakcie wymiany kamiennych „argumentów" nie wybito żadnej szyby i dorośli nie przeszkodzili w dalszej walce, kontynuowana była ona wręcz. Nic więc dziwnego, że „trup sypał się gęsto", a zwycięzcy szukali kolejnego, godnego siebie przeciwnika.

„Szturmy" zanikły przed pierwszą wojną i nigdy już w tej postaci nie pojawiły się. Ich miejsce zajęły bardziej pokojowe zabawy. Popularna była „klipa", zabawy z fajerkami i obręczami, a bardziej wtajemniczeni grywali w piłkę. Często była to zwykła szmacianka, zrobiona z mocno skręconych szmat i taśm bawełnianych, rzadziej piłka z „gracy", czyli taśmy gumowej ze starej zgrzeblarki. Skoki przez rowy, rzuty ciężkim kamieniem, biegi uliczne po oznaczonej trasie były z kolei namiastką lekkiej atletyki. Np. młodzież Księżego Młyna miała w tym celu wydzielony specjalny plac.

Stojący na środku trzepak był miejscem, gdzie zawierano najtrwalsze przyjaźnie, dzielono się największymi tajemnicami, obmyślano nowe zabawy. Metalowy trzepak posiadał cudowną moc. Dla starszych zaczynało roztaczać swe uroki wielkie miasto. Najpierw najbliższe podwórka, potem ulice, dzielnice, czasem dzielnice przyległe. Zabiegano, jak przechytrzyć dozorców w parku „Weneoja", aby móc obejrzeć „śmiertelne skoki", czyli popisy woltyżerki skaczącej na rowerze z wieżyczki do wody. Jeśli udało się przemknąć pod bokiem dozorcy, to był już powód do dumy. A jeśli jeszcze udało się zaobserwować taki skok, to szczęśliwy widz był przez kilka dni centralną postacią podwórka.

W niedziele i święta bawiono się na prywatkach, gdzie urządzano czasem potańcówki przy gramofonie. Popularna była też zabawa fantowa, z tej racji, że wykupywanie fantów dostarczało okazji do śmiechu. Powodzeniem cieszył się flirt towarzyski, umożliwiający za pomocą wydrukowanych na kartkach pytań i odpowiedzi wyznanie uczuć lub rozśmieszenie zebranych. Spotkania takie kończyły się zwykle wspólnym śpiewem. Gaszono światło, ciemności rozpraszał tylko blask ognia z pieca. Atmosfera takich wieczorów głęboko zapadała w pamięć uczestników.

Co z tego zostało?

Czy można mówić o kulturze robotniczej, o stylu życia środowiska robotniczego, o specyficznym sposobie spędzania czasu wolnego? Z całą pewnością tak. Z biegiem czasu styl ten ulegał zmianom. Modyfikowały go zarówno zmieniające się warunki życia codziennego, a także szybko rozprzestrzeniające się treści, niesione przez kulturę masową. Nie znaczy to jednak, że kultura robotnicza zatraciła swoje charakterystyczne cechy. Styl życia, obok świadomości, jest chyba najbardziej odpornym na zmiany elementem kultury. Wystarczy w letnią, pogodną niedzielę pójść do parku na Zdrowiu, odwiedzić Łagiewniki czy Arturówek. Wystarczy w niedzielne popołudnie przejść się wąskimi uliczkami Grynbachu, Bałut, Widzewa, aby odnaleźć tę specyficzną atmosferę robotniczego świętowania.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

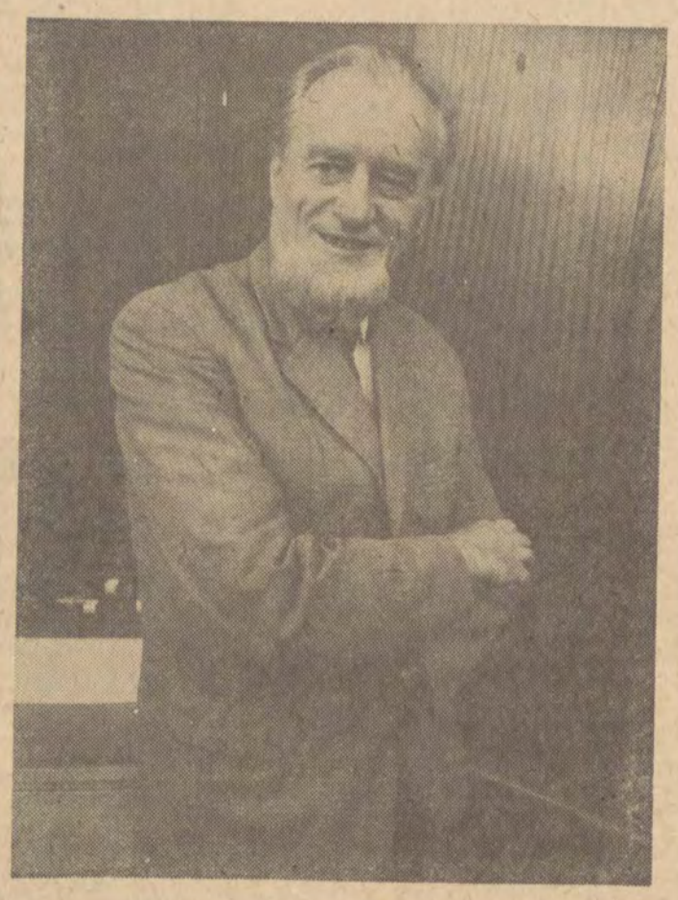

„Jestem tu w środku, stąd patrzę na świat, a nie ze świata — na Łódź".

Foto: R. Łucyszyn

Ze swoich wojennych peregrynacji wróciłem do kraju w lipcu 1946 roku. Powrót powinien oznaczać przyjazd do miejsc, które się znało, kochało, które się kiedyś opuściło. Ale Warszawa nie istniała. Przyjechałem do Łodzi, która była dla mnie jeszcze jednym nowym miejscem pobytu, nigdy przedtem nie oglądanym. Jeśli więc był to powrót, to w kategoriach makro; nie trącał tych malutkich, najgłębiej ukrytych, najistotniejszych przywiązań, sentymentów, uczuleń.

Na Dworcu Fabrycznym złapali moje żołnierskie worki brudne, obszarpane chłopaki, czyhający tu z czarną od węgla rolwagą na okazję. Tą rolwagą, za trzy paczki amerykańskich Cameli, za które tydzień wcześniej mogłem kupić we Frankfurcie skrzynkę kwaśnego nadreńskiego wina, zajechałem przed ponurą bramę kamienicy, w której miałem za chwilę paść w ramiona matce.

Powrót nie udał się po raz drugi: matki nie było, wskazane drzwi zamknięte na głucho. Zresztą zostawmy te szczegóły. Mieszkaliśmy tam potem z nią razem prawie dwa lata, w rozpaczliwie pustej ruderze bez żadnych wygód, bez wody, światła, gazu, kuchni i kanalizacji. Rozstawiłem amerykańską polówkę, którą nosiło się pod pachą prawie jak parasol, wbiłem gwóźdź w ścianę, powiesiłem mundur i mieszkałem.

Zaraz: co właściwie mam pisać? Moje wspominki „jako takie", moje przygody pisarskie czy kartki z powojennego życiorysu naszego miasta? Na wspominki za mało miejsca, a za dużo ich się pcha pod pióro. A co do pisarstwa... Co do pisarstwa to trafiłem wtedy chyba na niedobry moment. Łódź była przepełniona, a w tłumach zalewających Piotrkowską i okolice uwijały się setki a setki takich, co już pisali bądź chcieli pisać. Czytam wspomnienia pisarzy trochę ode mnie młodszych, o ich łatwych debiutach, o tym jak to w Lublinie czy w Krakowie przychodzili jako młodzi chłopaczkowie z byle czym do jakiejś tam redakcji i natychmiast zostawali zaangażowani oraz obrzuceni tysiącem zamówień i propozycji. Może tak było gdzie indziej. W Łodzi dojście do „środowiska" było niezmiernie trudne, ono już się skonsolidowało, zwarło szeregi, wystarczało samo sobie. „Nabór" już się dokonywał wyłącznie drogą osobistych koneksji, a przecież był to dla mnie teren zupełnie obcy. Zresztą zaraz podjąłem pracę w przemyśle, która wciągnęła mnie z uszami na całe ćwierćwiecze z górą — pracę trudną, odpowiedzialną, bardzo absorbującą. Podjąłem też za namową bliskich studia uniwersyteckie, spóźnione o tyle lat. Do tego normalne ludzkie sprawy — założenie rodziny, dzieci, mozolne urządzanie się, rozłożone z konieczności na wiele lat — gdzie tu mówić o pracy twórczej, o pisaniu?

Nawiązałem współpracę z radiem, ale wkrótce okazało się, że nie umiałem pisać tak, jak wtedy było trzeba. Wszystkie redakcje z Łodzi się powynosiły. Teatrzyki — „Osa", „Gong", „Syrena" — którym czasem coś podrzucałem do progamu, wyniosły się także, telewizji jeszcze nie było. Przez jakiś czas nie było w ogóle nic aż do „Łodzi Literackiej", która zdołała przeżyć ledwie parę miesięcy. Złożyłem tam artykuł, owszem — ukazał się prawie nie zmieniony, za to pod cudzym dość znanym nazwiskiem. Nosiciel owego nazwiska dawno nie żyje, mniejsza z tym. Zachęcające to nie było.

Całą powojenną ewolucję kulturalną naszego miasta, jego na tym polu wzloty i upadki opisał już na tym miejscu nader celnie Edward Szuster, niewiele chciałbym do tego dodać. Niedobrze jest ulegać stereotypom, ale przecież z powietrza się one nie wzięły, jakaś prawda u ich korzeni musiała tkwić. Atmosfera Łodzi nigdy nie sprzyjała bujnemu kwitnieniu sztuk nieużytkowych, w tym także literatury, i nie ma co powoływać się tu ciągle na dwa tuziny nazwisk z przeszłości, prawie nie znanych poza gronem łódzkich koneserów. Przez dwa czy trzy powojenne lata „Fraszka" na Piotrkowskiej i „Klub Pickwicka" na Traugutta pełne były ożywionych, hałaśliwych, zaperzonych dyskusji, zdawało się że całe miasto tętni od intensywnego życia kulturalnego, że jest ośrodkiem tego życia w skali kraju. A potem grono twórców wyjechało i od razu nastała cisza. Całą atmosferę zabrali ze sobą. „Fraszka" zmieniła się w sklep spożywczy, równie uczęszczany przez artystów „Albatros" (knajpa w baraku, stojącym wówczas tu gdzie dziś stoi pomnik dziewczyny w Alei ZMP) zamieniony został jednym pchnięciem buldożera w kupę spróchniałych desek.

W krakowskich i warszawskich kawiarniach renciści rozmawiają godzinami o najnowszych książkach i sztukach teatralnych. Fryzjerzy opowiadają klientkom plotki o aktorach, studenci obstawiają masowo wszelkie spotkania z ciekawymi ludźmi z kraju i ze świata; mimo ciążącego nad wszystkim molocha telewizji, wciąż jeszcze nie wypada nie wiedzieć o bieżących wydarzeniach życia kulturalnego. W Łodzi ten typ snobizmu nie istnieje zupełnie i nikt nie wie dlaczego, nikt nie wie, jak rozgrzać naszą publiczność, jak ją zainteresować, zarazić bakcylem sztuki. Był tu kiedyś kabaret „Pstrąg", jedyny kabaret, wspominany czasem także przez prasę pozałódzką. I znów nie czarujmy się: widownia tego kabaretu, kiedy istniał, świeciła przecież pustkami, a w całym mieście prawie nikt nie wiedział, że coś takiego gra i gdzie to się dzieje. Żadna inna scenka satyryczna w naszym mieście nigdy się nie udała, nie wywołała publicznej dyskusji, po prostu: nie była nikomu potrzebna.

A przecież miasto rozwija się wspaniale. Chciałbym tu dodać: od pewnego momentu. Ten moment to dla człowieka starszego zaledwie wczoraj, bo cóż to jest: dziesięć lat... Aż do owego momentu co drugą ulicę Łodzi kryły kocie łby, zapomniane już dawno w tysiącu innych miast. W co drugim domu śródmieścia skrzypiały co wieczór pompy, napełniające zbiorniki pod strychem wodą, czerpaną z miejscowej głębinowej studni. Pompy wciąż się psuły, nie było do nich pasów i części. Wtedy stawaliśmy w kolejkach do kranów w sąsiednich podwórkach, a ludzie z tamtych podwórek przychodzili trochę później do nas. To było wczoraj, nie dawniej niż jedno dziesięciolecie!

Przez wąziutkie, zwarcie zabudowane ulice przepychały się na siłę tramwaje i rosnące w liczbę samochody. Przejazd przez Łódź kosztował tyle czasu, co dojazd z Warszawy. Ktoś się niedawno na łamach „Odgłosów" oburzył, że nasze miasto nazywają uparcie miastem tysiąca kominów, że nigdy ich tyle nie było. Nie liczyłem, ale pamiętam nie tylko zdjęcia — będące chyba świadectwem obiektywnym — ale i własne wrażenia wzrokowe, gdy się dojeżdżało do Łodzi pod wieczór: las kominów, a każdy z pióropuszem czarnego dymu, zlewającym się z innymi w czarny tuman wiszący nad miastem. I pamiętam, że okna się zamykało, zamiast otwierać, żeby w mieszkaniu było jakie takie powietrze. To było zaledwie wczoraj.

A potem gwałtowny skok i niesłychane tempo zmian, trwające do dzisiaj. Z wąskich uliczek tworzą się nie wiadomo kiedy potężne arterie. Całe rzędy ogromnych kamienic, zamieszkanych przez tysiące rodzin, idą pod kilof, ustępują miejsca nowoczesnym blokom, zieleńcom, przestrzeniom. Niewiele jest w Łodzi obiektów, które warto by z pietyzmem chronić i konserwować, choćby kosztem dużych ustępstw z wygody i nowoczesności. Całe brzydkie i bardzo brzydkie dzielnice kłada się pokotem, powstaje zupełnie inne miasto. Po paru tygodniach nieobecności nie poznaję dzielnic na skraju Łodzi. Spotykam obrazy, nie kojarzące się absolutnie ze stereotypem „polskiego Manchesteru", wyniesionym z lektur i innych przekazów. Jeszcze nie ma filharmonii ani galerii, w której można by organizować duże wystawy plastyczne. Jeszcze nie powstał żaden nowy gmach teatralny poza operą, której piętnastoletnią historię pamiętam dobrze, bo oglądałem ją z własnych okien. Co do kin — zdaje się, że powstały dwa, na miejsce kilku starych, zlikwidowanych. Nie ma nowych, pojemnych pływalni, a zimą dzieci z łyżwami z całego miasta jeżdżą do hali sportowej, żeby raz na tydzień poślizgać się przez trzydzieści wyznaczonych minut. To są mankamenty, owszem. Ale spójrzcie, ile luksusowych domów kultury powstało na nowych osiedlach! Jaki piękny gmach otrzymała Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych i Biblioteka Uniwersytecka, jakie wyrosły hotele, w jakich różowych, przeszklonych, strzelistych wieżowcach urzędują zjednoczenia i centrale!

Coś musiało drgnąć także w atmosferze kulturalnej miasta, skoro nasz tygodnik — „Odgłosy" — wychodzi już z górą dwadzieścia lat, co się żadnemu przedtem czasopismu w Łodzi nie udało. Od kilkunastu lat pisuję tu felietony Cwieka, Od dawna jestem — niezależnie od wspomnianej już pracy w przemyśle, którą zakończyłem dopiero przed trzema laty — stałym współpracownikiem Polskiego Radia. Wydałem siedem książek, z tego cztery w Wydawnictwie Łódzkim. Nie jest to twórczość duża co do rozmiarów, a co do wartości — nie moja rzecz sądzić. Chcę tylko powiedzieć, że możliwości publikowania mam o wiele większe niż kiedyś i może to chyba potwierdzić każdy z łódzkich ludzi pióra. Oczywiście nie znaczy to, że jesteśmy zupełnie zadowoleni z tego, co jest i z tego, jakie jest. Wciąż gnębi nas wrażenie niedostatecznego rezonansu miejscowego społeczeństwa na działalność łódzkich środowisk twórczych. Tego administracyjnie zmienić się nie da, tak samo zresztą jak nie narodzi się na kamieniu grono genialnych animatorów, którzy by potrafili z dnia na dzień poderwać łódzkie instytucje kulturalne — nasze pisma, kluby, teatry i galerie do hołubionego w wyobraźni poziomu, nadać im walor spraw dla każdego ważnych, istotnych, pasjonujących.

Jeszcze jedno zjawisko, jeszcze jeden jakby nie było snobizm spotyka się często w Warszawie, a nie spotyka się go w Łodzi. Każdy mieszkaniec stolicy po roku pobytu tamże uważa się za warszawiaka i tak się przedstawia. A zapytajcie łodzianina — każdy odpowie: właściwie to ja jestem z urodzenia warszawiak, albo krakowianin, albo poznaniak. „Łódzkość" widocznie nie nobilituje obywatela w jego własnym przekonaniu tak, jak „warszawskość" lub inna regionalna proweniencja. Trzeba by zbadać jeszcze i to zjawisko. Co do mnie — jestem rzeczywiście urodzony i wychowany w Warszawie i pełen do niej sentymentu, ale Łódź dawno przestała być dla mnie nowym miejscem pobytu. Jestem tu w środku, stąd patrzę na świat, a nie ze świata — na Łódź. W takiej sytuacji — może to i trudniej obiektywnie ocenić zaszłe i nadal zachodzące w naszym mieście zmiany, tak jak nie dostrzega się zmian na obliczu osoby, z którą razem człowiek się starzeje?...

BOLESŁAW WOJEWÓDZKI

PRZESZEDŁEM SZKOŁĘ ŻYCIA

WŁADYSŁAW MAJ mówi prosto, patrzy rozmówcy w oczy.

— Nie czuję siedemdziesiątki „na karku" — **uśmiecha się.**

Jest krępy, dobrze zbudowany.

— Niewielkie to moje mieszkanie — **mówi.** — Domek ciasny, ale własny. Pokój z kuchenką i przybudóweczkami. Architektura charakterystyczna dla proletariusza. Bo to budowałem według swojej potrzeby. Tu coś dla świnki, tam dla królików, dla ptactwa, a tam dla pieska. Tylko ta „wygódka", wapnem bielona, paskudzi mi zabudowę. Studzienka przy drodze. Wygoda.

Nie zawsze mi tak było. Trudne miałem życie. Urodziłem się w gajówce Gabrielówka. Dziadek Stanisław był gajowym. Mój ojciec, Zygmunt, wyjechał w 1913 roku do Niemiec. Nie wrócił. Widocznie zginął gdzieś. Dziadka przenieśli do Jeżowa. Staruszek żył już krótko. Po jego śmierci matka przeniosła się do Skroniny. Od dziesiątego roku pracowałem w majątku ziemskim „za pół kobiety".

Skończyłem tylko trzy oddziały szkoły wiejskiej. W Skroninie mieszkaliśmy w czworaku. Rzuciłem pracę we dworze, zacząłem pracować na kolei przy budowie i konserwacji torów. Zarabiałem dobrze. Przepracowałem tam siedem lat. Miałem już dziewiętnaście, gdy przeniosłem się do Petrykoz. Budowano tam cegielnię. Zostałem forszpanem. Jeździłem z panem Śródką, kierownikiem budowy. Specjalista do ustawiania maszyn ceramicznych był Austriak inżynier Macura. Wypijał za jednym posiedzeniem szesnaście litrów piwa. Miał ogromny brzuch. Trzymał, cholera, przy sobie chłopca do wyjmowania „siusiaka", bo własną ręką nie mógł go dostać.

W 1932 roku zostałem wcielony do wojska, gdzie okrzepłem i nauczyłem się wielu zawodów. Wróciłem do cywila w 1934 roku i zamieszkałem w Opocznie, na Skale, u Feliksa Goworka. Wstąpiłem do PPS. Zacząłem pracę w „Wulkanie", gdzie wypalano opoczyńskie wapno z kamienia, którego było tu w bród. „Wulkan" i Huta Szkła były własnością Józefa Chmielnickiego. Przeniosłem się do Huty Szkła. Pracowałem przy Siempińskim, starszym „szmelcerze", czyli wytapiaczu szkła. Za naukę zawodu zapłaciłem 60 złotych.

Po praktyce pracowałem samodzielnie. Zarabiałem cztery złote osiemdziesiąt groszy dziennie.

Dojrzewałem klasowo. Zrozumiałem wagę solidarności, dowiedziałem się jak robotnik jest wyzyskiwany. W 1935 r. po raz pierwszy wziąłem udział w strajku. Strajk trwał tylko dziesięć dni. Żądaliśmy tylko dwadzieścia groszy dziennie więcej. Wygraliśmy strajk.

Pamiętam inny strajk. U Dziewulskiego i Langego. To dzisiejsze Zakłady Płytek Ceramicznych. Było to w grudniu 1937 roku. To był strajk! Załoga Huty Szkła zobowiązała się płacić na rzecz strajkujących. Mężczyźni czuwali w fabryce dzień i noc. Chłopi ze wsi: Libiszów, Bukowiec, Kruszewiec, Wola Załężna, Prymusowa Wola dowozili strajkującym żywność. Strajk trwał sześć tygodni. W fabryce rodziły się dzieci i umierali ludzie.

Narodowcy z posłem Pacholczykiem na czele wezwali organizacje chłopskie ze wsi: Pilichowice i Ostrów. Powiedzieli, że komuniści napadli na kościół. Chłopi przyjechali konno z kosami i widłami, okrążyli Opoczno. Postanowili wypędzić strajkujących. Robotnicy nie dali się. Zawrzała walka. Polała się krew. Byli ranni i poturbowani. Odpędziliśmy narodowców.

Antoni, Józef i Jan Ziółkowscy zostali uznani za prowodyrów strajku. Otrzymali wysokie wyroki. Część kary odsiedzieli.

W 1937 roku poseł Grzecznarowski zorganizował w Radomiu manifestację pierwszomajową. Z Opoczna przyjechało 10 osób. Pojechałem i ja. To była „czarna sobota". Policja strzelała do nas. Byli zabici. Robotnicy rzucali kamieniami, lali gorącą wodą i zrzucali z pięter beczki z benzyną.

Prowadziliśmy też „garkuchnię" dla bezrobotnych. Otrzymywali oni bezpłatnie zupy. Gotowaliśmy za mało porcji. Nie mieliśmy pieniędzy. Żądaliśmy uruchomienia robót publicznych. Ziółkowscy, Żak, Mizera i inni — poszliśmy do starosty. Służąca powiedziała, że go nie ma. Zauważyliśmy jednak, że starosta wygląda zza firanki. Wróciliśmy. Wyważyliśmy drzwi. Stanęliśmy przed gospodarzem powiatu. Starosta powiedział: „Podczas lata zarabiacie półtora złotego dziennie. Powinna wam wystarczyć złotówka na dzień. 50 groszy należało odkładać „na czarną godzinę". Odeszliśmy. Nasze interwencje były daremne. Grzecznarowski interweniował dalej. Pomagali Gaczyńscy i Grudniowie z Drzewicy. Nic nie wskóraliśmy.

Podczas okupacji pracowałem i pomagałem w walce. Przeżyłem okupację.

W 1945 roku wstąpiłem do PPR. Brałem udział w wyborach, w podziale ziemi, w zakładaniu spółdzielni produkcyjnych. Dużo by wspominać.

Na przykład: wybory w Dąbrowie nad Czarną. Obsługiwałem je ze Stanisławem Szkodą. Okolica znana z band.

Po wyborach zostawiłem Szkodzie pistolet, legitymację partyjną i różne drobiazgi. Zamierzałem udać się do Przyłęka. Jednak radzili, abym szedł szosą, inni, żeby iść lasem. Wybrałem las. Było dwa kilometry bliżej. Kiedy znalazłem się w głębi lasu, zatrzymali mnie dwaj osobnicy.

— Dokąd idziesz?

— Do Przyłęka, do teścia.

— Skąd idziesz?

— Z Jaksonka.

Jeden kazał mi podnieść ręce do góry. Drugi trzymał mnie na muszce rewolweru. Pierwszy zrewidował mnie. Nic nie znalazł. Uderzył mnie raz i drugi w twarz. Przewróciłem się. Kazał mi wstać. Drugi ucinał „dębczaka". Wrócił. Kazał mi się rozebrać. Szukają w porzuconym ubraniu. Znaleźli legitymację związkową.

— Gdzie masz spluwę? Gdzie legitymacja partyjna?

— Nie mam, bo nie miałem.

— A do kogo strzelaliście koło cmentarza. Do kogo koło gminy? Mów!

Tłumaczenia nic nie pomogły. Zbili mnie „na błoto". Przewróciłem się. Kazali wstać. Nie miałem sił. Zaczęli bić „dębczakiem". Kazali wstać. Miałem jeszcze na tyle sił, że poderwałem się i z trudem wstałem. Znów mnie bili. Znów upadłem. Kazali wstać. Nie reagowałem. Wyższy podniósł mnie. Stanąłem. Trzymałem się drzewa. Kazał mi zebrać ubranie.

Rozkazał iść i nie oglądać się.

— Jeśli się obejrzysz, dostaniesz kulę w łeb.

Szedłem wolno. Doszedłem do stodół wsi Rożenek. Skręciłem do stodoły dworskiej. Przyszedł dziadek. Poznał mnie, bo w tej wsi dwukrotnie prowadziłem zebranie. Sprowadził dwie kobiety. Ubrały mnie. Nie miałem sił. Byłem czarny od pobicia. Staruszek sprowadził furmankę. Zawiózł mnie do Przyłęka, do teścia. Teść umieścił mnie w stodole na pierzynie i poduszkach. Leczyli mnie okładami z zsiadłego mleka. Leżałem około sześciu tygodni.

W Białaczowie byłem pełnomocnikiem gminy. Gdzie się udałem, „nachodziła" mnie banda. Nie chciałem nocować na posterunku Milicji Obywatelskiej. Prosiłem więc, aby milicja odprowadzała mnie do Miedzny. Z Miedzny przyjeżdżałem ciągnikiem, który wiózł glinę do Opoczna. Rano, milicja odprowadzała mnie z Miedzny do Białaczowa. Wójtem był wtedy Nowak. Pokazał mi list, jaki do mnie przysłali eneszetowcy. List był krótki:

„To samo cię spotka, co spotkało Borowika i Pieczyńskiego".

Równało się to wyrokowi śmierci. Po sześciu tygodniach przyszła banda do gminy. Strzelali za mną. Uciekłem do Urzędu Gminnego. Wójt zamknął drzwi. Zadzwonił po milicję. Uciekli.

Borowika i Pieczyńskiego zakopali żywych z poprzetrącanymi kośćmi. Kiedy grubo później ich ekshumowano, nie było co zbierać. Ciała rozsypywały się.

Przeszedłem nie lada szkołę. Instynktownie wierzyłem, że przeżyję. Umiałem „bandziorów" wyprowadzać w pole.

W Rusinowie też byłem pełnomocnikiem. Grasowali tam Dziedzic i Dragal. Bywali nawet na zebraniach wiejskich. Ludzie znali ich dobrze. Chodziłem na takie zebrania z wójtem. Wójt zarzekał się:

— Za żadne pieniądze nie szedłbym z kimś innym.

Mieliśmy szczęście. Wracaliśmy cali i zdrowi.

Do pracy w Zakładach Płytek Ceramicznych przeniesiony zostałem w 1948 roku. Przez 7 lat piastowałem stanowisko sekretarza zakładowej organizacji partyjnej PZPR, przez trzy kadencje byłem członkiem Egzekutywy KP PZPR. Od 1976 roku jestem przewodniczącym Rady Emerytów.

Fabryka Petersa 1853

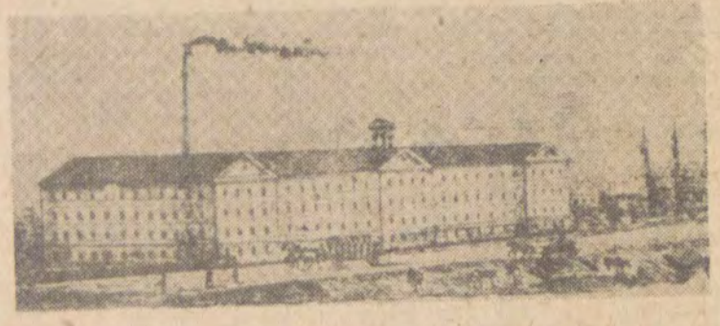

Fabryka Geyera w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku

Rynek Nowego Miasta 1866

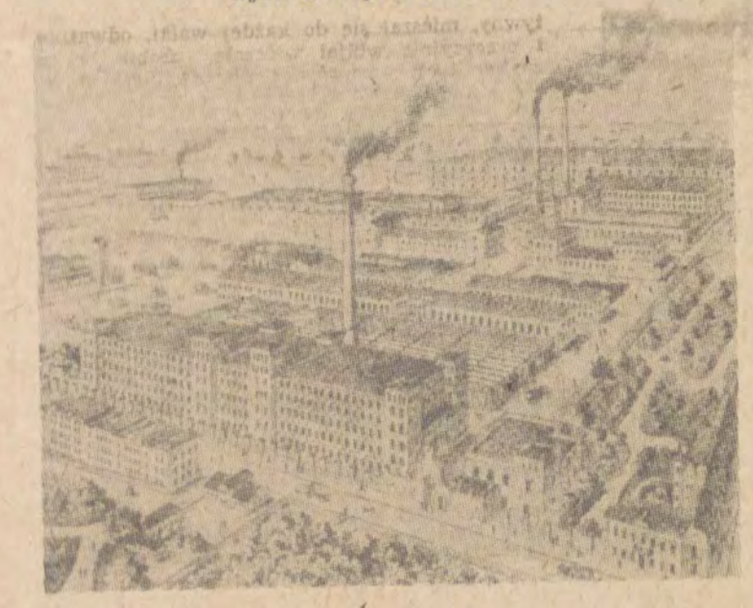

Fabryka Poznańskiego 1896

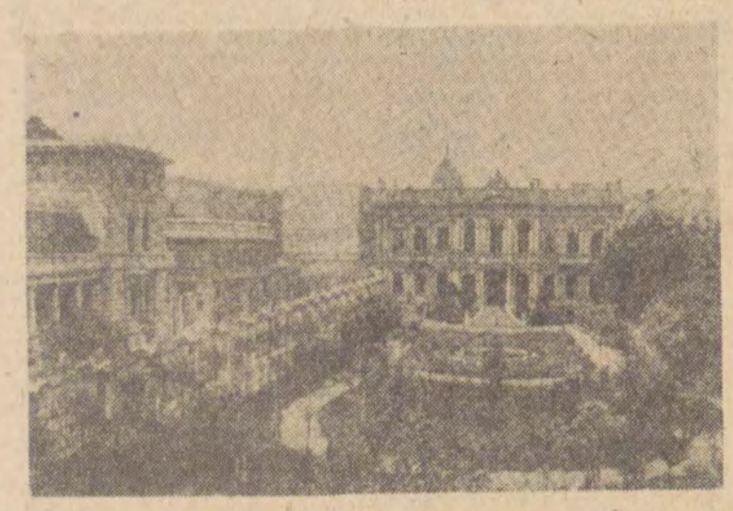

Pasaż Meyera 1888

Fabryka Meyera na Mani 1896

Jerzy Binder

ZBRODNIA W OSADZIE ŁÓDKA

Ludwik Ferdynand Meyer od kilku już godzin siedział w swym gabinecie. Z nikim nie rozmawiał, nikogo nie przyjmował, nie załatwiał żadnych spraw. Rozpamiętywał dzisiejsze ranne wydarzenie, o którym głośno już było w całej osadzie, a które rzucało niesławę także na pierwszego fabrykanta. Był wstrząśnięty. Jeszcze mu brzmiały gromkie pogróżki naczelnika Policji Prostej w Zgierzu: — *Pójdzie za to na katorgę i to co najmniej na 15 lat, a wam gaspadin Meyer, też to nie ujdzie na sucho, toż to przecież wasz pierwszy pracownik.*

Zatroskana żona Emilia napominała dzieci, zwłaszcza młodsze, by się zachowywały cicho i nie drażniły ojca niepotrzebnymi krzykami. Była głęboko zmartwiona tym, co się stało. A znała sprawę dokładnie. Któż jej zresztą w tym, dopiero co rodzącym się mieście nie znał? Mąż opowiedział jej wszystko po powrocie ze Zgierza, gdzie w areszcie zatrzymano Michelsa. Rano, przyszła pod bramę Marcjanna i rzuciła się z pazurami na obermajstra za to, że poprzedniego dnia wyrzucił z pracy jej córkę, bo, zamiast pracować, lepiła z koleżanką bawełniane lalki. Zaskoczony Michels zasłonił się przed niespodziewanym atakiem furii i uderzył napastniczkę, lekko — jak mówił — ręką na odlew, ale Marcjanna już się po tym nie podniosła. Leżała jeszcze długo, zbroczona krwią, nim straż miejska usunęła zwłoki. Przechodnie w milczeniu mijali leżące ciało, triumfowały tylko bogobojne sekutnice, widząc w tej nieoczekiwanej śmierci karę Bożą za złe prowadzenie się „tej rozwiązłej rozpustnicy"

Emilia Meyer znała — jak wszyscy Marcjannę. I jak wszystkie uczciwe i przyzwoite matki i żony pogardzała nią. Ale mąż, po powrocie ze Zgierza, powiedział jej coś, co w niej tę pogardę zachwiało. Otóż naczelnik policji oświadczył, że mała Weronka nie była córką Marcjanny. Przygarnęła ją jako kilkutygodniowe, porzucone dziecko i opiekowała się jak własnym. Gdy osiągnęła swe lata, postanowiła ją oddać do pracy. Tak zresztą robiła większość matek, bo starsze dzieci musiały zarabiać na młodsze i na te, co się dopiero miały urodzić.

Emilię, a także jej męża ta wiadomość zaskoczyła. Dla samej sprawy jak stwierdził Meyer, nie miało to żadnego znaczenia. Zbrodnia jest zbrodnią, bez względu na to, czy była to córka własna czy przybrana Ale Emilia zaczęła podświadomie rewidować swój sąd o Marciannie. Proszę, to nie było jej dziecko tylko cudze, przy tym nic wiadomo czyje, a traktowała je jak rodzone. Kręciła w zdumieniu głową, ilekroć w owym ciężkim dniu o tym pomyślała.

Meyer głaskał powoli swą długą, srebrzystą brodę. Uspokajał się. Zbrodnia jest zbrodnią, powtarzał sobie nie wiedzieć który już raz i Michels musi za nią ponieść karę, zgodnie z prawem. Michels.. teraz sobie dopiero uświadomił, że go właściwie nie lubił. Drażniło go jego niechlujstwo, pijaństwo, porubstwo. Wiedział, że ładne, zwłaszcza młode robotnice musiały mu płacić ciałem za prawo stawania przy maszynie. I on to wszystko tolerował. Dobrze więc, że tego Michelsa diabli wezmą, że się go wreszcie pozbędzie.

— *Zabiłeś człowieka, ty durniu!* — tłumaczył mu przed kilku godzinami w areszcie zgierskim, gdy mu zezwolono na widzenie z obermajstrem.

— *Dziwkę* — odparł ponuro Herman. — *I nie chciałem tego.*

— *Dziwka jest tak samo człowiekiem* — irytował się coraz bardziej Meyer.

Jak ona mogła — myślał — *iść do łóżka z takim bydlakiem.* Nigdy nie interesowały go kobiety, poza własną żoną, jego pasją były interesy i pieniądze, ale ilekroć spotykał Marcjannę — patrzył na nią bez odrazy, ba, z przyjemnością. Była zawsze taka czysta, schludna, uśmiechnięta... *I to bydlę, stojące tu przed nim...* — zdjęło go obrzydzenie.

— *Komisarz mówi, że czeka cię katorga...*

— *Ale pan mnie przecież nie zostawi* — przerwał mu Herman. — *Pan, ja... to jest, ja panu* — plątał się jakby bezsensownie.

— *Koniec widzenia* — w drzwiach stał strażnik, dzwoniąc kluczami.

Meyer bez słowa opuścił celę. Oby sąd odbył się jak najszybciej, myślał teraz, siedząc w swym gabinecie. Wyrok, zsyłka i sprawie ukręcić łeb. A pogróżki naczelnika, że jemu nie przejdzie to na sucho, to oczywiście zwykła przymówka o łapówkę. Trzeba będzie jutro podesłać do Zgierza kilkanaście łokci najprzedniejszych batystów.

Do drzwi zapukała Emilia:

— *Ludwig, dam Mittag — essen.*

Meyer niecierpliwie machnął ręką, więc się szybko wycofała, zamykając bezszelestnie drzwi. Ale, co miały oznaczać słowa: *Pan mnie przecież nie zostawi.* Zmarszczył brwi. *Jaka biła z nich pewność i skąd się ona bierze?*

...To było na samym początku twojej kariery, jeszcze w Królestwie Polskim — pamięć podsunęła mu wydarzenia sprzed lat. *Wróciłeś akurat z Warszawy, gdzie podpisałeś umowę z Benedyktem Tyklem, Komisarzem Sekcji Fabrycznej w Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji. Zobowiązałeś się w niej uruchomić, do końca roku, co najmniej 100 krosien bawełnianych w osadzie Łódce. Był styczeń 1828 roku, czasu miałeś więc sporo, ale byłeś bez grosza! W obawie przed kompromitacją i zerwaniem umowy przez rząd Królestwa, podjąłeś kroki ryzykowne, które o mało nie skończyły się katastrofą. Rozpocząłeś na dużą skalę przemyt bawełny z Rosji do Prus, a do Rosji pruskich tkanin. Zbiłeś szybko duże pieniądze i... wpadłeś!*

Uśmiechnął się, bo pamięć wyjątkowo dobrze przypomniała mu scenę, gdy komisarz rządu spisywał — tytułem zabezpieczenia — jego ówczesne ruchomości: 22 koszule, 4 powłoczki, 4 ręczniki, 1 obrus, 4 pary spodni, 1 stolik, 6 krzeseł i 111 książek. Gotowizna — 105 rubli w banknotach i 95 srebrem.

Powiódł wzrokiem po umeblowanym gabinecie, pieścił spojrzeniem przepiękną porcelanę i srebra, z dumą przypomniał sobie wielkość bankowego konta.

Wszedł lokaj. Meyer, zamyślony, dostrzegł go dopiero w momencie, gdy zapalał lampę na biurku.

— *Wystarczy* — wstrzymał go, gdy chciał zapalać następne. Wolał dziś półmrok, choć zwykle kazał palić wszystkie lampy.

...Ale uratował cię wtedy Michels — pamięć była natrętna. *Całą winę wziął na siebie, zeznał, że robił to bez twojej wiedzy, na własną rękę. Nikt temu, oczywiście, na serio nie dawał wiary, ale skoro zeznał pod przysięgą i podpisał... Ty zapłaciłeś tylko za niego niezbyt dużą grzywnę. — I dałem mu wtedy wysoką gratyfikację, za którą kupił sobie dom w rodzinnej wsi, uczyniłem go swoim zastępcą. To dość — nie?*

...Zastępca księcia — namiestnika na Prywiślinskij Kraj, rozparty wygodnie w fotelu, czytał półgłosem pismo, skierowane do najwyższego majestatu: *...nie utraciłem względów do łaski Najjaśniejszego Pana, bom w niczym nie należał do zaburzeń, które zakrwawiły jego ojcowskie serce, ale owszem, na czele moim, jako pierwszego obywatela osady, zachowany był porządek i wierność do prawego rządu, któremi śmiało chlubić się mogę...*

— *Myślę, że jego ekscelencja zechce poprzeć waszą prośbę w Petersburgu, gaspadin Meyer. Żegnam pana i życzę korzystnych interesów.*

...Pamiętasz tę scenę? — szydziła pamięć. *Gdy innym konfiskowano mienie za udział w listopadowym zrywie wolnościowym, zsyłano na katorgę, ty na powstańczej klęsce zarobiłeś. Co to ma do rzeczy* — żymał się Meyer. — *Co mnie obchodziła garstka idiotów, która porwała się na tak niezmierzoną potęgę? A poza tym nie byłem i nie jestem Polakiem. A majątek w Rudzie, o sprzedaż którego wtedy zabiegałem, był mi niezbędny do uprawy i produkcji barwników.*

...A także okowity — zachichotała pamięć — *w dodatku fałszowanej...*

Zapukano do drzwi.

— *Rein* — krzyknął rozwścieczony Meyer. Ale, zaraz się uspokoił, bo oto w drzwiach stanęły Szarlotte i Amalia — ulubienice ojca. Uśmiech rozjaśnił jego twarz. Twarz patriarchy, z długą, rozłożystą brodą.

— *Gute Nacht, Vati* — zaszczebiotały dziewczynki. Posadził je sobie na kolanach, ucałował i odprawił ze słowami:

— *Na geht ich schon schlafen, meine Kinder.*

Dziewczynki odchodziły trochę zawiedzione, zwykle ojciec poświęcał im przed snem znacznie więcej czasu, opowiadał ciekawe bajki, ale dziś — Mutti im to powiedziała — jest w złym humorze, nie należy go więc niepokoić. Zadzwonił na lokaja i kazał podać kawy.

...Przecież cię za fałszerstwa z okowitą aresztowano — drwiła pamięć. I znów, gdyby nie Michels, kto wie, jak by się sprawa skończyła. *Ale majątek w Rudzie sprzedałem i pokryłem należności* — bronił się.

...To prawda — przyznała rzeczowo pamięć — *ale całą winę za wykazywanie mniejszych niż sprzedawano, ilości okowity wziął na siebie Michels. Dałem mu wtedy tyle pieniędzy, że jego żona ma dziś największe gospodarstwo.*

Wszedł lokaj i postawił na biurku dzbanek z kawą, nalał filiżankę i bez słowa opuścił gabinet. Za oknem była już noc, w pokoju zrobiło się mroczno i ponuro. Wypił łyk kawy, drugi i nagle łapczywie opróżnił filiżankę. Nalał drugą. Pijąc już drobnymi łyczkami, tłumaczył sobie: *Za wszystko mu zapłaciłem, nie jestem mu nic dłużny, nie mam wobec niego żadnych zobowiązań.* Mówił to już jednak z mniejszym niż poprzednie przekonaniem.

...A bony? — drążyła nieubłagana pamięć. *Chciałbyś o tym największym oszustwie zapomnieć, co? Więc ci je przypomnę. Tracąc miarę w zdobywaniu fortuny, część należności za pracę wypłacałeś robotnikom w bonach, za które mogli nabywać towary w twoich sklepach, przede wszystkim okowitę, przypominam: fałszowaną* — zaśmiała się zgryźliwie. *Wkrótce bony zalały łódzki rynek, było ich więcej niż rubli i kopiejek, bo na sumę 28 tysięcy rubli srebrem. Wezwany do magistratu oświadczyłeś, że wypuściłeś ich tylko na sumę 8 tysięcy rubli srebrem, reszta jest sfałszowana! Produkcją, ewidencją i rozprowadzaniem bonów zajmował się Michels i on w magistracie zaprzysiągł, że powiedziałeś prawdę! Wykupiłeś ich więc tylko za 8 tysięcy, a kto się do kantoru nie dopchał, pozostały mu bezwartościowe świstki papieru...*

Meyer zwiesił głowę na piersi, zdawało się, że drzemie. Trwał tak długą chwilę. Zegar wybijał północ. Podniósł się z fotela z ogromnym wysiłkiem, jakby dźwigał na ramionach dwakroć tyle lat niż ich miał. Ktoś zastukał delikatnie do drzwi i za chwilę stał w nich najstarszy syn, Adolf.

— *Fielst du dich gut, Vater?* — spytał z troską.

— *Sehr gut, meine Jungs, gute Nacht.*

— *Gute Nacht* — Adolf skłonił głowę i wyszedł.

Stał jeszcze długo przy biurku, coś w sobie ważył, o czymś intensywnie myślał, marszczył czoło, przygryzał wargi i szarpał brodę, wreszcie, ciężkim krokiem przeszedł do sypialni, klęknął przed dębowym łóżkiem, z rozpiętym nad nim srebrnym Chrystusem na dębowym krzyżu. Przeżegnał się:

— *Vater unser, der du bist im Himmel...*

Szef Policji Prostej w Zgierzu, zażywny, postawny mężczyzna, lat około czterdziestu, podniósł się zza biurka na widok gościa.

— *Aaa, gaspadin Meyer, witam serdecznie. Proszę siadać* — wskazał uprzejmie fotel przed biurkiem.

Meyer siadł ciężko i milczał. Trwało to tak długo, że zniecierpliwiony policmajster spytał wreszcie.

— *Czym mogę służyć, gaspadin Meyer?*

Ten jakby się ocknął. Patrząc prosto w oczy policjantowi mówił dobitnie, jakby skandował słowa:

— *Pan chyba wie, panie komisarzu, że ta kobieta chciała Michelsa...*

— *Pójdzie swołocz na katorgę...*

— *...że ta kobieta* — mówił, nie dając się zbić z tropu — *chciała oblać Michelsa żrącym kwasem, wypalić mu oczy.*

— *Wypalić oczy?* — spytał zdumiony policmajster. — *Kwasem?*

— *Tak. I są na to świadkowie.*

Meyer otworzył sakwojaż, wyjął z niego dwa rulony srebrnych dwudziestorublówek i położył na biurku. Były tak zapakowane, że policmajster jednym spojrzeniem ocenił, iż jest ich razem pięćdziesiąt. *Tysiąc rubli.* — pomyślał. *Srebrem!*

— *Coś jakby do mnie dotarło* — bąkał teraz bez większego przekonania. — *Nie pamiętam, śledczy mi to mówił czy też ktoś inny. No, ale sprawdzimy* — już odzyskał pewność siebie. — *Oczywiście, oczywiście, sprawdzimy* — zapewniał gorąco.

— *I co wtedy?* — chłodno spytał Meyer.

— *Jak to, co?* — odparł drwiąco policjant. — *Działał w obronie własnej, a więc jest niewinny...*

(Fragment noweli filmowej)

Jerzy Binder

ZBRODNIA W OSADZIE ŁÓDKA

CORRIDA NA PLAZA DE TOROS

(korespondencja z Hiszpanii)

Dalszy ciąg ze str. 1

Widzę nagle z góry ten sam prostokątny, piaszczysty wybieg, który podglądałem z ulicy. Konie pikadorów ciągle łażą miarowo w tę i z powrotem, a ziemia pod nimi wilgotna i miękka, żółci się kałużami końskiego moczu. Są także sterty kału, które jakiś człowiek zbiera systematycznie na łopatę podczas gdy szacowna dama dotyka czubkami upierścienionych palców głowy toreadora.

Potem podchodzę do innego otworu i raptem czuję żal i smutek. Widzę byki — ową drugą, niemą połowę bohaterów. Dwie obory bez dachów — w jednej łaciate, biało-czarne, w drugiej czarne jak smoła. I dziwna rzecz — te łaciate stoją, podrzucają łbami, robią od czasu do czasu parę kroków, nudząc się niejako, podczas gdy te czarne — osiem czy dziewięć brył mięsa i tłuszczu — spoczywają na brzuchach w absolutnym bezruchu, tak jakby kontemplowały albo przeczuwały swój los.

Po raz któryś zadaję sobie pytanie, czy naprawdę chcę to zobaczyć. Walczę ze swoim specyficznym kodeksem moralnym. Zawsze żal mi krów, które stłoczone na platformach ciężarówek podążają w Łodzi pod prąd, przyglądając się po raz ostatni światu swoimi wielkimi, czarnymi, zaciągniętymi smutkiem oczami, porykując z cicha, żałośnie. Jednocześnie bardzo lubię wołowinę. No dobrze, ale w rzeźniach zabijają je szybko, bezboleśnie, a te tutaj muszą walczyć. Ale sam, gdybym miał zginąć, to jak? Pokornie, z opuszczoną głową, czy z nożem w ręce i pianą wściekłości na ustach. No, ale niektóre byki naprawdę nie chcą walczyć, dowiedziałem się o tym dopiero w Madrycie. Wychodzą na arenę i nie dają się sprowokować, są obojętne, całkowicie nieruchome, przyglądają się uzbrojonym ludziom, jakby chciały powiedzieć: dajcie spokój, kochani, o co wam chodzi! Wtedy przywołuje się na plac pastucha z krowami, że to niby płeć piękna potrafi je trochę rozruszać. I rzeczywiście, czasami przynosi to skutek i odbywa się normalna corrida, lepsza czy gorsza. Z kolei, czasem, byk unika i tej przedostatniej, podstępnej pułapki i, Bóg mi świadkiem, źle robi, że unika! Jest uparty, nie daje się w żaden sposób sprowadzić z areny, zresztą — nie ma takiego zwyczaju. Więc podchodzą do niego z nożami, trzech — czterech i zaczyna się na oczach tłumu normalna jatka.

Może jednak będę miał szczęście? Może zginą w twardej, zapamiętałej, nierównej walce przeciwko LUDZIOM, panom świata, istotom, które zdołały narzucić wolę całej naturze: ptakom, które strzela się dla zabawy na wszystkich kontynentach, albo morduje po prostu na pieńku, rybom, które wyciąga się z oceanów i rzek i podaje z galaretą na półmiskach w wigilijną noc, zniewolonym drapieżnikom, przewożonym w klatkach do ogrodów zoologicznym, kotom, szczurom i psom, które giną na prosektoryjnych stołach pod lancetami lekarzy...

Dobrze, obejrzę tę corridę. Mój kodeks moralny jest w końcu kodeksem człowieka. Bardzo lubię wołowinę i drób, no i wolę w końcu śmierć na placu boju.

Mój bilet został ponownie przedarty, a mężczyzna, który to zrobił, poprowadził mnie na ściśle wyznaczone miejsce: Andanada 7, filia 4, pole 55. I zorientowałem się od razu, że jest to bardzo dobre miejsce. Na bilecie pisało „słońce" (sol) i latem, gdybym tu siedział, blask oślepiłby moje oczy, nie mówiąc już o piekielnym upale. W październiku jednak, o tej porze, słońce dokucza już innym sektorom, tym, w których miejsce kosztuje nieraz kilkanaście razy więcej. Najdroższy, pojedynczy bilet kosztuje 2250 peset (18 dolarów), najtańszy zaledwie 100.

Usiadłem więc na kamiennym masywie pośród starszych wiekiem Hiszpanów, którzy pili zimne piwo z puszek (el Aguilla Dorada) i palili swoje cygara, a wokół rozciągał się widok olbrzymiego, bardzo stromego amfiteatru, przy czym widownia była przykryta dachem, zaś arena na powietrzu, to znaczy: w studni mierzącej osiem czy dziewięć naszych polskich pięter. Ktoś cierpiący na lęk wysokości nie mógłby tam siedzieć na samej górze: miałby wrażenie, że zaraz zwali się na zbity łeb. Było naprawdę wysoko i stromo, ale ja myślałem o bykach: łaciate czy czarne? I pocieszałem się: na pewno będzie jakieś spóźnienie. W Polsce spóźniają się przecież wszystkie imprezy, nie wspominając pociągów, samochodów i tramwajów, więc tu, w Hiszpanii mogłaby się chyba trochę spóźnić jesienna corrida.

Ale się nie spóźniła.

Tak jak napisali w programie: a las 4,45 el punto, z wybiciem zegara, senor presidente podniósł w swojej loży dłoń i w tym samym momencie, po przeciwnej stronie areny, rozdarły się dwie becklawinowe trąbki-pistony i zawarczały dwa okute srebrem werble. I już masz serce pod grdyką. A w chwilę później czujesz ulgę i radość, bo na arenę, zamiast byka, wypadają dwa wspaniałe, smukłe, srebrne, nakrapiane białymi centkami wierzchowce w czerwonych pióropuszach, jeźdźcy robią piękną, pełną gracji rundę honorową po przeciwnych zakolach bariery i na dany przez pana przewodniczącego znak zawracają, aby wprowadzić na arenę trzech strojnych, czarnowłosych, mieniących się cekinami matadorów, za którymi, w równych szeregach, postępuje kilkunastu banderilleros i sześciu pikadorów na swoich ciężkich, przysadzistych belgach.

A potem widzisz nagle dużo czerni i znowu mam serce pod gardłem, i nagle rozumiem: te krocżące na ostatku, czarne konie, dwa zaprzęgi po trzy, z których pierwszy poznajesz, bo przeciągnął przed tobą godzinę temu na placu, prowadzony przez człowieka z żelaznymi okuciami w butach, że te zaprzęgi są nieodwołalną zapowiedzią śmierci, dwoma orszakami pogrzebowymi, które będą ściągać byki z areny. Później znowu się pocieszasz: jeszcze czas; toreadorzy chylą przed lożą przewodniczącego głowę, pod dachem, w jeszcze innej części gmachu, gra dziarsko mały big-band, saksofony, kornety, puzony. To jeszcze trochę potrwa, potrwa...

Ale nie potrwa!

Wszystko odbywa się diabelnie sprawnie i szybko. Milknie big-band, wrzeszczą znowu sygnałowe trąbki; obok wyjścia, którym wparadował na arenę orszak toreadorów, jest inne wyjście, za którym, w absolutnych ciemnościach, czeka jakiś czas przed walką wyseparowany ze stada byk. Czeka i nagle człowiek w barwnym stroju otwiera przed nim gwałtownie brązowe drzwi, chowając się momentalnie za występem bariery i kiwając dwukrotnie ręką: do przodu! do przodu! Czarny, JEDNAK CZARNY! kolos wpada na arenę, porażony jaskrawym światłem i tysiącami kolorów, wpada, tkwi przez ułamek sekundy w bezruchu, po czym rzuca się do jednego z drewnianych boksów, przed którym wymachuje kapą banderillero. W momencie, kiedy jest tuż tuż, banderillero chowa się w boksie, byk wali rogami w drzewo i już pędzi do następnego boksu, gdzie inny banderillero wymachuje do niego różową płachtą. W tym samym czasie następuje niewidoczna zmiana w separatce, wpuszczają tam do ciemności drugiego byka, coś, jakby zarepetowanie pistoletu albo wprowadzenie do lufy świeżego pocisku, który przecież jest pociskiem samobójczym, rakietą kamikaze.

Byk pierwszy, walczący, jest prędki, niebywale prędki. Szarżuje wściekle na trzeciego banderillero, który przecież nie ucieka jak poprzedni, nie czmycha za ochronę z drzewa, tylko robi dwa obroty muletą okręcając byka dookoła własnych bioder. Wrzask publiki. Brawo! Trzeci banderillero chowa się wreszcie, czarny pocisk rzuca się w stronę czwartego, Ale oto już słychać wrzask trąbek. Szybko, szybko! Wjeżdża na arenę ospały, obojętny belg z pikadorem na grzbiecie. Pikador ma białe, ochronne buty do kolan, a jego stopy tkwią w żelaznych, kwadratowych ochraniaczach. Coś to nowego dla byka. Szarżuje z pochylonym łbem, nadziewając się grzbietem na szpicę grubej, dwumetrowej piki. Pierwsza krew, pika ciągle tkwi w grzbiecie, byk jednakże wcale się nie cofa, prze do przodu, próbując dobrać się rogami do końskiego, dobrze chronionego brzucha.

Prawa stopa pikadora wysuwa się z żelaznej puszki i wędruje na zad wierzchowca. W ten sposób człowiek może lepiej się zaprzeć i wkłuć głębiej w krwawiącą ranę. Byk nie popuszcza, a pikador kłuje, kłuje! Coraz więcej krwi. Coraz większe z obu stron zapamiętanie. Publiczność zaczyna protestować. Dosyć! Morderstwo! Chcemy walki! Nie wolno za bardzo osłabiać byka!

Toteż banderilleros z kapami odciągają jakoś uwagę byka. Któryś okręca go kilkakrotnie wokół bioder. Byk jednak woli pikadora. Niby tylko wściekły i głupi, ma przecież piętrowe myślenie. Jeśli zdzielę rogami konia w brzuch, zwali się cała ta dziwna, złowieszcza konstrukcja i drań z żądłem w ręce znajdzie się pod moimi nogami, będę mógł go wziąć na róg!

Pikador wkłuwa się celnie w tę samą, pierwszą ranę. Publiczność gwiżdże. Dosyć! Dosyć! Gest przewodniczącego. Trąbki. Odciągają byka od konia, który wyjeżdża wraz z pikadorem poza arenę.

Teraz banderilleros, już bez kap, w swojej właściwej roli.

Biegnie taki bykowi naprzeciw, trzymając nad głową dwie drewniane włócznie, zakończone z jednej strony metalowym grotem, a z drugiej kolorowymi wstążkami. Ole! Wyskakuje w powietrze, ponad rogami byka, i wpycha mu piki z obu stron grzbietu. Jedna siedzi głęboko, druga zawahała się i zsunęła obracając się w jednym miejscu, na stopach i prowadząc rogi byka wokół siebie. Zupełnie nieźle, ale kiedy próbuje powtórzyć manewr w pozycji pase de pecho, podnosząc muletę na wysokość piersi, złowieszczy, szablowaty, biegnący prostopadle do oczu róg zwierzęcia wyrywa mu materiał z ręki. Byk dogania go pochylając rogi. Wydaje się, że koniec, śmierć. Ale bractwo toreadorów jest solidarne. Podskakuje czterech czy pięciu banderilleros z kapami i zasłaniając matadora, z którego szydzi teraz cała publiczność, odciągają krwawiące zwierzę na stronę.

El Espada podnosi się, podbiega do bariery, gdzie podają mu drugą muletę. I znowu staje naprzeciw byka, Znowu parę mniej lub bardziej nieudanych obrotów. Trąbki. Matador, jako jedyny (co się dopiero okaże) z bohaterów dzisiejszej corridy, zbliża się ze szpadą na ziemię. Gwizdy. Ale leci już drugi banderillero. Ole! Dwie dodatkowe banderilhas w grzbiecie. Brawa. Później znowu jedna, i protesty. A potem znowu dwie. I trąbki. Nieubłagane trąbki.

Patrzę na zegar.

Teraz. W niespełna dziesięć minut od rozpoczęcia corridy, wliczając w to również czas na paradę, zaczyna się najważniejszy punkt pierwszej rundy. Oto i sam matador, el Espada, przyodziany, w przeciwieństwie do niebieskich banderilleros, w złoty, cekinowy kostium. Jego muleta nie jest różowa, jak u tamtych, tylko intensywnie czerwona. Przyjmuje pase natural, trzymając płachtę szkarłatu przy nogach, potem robi pase en redondo,

Foto: Archiwum

w ręce do loży przewodniczącego. Ten daje mu znak, że można uśmiercić zwierzę. Matador, teraz już bez kapy, staje przed rogami byka, słabego już teraz, zamroczonego, ociekającego obficie krwią. Wznosi szpadę wysoko nad głową i mierzy, mierzy, w ten właściwy, jedyny punkt między kręgami. Ole! Wyskakuje w powietrze, prawie tak samo, jak to wcześniej robili banderilleros i pcha szpadę w skrwawiony kark. Szpada pozostaje w karku, ale byk nie wali się bynajmniej na ziemię. Matador bierze drugą szpadę. Próbuje trafić i nie trafia. Z lekka zakrwawione ostrze odbija się od stosu pacierzowego. Tą samą szpadą próbuje trzeci raz i czwarty, przy głośnych już i pogardliwych okrzykach tłumu, wreszcie za piątym razem wkłuwa się gdzie trzeba i martwy czy też dogorywający byk osuwa się w piach.

Śmiechy. Kilka pojedynczych braw. Matador opuszcza arenę z pochyloną głową, nie kłaniając się wysokiej loży. Wjeżdża zaprzęg trzech czarnych koni, popędzanych przez grupę ludzi w błękitnych kombinezonach. Ktoś zasypuje piachem krew. Wleczony przez konie trup byka zjeżdża triumfalnie z areny, wielkie brawa, pośmiertne odznaczenie. Słychać okrzyki: doskonały byk!

Ale oto znowu fanfary. Ledwie piętnaście minut ubiegło i już wpada na arenę drugi byk. I tak już będzie do końca: fanfary — byk, fanfary — pikadorzy, fanfary — banderilleros, fanfary — matadores. Bez chwili przerwy, bez wytchnienia, aż po wjazd czarnego, pogrzebowego zaprzęgu.

Zdaniem widowni, wszystkie byki były znakomite. Odważne, szybkie, mściwe, jakby dostały przed wyjściem zastrzyk wścieklizny. Wszystkie ginęły dzielnie, z podniesioną głową. Trzeci dwa razy zmusił matadora do panicznej ucieczki za barierę, wytrącając mu z ręki muletę i szpadę. Czwarty, nieco jaśniejszej maści, na którego Hiszpanie krzyczeli: Castano zrzucił pikadora z siodła i pokiereszował biednego konia, po czym stworzył wraz z matadorem znakomitą parę. Było kilka udanych momentów, które tłum nagrodził rytmicznymi, idealnie zsynchronizowanymi brawami; klask-klask, przerwa, klask-klask, przerwa. Castano cierpiał najmniej, trafiony już za drugim uderzeniem w serce. Piąty i szósty byk sprawiły matadorom mnóstwo kłopotów, co doprowadziło widownię do furii. Słychać było głośne, szydercze okrzyki:

— *Sinverguenza!* (bezwstydnik)
— *Mucho miedo!* (dużo strachu).
— *Dormimos!* (Śpimy, oczywiście z nudów).
— *Lucha, cobarde!* (walcz).

Hiszpan, który wodził rej w moim sektorze, zrywając się raz po raz, wbrew instrukcji, z miejsca, rzucając obelgi pod adresem toreadorów, a nawet samego przewodniczącego (Bastaya, senor presidente!), machnął nagle ręką i powiedział zrażony:

— *Solo Rayito es un muchacho!*

Był to jakiś tam komplement dla Pioruna z Wenezueli.

Przez całą corridę bryllował na arenie jeden z młodych banderilleros. Był wyjątkowo aktywny, mieszał się do każdej walki, odważnie i precyzyjnie wbijał włócznie, zrobił kilka znakomitych numerów z płachtą, i to wówczas, kiedy byk był jeszcze cały, silny i zdrowy.

Tłum nagrodził kilkakrotnie chłopaka rzęsistymi oklaskami, jako że w pewnym sensie właśnie on wyręczał i rehabilitował matadorów.

Jemu jednak nie wolno było zabijać.

Kiedy nadszedł finał imprezy, zdarzyło się coś niespodziewanego. W zasadzie przewiduje się piętnaście minut na jednego byka, a ten ostatni, szósty, stał już na arenie trzydzieści. Tłum wył z oburzenia, obserwując nieudane ciosy matadora, a zwierzę, ledwo już poruszając znużonym łbem, tkwiło dzielnie w miejscu. Był kłuty, jak obliczyłem, dwanaście razy. I dopiero za trzynastym, trzymając się jeszcze przez moment na nogach i patrząc, jakby się namyślał, w bok, na publiczność, która wrzeszczała przez cały czas: Ahorar! Ahorar! (oszczędzić!), zwalił się ciężko na łapy.

Wówczas matador, zasłaniając twarz rękami, rzucił się na byka i zapłakał. Po czym zerwał się na nogi i kopnął trupa z rozmachem.

Nieprzejednany tłum skwitował to krzykiem potępienia:

— *Długo się tu nie pokażesz, maleto!* (walizo, przenośnie — patałachu).

I to już wszystko. Żałobny zaprzęg, brawa dla byka i pałac zaczął pustoszeć.

Zszedłem na dół i ustawiłem się znowu przed bocznym, służbowym, pilnowanym przez policję wejściem. Banderilleros i pikadorzy, niektórzy bardzo młodzi, opuszczali pałac, paląc papierosy i dzieląc się w biegu pieniędzmi. Matadorzy umknęli mojej uwadze, pewnie zbiegli niepostrzeżenie innym wyjściem. Było już prawie pusto, kiedy w drzwiach pokazał się tęgi pan z dwoma wielkimi, zakrwawionymi rogami, u nasady, tam gdzie spadł topór czy miecz, wisiały strzępy czarnych kłaków.

Gość schował trofea do bagażnika w samochodzie.

Trafią na ścianę albo do komody, byku — pomyślałem. I znowu było mi żal.

Potem, ni stąd ni zowąd, przyłapałem się na tym, że oglądam i czytam rozlepione na murach reklamówki przebrzmiałych już, sierpniowych i wcześniejszych walk. Mój Boże, jakie nazwiska! El Cordobez, który w wieku czterdziestu lat wrócił tego sezonu na arenę, Lazaro Carmona, Gallo de Madrid, Hijo de Siena...

Za tydzień znowu będzie corrida. Ale, do diabła, chyba nie dam się wciągnąć w tę namiętność, chyba nie pójdę? A może? Chryste! Nie chciałbym, aby mój syn widział kiedykolwiek to szaleństwo.

Nie wymaganie kompozycji, tylko fakt, każe mi skończyć, iż nim wszedłem do tunelu metra, zobaczyłem jeszcze na placu trzy czarne, rozkulbaczone już konie, które pod wodzą milczącego człowieka człapały wolno w gęstniejący mrok.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

EMIGRACJA DOBRY INTERES, ALE DLA KOGO?

W 1492 roku Krzysztof Kolumb wyruszył z liczącej 55 milionów mieszkańców Europy, by „odkryć" Amerykę Północną, zamieszkaną przez 1 milion Indian. W ciągu następnych 300 lat Atlantyk przepłynęło około 2 mln ludzi, a z Afryki wywieziono ponad 10 mln. niewolników. Europejczycy dopiero jednak w XIX wieku tłumnie ruszyli do Nowego Świata. Od roku 1800 wyemigrowało ich około 60—70 mln. — większość na stałe. Motywy były rozmaite. Irlandczycy wyjeżdżali, bo mieli zbyt wielu latyfundystów, za mało pracy i za mało ziemniaków. Żydzi — uciekając przed prześladowaniami, Brytyjczycy — by rządzić Nowym Światem. Europejczycy nie byli jedynymi. W latach 1830—1870 w brytyjskich koloniach przy budowie linii kolejowych i uprawie trzciny cukrowej wykorzystywano chyba ze 2 mln. Hindusów.

A jak jest dzisiaj?

Nielegalni imigranci przepływający przez Rio Grande z Meksyku do Teksasu, samoloty pełne koreańskich robotników budowlanych, lądujące w Arabii Saudyjskiej, słynne z wydajności zachodnioniemieckie fabryki samochodów obsadzone Jugosłowianami i Turkami — wszystko to składa się na obraz 14-milionowej armii cudzoziemskich robotników na całym świecie. Choć najwięcej rozgłosu zyskał sobie „drenaż mózgów" lekarzy i naukowców, przeciętny emigrant wykonuje czarną robotę, od której stronią jego gospodarze.

Gdzie jeżdżą emigranci?

EUROPA ZACHODNIA: W roku 1977, w ośmiu północnych krajach kontynentu europejskiego znajdowało się 4,9 mln zagranicznych robotników. W. Brytania w roku 1976 miała ich 866.000. Przybyli z Europy południowej i Afryki Północnej. Najwięcej jest tam Włochów, następnie Turków i Jugosłowian. Wybór miejsca pracy związany jest po części z przeszłością historyczną i językiem. Np. Algierczycy jadą do Francji. Prawie wszyscy Finowie do Szwecji. Do RFN jadą z Austrii, Grecji, Turcji i Jugosławii.

Emigranci byli pierwszymi, którzy utracili prace w okresie recesji po podwyżce cen ropy przez OPEC Między rokiem 1974 a 1975 ich liczba w Europie zachodniej zmniejszyła się o 240.000.

AMERYKA PÓŁNOCNA: Stany Zjednoczone i Kanada przyjęły w latach 1950—1974 11,3 mln. stałych, legalnych imigrantów. Przeciętna legalnej imigracji netto od roku 1960 wynosiła rocznie około 350.000 osób i była najwyższa na świecie. Między rokiem 1931, a 1960 80 proc. imigrantów przybyło z Europy i Kanady, gdy dzisiaj stanowią oni jedynie 15 procent.

Liczba nielegalnych imigrantów w Stanach Zjednoczonych oceniana jest rozmaicie i waha się między 2 a 12 mln. Najczęściej mówi się o 3—6 mln, z których około 60—70 proc. to Meksykanie. Wielu meksykańskich emigrantów, być może 90 proc. z nich, pracuje w Stanach Zjednoczonych po 6—8 miesięcy, po czym powraca do domów — do następnego roku. Prześlizgnąwszy się przez oczka sieci, nielegalni emigranci z innych krajów zatrzymują się dłużej niż Meksykanie.

BLISKI WSCHÓD: W krajach arabskich jest obecnie ponad 2,5 mln. robotników — cudzoziemców. Blisko połowa z nich znajduje się w Arabii Saudyjskiej, 20 proc. w Libii, 15 proc. — w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, 12 proc. — w Kuwejcie, a reszta w Katarze i Bahrajnie. Wszystkie te kraje mają ambitne plany rozwojowe i niewielką liczbę ludności czynnej zawodowo, tym bardziej że kobiety rzadko dopuszczane są do pracy. Tak więc robotnicy cudzoziemscy są tu bardzo ważni, zajmując średnio połowę miejsc pracy, a w Emiratach i Katarze — dużo więcej. W roku 1975 około 75 proc. emigrantów stanowili Arabowie z krajów nie należących jeszcze do czołowych producentów ropy. Obecnie Azja jest głównym źródłem emigrantów, dla krajów naftowych.

AMERYKA POŁUDNIOWA: W roku 1975 w Ameryce Południowej było około 3 mln robotników cudzoziemskich, ponad dwie trzecie — w Wenezueli i Argentynie. Te dwa kraje znajduja się na czele listy państw o największym dochodzie na głowę ludności przyciągając gros imigrantów z państw znajdujących się na samym końcu, jak Boliwia, Kolumbia, i Paragwaj.

AFRYKA ZACHODNIA: W Afryce Zachodniej znajduje się około 1,3 mln. robotników — cudzoziemców. Większość z nich — w Wybrzeżu Kości Słoniowej, Ghanie i Senegalu. W roku 1975 stanowili oni 20 proc. ludności czynnej zawodowo Wybrzeża Kości Słoniowej. Przybywaja głównie z Górnej Wolty, Mali i Gwinei — trzech spośród najbiedniejszych krajów świata.

AFRYKA POŁUDNIOWA: W bieżącym stuleciu imigranci byli tutaj zawsze górnikami. W roku 1975 sezonowa siła robocza z sąsiednich krajów stanowiła około dwie trzecie stanu zatrudnienia w południowo-afrykańskich kopalniach złota. Zarówno Malawi jak i Mozambik — niegdyś główni dostawcy — utrudniły jednak nabór, w związku z czym kopalnie w coraz większym stopniu zatrudniają ludność miejscową lub przybyszów z Zimbabwe — Rodezji. Globalna liczba robotników — cudzoziemców w Afryce Południowej gwałtownie spadła: z 470.000 osób w roku 1975 do około 355.000 w roku 1977.

Emigracja zarobkowa opłaca się. Badania nad nielegalnymi emigrantami meksykańskimi w Ameryce ujawniły, że około 35 proc. swych zarobków przesyłają oni do domu. Jest to ratunkiem dla rodzin, a często i dla bilansu płatniczego rodzinnego kraju. Przekazy emigrantów szybko wzrastają i między rokiem 1972 a 1975 prawie podwoiły się. Ale potem sytuacja zmieniła się. W roku 1974 do Turcji wpłynęły przekazy na ponad 1,4 mld. dolarów, podczas gdy trzy lata później — na mniej niż 1 mld. dolarów. Między styczniem a majem 1978 wpływy zmniejszyły się o 23 procent w stosunku do analogicznego okresu roku 1977. Ponieważ w roku 1974 Turcja pokrywała dzięki wpływom z zagranicy jedną trzecią swego rachunku importowego, spadek wpływów był jednym z powodów dla których kraj ten zwrócił się w końcu do MFW po kredyty i pomoc. Również Egipt zaciągnął pożyczkę w MFW, ale jego finanse znalazły się w lepszej sytuacji dzięki wzrostowi wpływów, które w roku 1973 wynosiły jedynie 90 mln. dolarów, a w roku 1977 — ponad 1 miliard dolarów. Podobnie działo się w Indiach, Pakistanie, Jemeńskiej Republice Arabskiej.

Wiele osób emigruje, ponieważ nie może znaleźć w swym kraju zatrudnienia. W niektórych wypadkach, jak na przykład w Irlandii, emigracja była przez długi okres klapą bezpieczeństwa powstrzymującą społeczny kocioł przed wybuchem.

Ale czy rządy powinny bardziej martwić się o koszty kształcenia siły roboczej, którą wykorzystywać będą następnie inne kraje?

Niektórzy twierdzą, że emigranci wyjeżdżają za granicę jedynie tymczasowo, zdobywają tam nowe umiejętności i kapitał umożliwiający im po powrocie wniesienie większego wkładu do rozwoju rodzimnego kraju. Przeciwnicy emigracji replikują, że 35 proc. Jugosłowian, którzy wyjechali w latach 1962—1971 do RFN już wcześniej pracowało w przemyśle a trzy czwarte z nich posiadało kwalifikacje.

Większość krajów rozwiniętych początkowo traktowała imigrantów jako przelotne ptaki, ale dzisiaj uznaje, że mogą oni pozostać na dłużej. Podczas gdy liczba przyznawanych w Szwajcarii rocznych pozwoleń pobytowych spadła w okresie 1967—1977 o 12 procent, liczba stałych pozwoleń wzrosła o 1,5 proc. We Francji, w roku 1971, mniej niż jedna trzecia nowo przybyłych byli to członkowie rodzin, a w roku 1977 — 70 proc. W roku tym ponad 57 proc. wszystkich imigrantów w RFN mieszkało już w tym kraju ponad 6 lat i wskaźnik ten nadal wzrasta. Jeśli emigranci nie wyjadą, kraj goszczący ich uzyska sprawych, często wykwalifikowanych pracowników — bez żadnego nakładu na ich wychowanie i wykształcenie. Wychowanie w kraju takiej liczby robotników, jaka przybyła do RFN w okresie 1957—1966 oraz 1968—1973 kosztowałaby ten kraj około 33 mld. dolarów. Przekazy emigrantów w tym okresie wyniosły łącznie 8,8 mld. dolarów. Wygląda to na dobry interes dla bogatych Niemiec. Ale jest to oczywista strata dla kraju, z którego ludzie emigrują i tym większą, kiedy emigranci to ludzie wysoko wykwalifikowani.

(„THE ECONOMIST")

W Teheranie trwają demonstracje antyamerykańskie. 15 listopada 1979 roku przed gmachem ambasady USA demonstrowało około 2 tysięcy Irańczyków. Domagają się oni wydania przez Stany Zjednoczone byłego szacha Iranu — Rezy Pahlavi.

19 listopada studenci irańscy okupujący ambasadę USA w Teheranie zwolnili na polecenie ajatollaha Chomeiniego 13 osób — 5 kobiet i 8 Murzynów. Zapowiedziano też, że pozostałych zakładników postawi się przed trybunałem rewolucyjnym.

Na zdjęciu: demonstracja w Teheranie.

KRONIKA TYGODNIA

W minionym tygodniu **sytuacja na linii Teheran-Waszyngton rozwijała się bardzo nerwowo.** Iran zapowiedział wstrzymanie dostaw ropy do Stanów Zjednoczonych i podjął decyzję o wycofaniu swojego kapitału z banków amerykańskich. Stany Zjednoczone wśród innych kroków ustaliły: wstrzymanie importu ropy z tego kraju zamrożenie irańskich walorów, w tym depozytów bankowych, oraz nieudzielanie żadnej pomocy (w tym wypadku chodzi o gest symboliczny, ponieważ Iran z takiej pomocy nie korzysta). Oczywiście przyczyną tego wszystkiego jest **domaganie się Teheranu, aby przebywający jeszcze w USA były cesarz wydany został Iranowi, a jego majątek** — po ustaleniu przez specjalną komisję wielkości — **przekazany państwu irańskiemu.** Napisaliśmy: jeszcze, gdyż Pahlavi przebywa w Stanach Zjednoczonych czasowo, na leczeniu i ma podobno rychło opuścić kraj. Tymczasem studenci irańscy od wielu dni okupujący ambasadę amerykańską oświadczyli, **że wypuszczenie go z USA jeszcze bardziej skomplikuje sytuację.**

Trudno w chwili, kiedy przygotowujemy komentarz do druku, przewidzieć jak zakończy się obecna faza konfliktu, nie ulega natomiast żadnej wątpliwości, że **rysa na wzajemnych stosunkach pozostanie bardzo długo** co oczywiście ma znaczenie szersze niż tylko dwustronne.

Niepokojące wiadomości napłynęły w ostatnich dniach z sali obrad Grupy Planowania Nuklearnego NATO. **Ministrowie obrony** — przy zastrzeżeniach, a nawet oporze Holandii, **opowiedzieli się za produkcją i rozmieszczeniem nowych broni jądrowych na terytorium zachodniej Europy.** Ostateczna decyzja nie należy do nich, lecz innego ministerialnego forum NATO, które zbiera się w grudniu, mimo to głos ministrów obrony świadczy o tendencji obecnie przeważającej w krajach kapitalistycznych. Jak wiadomo, urzeczywistnienie tego zamiaru wprowadziłoby wyścig zbrojeń w nowy etap i z pewnością utrudniło rozmowy rozbrojeniowe.

Agencje zachodnie wiążą wizytę min. A. Gromyki w RFN z tym właśnie faktem, umiejscawiają „w wielkiej kampanii Moskwy, zmierzającej do przeszkodzenia w rozmieszczeniu nowych amerykańskich rakiet w Europie".

Na omawianym przykładzie widać wyraźnie, jak **niełatwo jest przejść od odprężenia politycznego do militarnego.** Ciągle bowiem trwaniem wyścigu zbrojeń, a nawet jego intensyfikowaniem, zainteresowane są wpływowe koła na Zachodzie.

W kolejności poświęćmy nieco uwagi toczącemu się (formalnie od połowy października br.) dialogowi radziecko-chińskiemu. Odbyło się dotąd pięć spotkań wstępnych i cztery tury rozmów merytorycznych. Przed rozpoczęciem zasadniczych rokowań wydawało się, że strona chińska gotowa jest dialog potraktować poważnie i zaniechać bezzasadnych ataków na ZSRR. Okazało się inaczej — w czasie niedawnej wizyty w W. Brytanii Hua Kuo-feng pozwolił sobie znów na niewybredne wypady.

W dwustronnych moskiewskich rokowaniach chodzi o normalizację stosunków państwowych. Niestety — ich dotychczasowy przebieg nie sygnalizuje postępu. Będą więc one z pewnością długie i żmudne. Mimo to — konkluduje np. AFP — „nic nie pozwala na wyciągnięcie wniosku, że i tym razem miałyby one zakończyć się fiaskiem".

W tym miejscu przypomnijmy, że negocjacje na temat granic toczyły się w 1964 roku i nie przyniosły rezultatu. Następnie wznowione zostały w pięć lat później z podobnym powodzeniem. W obecnych, jak można się zorientować, chodzi nie tylko o granice, ale szerzej pojętą normalizację stosunków państwowych.

I jeszcze jeden temat dzisiejszej „Kroniki": sytuacja we Włoszech.

Od dłuższego czasu nie pisaliśmy o tym kraju, a właśnie minęło pięć miesięcy od ogłoszenia wyniku ostatnich wyborów powszechnych, które, jak wiadomo, nie zmieniły zasadniczo układu sił politycznych. Spowodowały one jednakże, w następstwie odmowy chadecji dopuszczenia komunistów do rządu iż WłPK jest w opozycji wobec gabinetu Cossigi. **Partia ta nadal opowiada się za utworzeniem szerokiej koalicji solidarności narodowej,** uważając, iż tylko taki rząd może skutecznie stawić czoło problemom Włoch, wypływającym z kryzysu społeczno-gospodarczego i szerzącego się wciąż terroryzmu.

W styczniu odbędzie się zjazd partii chrześcijańsko-demokratycznej, na którym obecny sekretarz polityczny chadecji — Zaccagnini ma podobno nie kandydować na lidera partii. Jest on uważany za reprezentanta linii zamordowanego Moro. Zdaniem obserwatorów — nie zmieni to jednak układu sił wewnętrznych na niekorzyść tych frakcji, które koalicję z WłPK uważają za nieuniknioną. „Spraw Włoch — mówią one — nie można długo popychać zaledwie z dnia na dzień" Większy oddech, względną stabilizację władzy i życia w kraju może dać tylko współdziałanie dwóch największych partii: chadeckiej i komunistycznej.

Styczniowy zjazd może być przeto ważnym momentem dla przyszłości Włoch.

W. SŁAWSKI

W listopadzie przebywał z wizytą w Polsce sekretarz generalny ALLIANCE FRANCAISE — Philippe Greffet. Ur. w 1924 r. P. Greffet jest z wykształcenia hispanistą. Ma za sobą długoletnią działalność w ośrodkach Alliance w Ameryce Łacińskiej. Pełnił również funkcje radcy kulturalnego Ambasady Francuskiej w Argentynie i Urugwaju. Jest autorem wierszy i książek dla dzieci. Za swoją działalność dyplomatyczną i dydaktyczną P. Greffet został odznaczony wysokimi odznaczeniami francuskimi i latynoamerykańskimi. Funkcję sekretarza generalnego Alliance Francaise P. Greffet pełni od czerwca 1978. Podczas wizyty w Polsce sekretarz wizytował również Ośrodek Polskiego Komitetu Współpracy z Alliance Francaise działający przy Uniwersytecie Łódzkim.

JĘZYK I KULTURA

Odgłosy: — Miło nam powitać Pana w Polsce. Cieszymy się, że wybór trasy Pańskiej podróży padł na nasz kraj, który od dawna łączą z Francją tak głębokie więzi współpracy i przyjaźni. Jaki jest cel Pańskiej podróży? Jak ocenia Pan rozwój ośrodków Alliance Francaise w naszym kraju?

P. Greffet: — Ogromnie się cieszę, że przyjechałem do Polski. Uważam ten przyjazd za swoją powinność, gdyż jako sekretarz generalny Alliance patronuję niejako każdemu z 1200 ośrodków działających w 90 krajach. Poza tym, w styczniu na spotkaniu w Paryżu z polskimi kierownikami ośrodków Alliance obiecałem, że niebawem złożę wizytę w Polsce. Dotrzymałem więc obietnicy i obecnie wizytuję ośrodki Alliance w waszym kraju. Przyznaję, iż jestem pod wrażeniem ośrodka działającego przy Uniwersytecie Łódzkim. Funkcjonuje on niespełna dwa lata i już ma 300 uczniów. Jestem oczarowany osobowością, entuzjazmem i energią kierowniczki ośrodka — dr Władysławy Roszczynowej i młodych lektorów, absolwentów filologii romańskiej uniwersytetu w Łodzi. Przed południem złożyłem wizytę rektorowi Uniwersytetu Łódzkiego — prof. dr hab. Romualdowi Skowrońskiemu, którego kultura humanistyczna, doskonała znajomość francuskiego i spraw Francji, zrobiła na mnie duże wrażenie. Rad jestem z tego, iż rektor wiele sobie po Alliance obiecuje w dziedzinie nauczania języka francuskiego w Łodzi. Cieszę się również ze współpracy jaką rozwija Uniwersytet Łódzki z uniwersytetami w Lyon. Muszę się przyznać, że w tym miejscu przemawia przeze mnie patriotyzm, gdyż sam jestem lyończykiem.

— Alliance liczy sobie blisko 100 lat. Liczba ośrodków nauczania języka francuskiego, kultury i cywilizacji francuskiej osiągnęła, jak Pan przed chwilą wspomniał 1200. Czym charakteryzują się metody nauczania języka francuskiego stosowane w ośrodkach Alliance? Jakie widzi Pan nowe trendy w metodyce nauczania języków obcych?

— Nie jestem specjalistą od metodyki i nie śmiałbym rozprawiać o niej w obecności kierowniczki ośrodka Alliance dr W. Roszczynowej — przyp. red.). Za czasów mojej młodości zwykło się mawiać, że nie ma złych podręczników, są tylko źli nauczyciele. Myślę często o tych naszych osamotnionych nauczycielach Alliance, którzy pracują w odległych zakątkach świata. Im też należy się największa pomoc. Niedawno nawiązałem kontakty z Ośrodkiem Badawczym Metodyki CREDIF w Saint-Cloud pod Paryżem. Zamierzamy wspólnie z nim podjąć eksperyment o charakterze dydaktycznym. Nowe metody powstałe w wyniku tej wspólnej pracy będą wypróbowywali nauczyciele nauczający w naszych ośrodkach na całym świecie. Nauczyciele polscy również mogą przystąpić do tego eksperymentu. Myślę, że ta metoda przyniesie odpowiedź na pytanie, jak uczyć języka obcego dla współczesnych potrzeb. Będzie ona kontynuowała podstawy nauczania komunikatywnego w oparciu o dostępne i stale unowocześniane środki audiowizualne. Jednocześnie zrewaloryzuje umiejętność posługiwania się językiem pisanym zaniedbywaną w ostatnich latach. Za pół roku ukaże się stustronicowy biuletyn opracowany przez naukowców z CREDIF oraz z Alliance. Otworzyliśmy także w siedzibie Alliance w Paryżu Bank Konsultacji Pedagogicznych, którego celem jest zebranie dokumentacji z dziedziny metodyki i nauczania od nauczycieli z różnych krajów. Dążymy bowiem do skonsolidowania światowej myśli pedagogicznej.

— Jaką rolę przypisuje Pan środkom technicznym we współczesnej dydaktyce? I nie tylko w dydaktyce? Swój recital poezji J. Preverta w Instytucie Historii UŁ zamierza Pan ilustrować światłami i innymi efektami technicznymi?

— Uważam, że w pedagogice podobnie jak wszędzie trzeba się wystrzegać mody. Był czas kiedy oceniano nas wyłącznie na podstawie posiadania laboratorium. Dziś awangardowa pedagogika zmniejsza udział laboratorium w procesie dydaktycznym. Laboratoria powinny być tylko tam, gdzie mają swoją rolę do spełnienia. Przede wszystkim trzeba umieć się nimi posługiwać, stosując je m. in. do automatycznego opanowania pewnych zwrotów językowych, a głównie dla wpojenia właściwej wymowy, intonacji i rytmu danego języka. Niedawno wprowadziliśmy w Alliance radio-konferencje, podczas których porozumiewamy się w szybkim czasie z nauczycielami z najdalszych zakątków świata. Można założyć, że w przyszłym roku 15 specjalistów z Łodzi i Paryża będzie dyskutować ze sobą w ten sposób. Nie powinno kosztować to więcej niż rozmowa telefoniczna. W najbliższym czasie możemy wyobrazić sobie takie dyskusje przy pomocy telewizji. Wybiegając myślą naprzód można sobie wyobrazić, że piszący pracę doktorską w Łodzi za naciśnięciem klawisza otrzyma do dyspozycji materiały z paryskich bibliotek. Uważam, że nie trzeba podziwiać maszyn, tylko umieć je wykorzystywać.

— Ośrodki Alliance nie tylko uczą języka, ale propagują kulturę francuską. Dużą popularnością cieszą się np. w Łodzi wieczory literacko-muzyczne organizowane przez tutejszy ośrodek oraz projekcje filmów w wersji oryginalnej Jakie kierunki pracy zamierza preferować Alliance, w swych ośrodkach w najbliższym czasie?

— Jeden z pisarzy francuskich, Georges Duhamel, zapytany swego czasu, czym powinna charakteryzować się działalność Alliance, odpowiedział, iż nie może w niej zabraknąć umiłowania języka francuskiego oraz przyjaźni i szacunku dla kultury i cywilizacji kraju, w którym działają ośrodki Alliance. Ta formuła jest nadal aktualna. Szkoły i ośrodki Alliance jednoczą ludzi zachowując jednocześnie całe uznanie dla ich narodowej kultury. Najlepszym dowodem potwierdzającym założenia przyświecające Alliance jest fakt, że ośrodki nasze nigdy nie były francuskie. Zarówno kierownictwo jak i trzon kadry nauczającej stanowią obywatele danego kraju, którzy współpracują z francuskimi lektorami. Rozwijając nasze idee chciałbym doprowadzić do założenia przy Alliance w Paryżu Międzynarodowego Teatru Młodzieży, w którym chętnie witalibyśmy aktorów, poetów i muzyków z różnych stron świata. Byłby to nie tylko teatr w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale miejsce przyjacielskich spotkań i wymiany kulturalnej.

— Świat się nam ogromnie skurczył. Dalekie podróże, kontakty międzynarodowe, gospodarcze i przemysłowe są dziś na porządku dziennym. W związku z tym wzrasta potrzeba znajomości języków obcych, ale także i konkurencja innych języków o zasięgu międzynarodowym. Jak do tej nowej sytuacji przygotowane są ośrodki Alliance?

— Jest to problem ontologiczny. Trzeba, aby wszyscy nauczyciele na świecie walczyli o zachowanie specyfiki kulturowej własnego narodu. Identyfikacja kultury jaką dziś obserwujemy powoduje, że narody zatracają własną indywidualność kulturową. Swoistym fenomenem współczesności jest dominacja kultury anglo-amerykańskiej. Jest co najmniej niewłaściwe, że np. dziecko francuskie ogląda codziennie w telewizji 15 morderstw w filmach amerykańskich. Filmy te kupujemy w dużych ilościach, gdyż są po prostu tańsze. W ten sposób doprowadzamy jednakże do tego, iż dany naród przyjmuje wzory kulturowe co najmniej sobie obce. Winowajcami są tu również naukowcy i specjaliści, którzy porzucają własny język na korzyść angielskiego. Uważają bowiem, że jest to jedyny sposób, aby się porozumieć. Tymczasem wystarczyłoby, aby mieli genialne odkrycia, a wszyscy przetłumaczyliby je na własne języki. Ta presja amerykańska jest powoli odrzucana. Widać to wyraźnie w Ameryce Łacińskiej, w której każdy uczeń ma możność wyboru nauki dwóch języków. Nie chodzi przecież o to, aby nie uczyć się angielskiego, ale aby uczyć się dwóch języków. Alliance w różnych rejonach świata chce być właśnie dwujęzyczna i kulturowa.

— Ma Pan bogaty i pracowity życiorys. W początkach swej działalności pracował Pan w Argentynie jako dyrektor Alliance, miał Pan więc bezpośredni kontakt z nauczycielami. Jak Pan sądzi, co wpłynęło najbardziej na zmianę pozycji nauczyciela w naszych czasach? Pedagodzy na całym świecie przeżywają zapewne podobne rozterki.

— Myślę, że błąd pochodzi z pomylenia dwóch bliskich sobie zakresem znaczeniowym słów „information" i „formation" — informacji i formowania co po polsku lepiej brzmi jako kształtowanie. Nauczyciel nigdy nie miał monopolu na informację. Tym bardziej nie ma jej dzisiaj. Przeciwnie, wspólnie z rodzicami powinien formować psychikę i umysłowość dziecka. Można żałować, że np. we Francji coraz bardziej odchodzi się od kształtowania moralności dziecka. Za czasów mojego dzieciństwa odbywały się w szkołach lekcje moralności. Dziś już nie uczy się etyki. Wynika to m. in. z obniżenia poziomu wiedzy nauczycieli. Niestety w naszych czasach, czasach „pieniądza" nauczyciele są kiepsko opłacani, we Francji nie lepiej niż sprzedawcy sklepów spożywczych. To prawdziwa klęska, której skutki odczuwamy.

— Jest Pan autorem utworów poetyckich i interpretatorem utworów literackich. Ma Pan w swoim dorobku kilkanaście nagranych płyt. Jak łączył Pan bogatą działalność dyplomatyczną i organizatorską z własną twórczością artystyczną?

— Są tacy, którzy chodzą na ryby lub polowania. Tymczasem ja nie lubię zabijać zwierząt, wolę o nich pisać. Mam potrzebę pisania, więc piszę. Mniej więcej co 6 lat zdarza mi się publikować. Piszę głównie utwory poetyckie dla dzieci i to po hiszpańsku. Uważam, że po francusku robią to lepiej przygotowani niż ja. Nie próbowałem także przetłumaczyć ich nigdy na język francuski.

— Na jakim etapie nauczania języka obcego można Pana zdaniem aplikować uczniom poezję i literaturę w oryginale?

— Od pierwszej lekcji, w pierwszym dniu nauki. Maleńkie poemaciki i współczesna proza doskonale się do tego nadają. Sam ucząc hiszpańskiego zawsze w ten sposób postępowałem. Jest to najlepsza droga udowodnienia słuchaczom, iż mają do czynienia z żywym językiem.

— Dziękujemy Panu za interesującą rozmowę. Problemy poruszone przez Pana dadzą, jak sądzimy, wiele do myślenia zarówno nauczającym, jak i uczącym się języków obcych.

ROZMAWIAŁA:
MAŁGORZATA GOLICKA

PHILIPPE GREFFET: — „nie lubię zabijać zwierząt, wolę o nich pisać..."

Foto: R. Łucyszyn

INICJATYWA NA CZASIE

Bezsprzeczną zasługą krajów naszego obozu są nieustanne inicjatywy zmierzające do realnego zahamowania wyścigu zbrojeń i praktycznego rozbrojenia. Niemal cały świat jest przekonany, że przyszłość ludzkości w ogromnym stopniu zależy od powstrzymania rozbudowy arsenałów broni. Na Zachodzie mało jest dziś działaczy państwowych, którzy by nie apelowali, choćby nawet deklaratywnie, o okiełznanie wyścigu zbrojeń, które stwarzają zagrożenie dla pokoju.

Ale jak tego dokonać, jak zatrzymać tę machinę pożerającą blisko miliard dolarów dziennie na produkcję wciąż nowych rodzajów broni masowej zagłady. Praktycznych odpowiedzi na takie pytania jest znacznie mniej niż gołosłownych deklaracji. Dlatego też cała postępowa opinia międzynarodowa, wszystkie narody świata pragnące pokoju, z ogromnym zadowoleniem i ulgą przyjęły ważną inicjatywę Związku Radzieckiego w sprawie odprężenia militarnego i rozbrojenia.

Chodzi tu o kompleks propozycji, dotyczących osłabienia militarnego napięcia w Europie, ale wykraczających daleko poza granice naszego kontynentu jeśli chodzi o ich znaczenie dla sprawy pokoju i odprężenia. Złożył je generalny sekretarz KC KPZR, przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, Leonid Breżniew, podczas swego wystąpienia w Berlinie, 6 października br. Oświadczenie radzieckiego przywódcy o wycofaniu w ciągu 12 miesięcy, w trybie jednostronnym, 20 tysięcy żołnierzy radzieckich i tysiąca czołgów z terytorium NRD, jak również gotowość rozpatrzenia możliwości przesunięcia radzieckich rakiet średniego zasięgu do rejonów bardziej oddalonych od zachodniej Europy, wzbudziło na Zachodzie niezwykle żywą i skrajnie kontrowersyjną reakcję: i niewątpliwą aprobatę, i ostrożny sceptycyzm, i nieukrywane rozdrażnienie. „NATO — pisał w tym czasie komentator prawicowego dziennika francuskiego „L'Aurore" — a wraz z nim i Europa stanęły przed wyborem, który ma decydujące znaczenie dla ich przyszłości..."

Radziecka inicjatywa nastąpiła w momencie, gdy militarystyczne koła świata zachodniego usiłują podłożyć minę pod fundament pokoju w Europie. Chodzi tu o plany rozmieszczenia w zachodniej Europie nowych typów amerykańskich rakiet średniego zasięgu, uzbrojonych w głowice jądrowe. Poza tym radziecka propozycja następuje w czasie, gdy decydują się losy nie tylko porozumienia SALT II i związanych z tym późniejszych rozmów radziecko-amerykańskich, lecz także kwestii równowagi w dziedzinie zbrojeń jądrowych i konwencjonalnych w Europie środkowej. Obecnie coraz ciaśniej zawęzlają się złożone problemy militarnego stosunku sił między ZSRR i USA, między NATO i Układem Warszawskim. I nie jest jeszcze za późno, żeby rozwiązać je z korzyścią dla uzgodnionego ustalenia równowagi, i następnie, późniejszego obniżenia jej poziomu.

Jednakże reakcja niektórych odpowiedzialnych polityków krajów NATO na propozycje ZSRR wzbudza uzasadniony niepokój. Owi politycy, wbrew rzeczywistości, nadal mówią o rzekomej przewadze militarnej ZSRR i innych krajów socjalistycznych na tzw. teatrze europejskim. Posługując się tym obsesyjnym mitem, próbują przekonać narody, że rozmowy w sprawie rozbrojenia należy prowadzić dopiero po „dozbrojeniu", tzn. po rozmieszczeniu w zachodniej Europie nowych systemów broni strategicznych, zaopatrzonych w głowice jądrowe. Jednakże bezsporny jest fakt, że to właśnie NATO w ciągu ostatnich 10 lat podwoiła liczbę jednostek broni jądrowej i środków jej przenoszenia. W NATO unowocześniono i o 20 proc. zwiększono liczbę taktycznych broni lotnictwa oraz systemów rakietowych i artylerii, uzbrojonych w głowice jądrowe. Natomiast militarny potencjał krajów członkowskich Układu Warszawskiego nie uległ zmianie.

Bezspornym faktem jest także i to, że podczas, gdy Stany Zjednoczone stworzyły wokół Związku Radzieckiego pierścień baz wojskowych i w ponad 100 krajach świata trzymają pod bronią 500 tysięcy żołnierzy, którzy strzegą baz wojskowych z bronią jądrową, Związek Radziecki zdecydowanie odrzucił możliwość stworzenia baz wojskowych poza swoim terytorium.

Nie ulega również wątpliwości, że zagrożenie pokoju czai się nie w radzieckich propozycjach rozbrojeniowych jednostronnej redukcji wojsk i techniki wojskowej rozmieszczonych w NRD, lecz w konkretnej polityce NATO, ukierunkowaniu na wyścig zbrojeń, na użytek którego stworzono nawet mit o „zagrożeniu ze Wschodu".

Na łamach zachodniej prasy pojawia się często sformułowanie: „Czy Związek Radziecki i inne kraje członkowskie Układu Warszawskiego nie przesadzają przypadkiem z tymi zbrojeniami NATO w zachodniej Europie?" Chodzi wszak tylko o parę drobiazgów: „dozbrojenie zachodniej Europy i dokonanie modernizacji określonych rodzajów broni". Naiwni nie rodzą się na kamieniu. Odpowiedź brzmi jednoznacznie: nie, nie przesadzają. Sama myśl, że cała zachodnia Europa może być przekształcona w zintegrowany natowsko-amerykański poligon, naszpikowany gęsto bronią jądrową, wycelowaną na kraje wschodniej Europy, spędza, co bardziej myślącym ludziom sen z powiek.

Według planów NATO owo „dozbrojenie" i „modernizacja", które mają być ostatecznie rozpatrzone na grudniowej sesji Rady NATO, przewidują rozmieszczenie 572 rakiet „Pershing 2" i naziemnych rakiet skrzydlatych w co najmniej czterech krajach: Anglii, RFN, Belgii i Holandii. Wszystkie te systemy będą zdolne do przeniesienia broni jądrowej w głąb radzieckiego terytorium. Dlatego też nazwano je na Zachodzie bronią eurostrategiczną. Z enuncjacji zachodnich środków przekazu wynika, że do dwóch członów rakiety „Pershing 1" doda się trzeci człon, dzięki czemu zasięg, jej lotów wzrośnie do 1600 km. Nie wyklucza się także skonstruowania całkiem nowego systemu rakiety. Zamierza się także wyprodukować głowice bojowe różnych typów, przy czym celność ich trafienia będzie znacznie zwiększona. Zasięg naziemnych rakiet skrzydlatych wynosi około 2400 km.

Za cały komentarz tych „drobnych" zmian wystarczy opinia strategów NATO, którzy przestali już twierdzić, że ich broń jądrowa na europejskim teatrze działań jest przede wszystkim przeznaczona do zastosowania na polu bitwy i teraz nie ukrywają, iż eurorakiety są typowym środkiem bojowym, przeznaczonym wyłącznie do zadawania ciosów na terytorium Związku Radzieckiego. Należy przy tym zwrócić uwagę na bardzo ważny element — układ sił. NATO i Pentagon chcą zrealizować swoje plany w warunkach, kiedy istnieje strategiczny parytet między Związkiem Radzieckim i USA, dzięki czemu stało się możliwe zawarcie porozumienia SALT II. W całokształcie geograficznych i politycznych czynników mieści się również przybliżona równowaga sił Wschodu i Zachodu w Europie i nie można jej rozpatrywać w oderwaniu od tego kompleksu czynników. Plany NATO oznaczają przeto próbę zachwiania ukształtowanej w Europie równowagi sił i zdobycia przewagi militarnej.

Do kampanii rozdmuchiwanej przez koła kompleksu wojskowo-przemysłowego, która ma na celu pomniejszenie i zdyskredytowanie charakteru radzieckich inicjatyw, włączyła się konserwatywna prasa zachodnia. Londyńska „Daily Mail" próbuje na przykład sprowadzić propozycje radzieckie do jednego ze „znanych radzieckich oświadczeń propagandowych" i upatruje w nich „pułapkę dla Zachodu". „Le Monde" z kolei po prostu skreśla z porządku dnia decyzję ZSRR o wycofaniu z NRD 20 tysięcy żołnierzy i tysiąca czołgów, jako „nie mającej znaczenia z punktu widzenia stosunku sił między Wschodem a Zachodem w środkowej Europie". W związku z tym warto przypomnieć, że na wiedeńskich rozmowach w sprawie redukcji sił zbrojnych i rozbrojenia w środkowej Europie wyłonił się problem wycofania z tego rejonu w pierwszym etapie, 30 tys. radzieckich żołnierzy i znacznej ilości techniki wojskowej, a w tej liczbie tysiąca czołgów, przy **jednoczesnej** redukcji armii amerykańskiej.

Żałosne są te próby pomniejszania radzieckiej inicjatywy. Nie ulega bowiem wątpliwości, że zarówno umocnienie bezpieczeństwa w Europie, jak i w ogóle międzynarodowego bezpieczeństwa, jest możliwe tylko na drodze ograniczenia i redukcji zbrojeń, rezygnacji z tworzenia nowych systemów broni, a nie na drodze miotania się od bomby neutronowej po eurorakiety, w płonnej nadziei zdobycia przewagi jądrowej.

JERZY CZECH

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

* * *

Akacje pachną kostnicą
Umarli wychodzą z pamięci i się liczą
Z mokrych kwiatów świeżych jak rosa
Z piekła wychodzą patrzą w niebiosa

Akacje pachną drogą przy zbożu
Słoma płonie wywleczona ze stogów
Ogień krzepnie blask ciemnieje na nożu

DOM

Źródło wypływające z brzucha matki.
Nad drzwiami wiszący z oderwaną ręką Bóg.
Dzwony niedzielne.
Bosy parzący stopy próg.
Godziny u wagi śmiertelne.

* * *

Jak to wytrzymać żeby nie zgasło
Jak to światło zwieźć ze ściernisk i ze krwi
Ręce podnieść z gnoju

Jak umrzeć zasłużenie
By nie wstydziła się w ziemi
Macoszka matka jemiołuszka

* * *

Już było po żniwach
To teraz leżą rzemieniami słońca
Snopy związane

Już było po żniwach
To ich ciskali
Na ojczyste rżyska

Z ust się sypało ziarno
Dorodne i krwawe

TOBÓŁ

Chłop podniósł tobół z pola
A ma tam zawiązane słońce
I grudę dnia
I wierzbę
I krowę
I rzekę pluszczącą korzeniami
I niemały kamień życia

* * *

Tak mi lekko jakbym dotknął skowronka
W polu zbożem osłonecznionym
Tak mi smutno jakby z domu wyniesiono stół
I gwóźdź mi w ścianie tkwi
Nagle wiadomością zaskoczony

KSIĘGA

Ubój lata.
Słońce jak rzeźnia.
J e d n a jaskółka
Lata jeszcze w pamięci.
Lecz dom powietrza już pusty
Z tym głogiem na progu.
Zwiezione chleba wstęgi.
Oracz odwraca
Następną skibę Księgi.

SIERGIEJ BARUZDIN

MUZYKA

Jest w podróży służbowej. Kościół. Organy. Wykład. Uniwersytet. Bach. Orkiestra z Ulianowska. Estoński chór. Zespół łotewskich skrzypaczek. Haendel. Czajkowski. Haydn. Beethoven. Borodin. I zupełnie nie znani wcześniej nawet z nazwiska: Eccles, Reger, Franck, Buxtehude.

Muzyka. Czy ją kiedykolwiek lubił? I nie rozumiał, a tutaj... Preludium i fuga D-dur.

* * *

Dziwne, dlaczego tu przyjechał? Wyjeżdżał już wcześniej w podróże służbowe, ale konkretne — do fabryk, gdzie montowano sputniki i statki kosmiczne, dwukrotnie na kosmodrom. Tam wszystko było jasne. Albo sukces, albo porażka. Sukces dawał zadowolenie. I nagrody, których otrzymał więcej niż przez wszystkie lata wojny. Sukcesów było więcej niż porażek, lecz porażki bolały.

A w ogóle tych wyjazdów służbowych nie było za wiele. Kiedy się ma laboratorium i odpowiada za nie, czy można się wyrwać? Na urlop, a i to raz na trzy- cztery lata. A urlop to także praca, najpomyślniejsza. Formuły, doświadczednia — wszystko, czego nie zdąży się wykonać na służbie. Nawet nie można wykonać. Tam dookoła ludzie, a ty powinieneś zostać sam na sam z sobą. Najwartościowsze rzeczy rodziły się akurat podczas takich samotnych godzin, dni i tygodni, jeśli tylko były.

I nagle ta podróż służbowa.

Do hotelu go nie przyjęli, mówiąc:

— Może coś się znajdzie jutro.

I słusznie powiedzieli.

Nie będziesz wyjaśniał kim jesteś i po co. Jeśli rozsądnie pomyśleć, przyjazd dla jednego wykładu i jakichś niesprecyzowanych spotkań i rozmów, to jeszcze nie powód, żeby zatrzymywać się w obcym mieście.

Ma rację ta surowa administratorka!

Przecież sam pytał w Moskwie, kiedy nie chciał się zgodzić na wyjazd:

— Po co?

Lecz powiedzieli:

— Trzeba! Rozumie pan, trzeba. Pan tylko pan... Potrzeba tam właśnie pana.

Wieczór i pół nocy brodził po zaśnieżonym i jakby nie rosyjskim mieście.

Nie, to nie tak. Niezupełnie tak. Dobrze, że ma w ręku tylko teczkę z drobiazgami, a ktoś doradzał mu wziąć neseser.

Miasto przypominało w czymś zimowy Leningrad i Paryż, jeśli sądzić na podstawie filmów i telewizji, i na podstawie starożytności, szczególnie na staromiejskich uliczkach. Średniowieczne? Może i tak.

Lecz sypał śnieżek, ciepły i łagodny, i stare uliczki z latarniami i latarkami u bram, z na wpół oświetlonymi oknami i mrocznymi murami, były urodziwe.

Wspomniał bez przyczyny Jurę, Jurę Gagarina, swego młodszego dobrego kolegę, którego teraz nie wypada nazywać po prostu po imieniu i pomyślał: „A czy on przypadkiem tutaj nie przyjeżdżał?".

I jeszcze pomyślał: „Niech ich diabli porwą, że mnie nie przyjęli do baletu. Najważniejsze, że jestem".

Właśnie dlatego rzeczywiście należało tu przyjechać.

Wydostawszy się z jakichś zaułków, krętych i mrocznych, wyszedł na plac i dostrzegł ogromny cierkiewny sobór. Był wysoki, wzlatujący wzwyż i jakoś bardzo znajomy.

Jak?

Tak, widział podobne. Gdzie? W latach wojny?... Tak, w latach wojny. W Niemczech, w Austrii, na Węgrzech, w Czechosłowacji? I tam są takie katedry, lecz ten sobór...

I przypomniał sobie... Kraków. Czterdziesty piąty. Styczeń. Wtedy ocalono miasto, wtedy grzebano poległych. Obok był kościół, taki sam, prawie taki. Kiedy opuszczali do grobu zawiniętych w pałatki przyjaciół, kościół nagle przemówił, jakby westchnąwszy: zagrały organy. Jakiś Polak tchnął życie w piszczałki organów i ich dźwięk — tragiczny i męski — zagłuszył naszą cichą wojskową orkiestrę. I wtedy obok była Nina. Wojskowa felczerka. Nina Korolowa. Nina Fiodorowna. Moskwiczanka. Jego rówieśnica. Nie wiadomo dlaczego z oddziału piechoty morskiej. I morska piechota wyzwalała Kraków. To wszystko zbliżyło go do niej i nie tylko to. Lecz był zwyczajnie głupi w tamtym czasie, osiemnastoletni podporucznik. A przecież, wydaje się, ona... W Dreźnie widzieli się przelotnie, a później w Pradze. A co było potem?... W Austrii i na Węgrzech już jej nie zobaczył.

Miasto w nocy. Zima. Śnieg. Łagodna pogoda. A obok sobór, taki pamiętny, chociaż...

Mimo wszystko dobrze. Chociaż nie przyjęli do hotelu, jest dobrze. Chociaż ten głupi wyjazd służbowy, jest dobrze. Chociaż...

Obok soboru, a później na sąsiednich ulicach zauważył afisze, skromniutkie i duże, rosyjskie i miejscowe. I znów odkrycie: tu, w tym soborze, znajduje się sala koncertowa z organową muzyką.

Z muzyki organowej niczego nie rozumiał. I w ogóle z muzyki. A należało jej posłuchać.

* * *

Nad ranem zachciało mu się trochę odpocząć. Dziś ma wykład na uniwersytecie. Oczywiście, powie studentom o wszystkim, co mu wolno powiedzieć i o tym, bez fałszywej skromności, że w wielu latających aparatach jest cząstka jego pracy, a ściślej — we wszystkim uczestniczą pracownicy jego laboratorium, ponieważ bez paliwa, co wiedzą wszyscy, nie wyruszy na trasę ziemski autobus, ani bardziej złożone maszyny — ku niebu. I tutaj na tej ziemi, jak wie, jest jego aparatura, a ściślej — ich aparatura, którą skonstruowano w jego laboratorium, aparatura kontrolująca i podtrzymująca funkcjonowanie paliwa przy wysokich szybkościach i wielkim ciśnieniu. A później ma spotkanie z profesorami uniwersytetu i jeszcze w Akademii Nauk i zdaje się w towarzystwie „Wiedza".

Poszedł w kierunku dworca, żeby znaleźć tam choćby krzesło i odrobinę posiedzieć i nagle po drodze spostrzegł nocną kawiarnię. To był wprost cud! A kiedy tam wszedł i wzięli od niego cztery ruble za bon konsumpcyjny („Dziś bez programu") był szczęśliwy i zadowolony znalazłszy się w cieple i pośród dźwięków hałaśliwej muzyki.

Kiedy tylko usiadł przy osobnym stoliku, podeszła do niego sympatyczna kobieta i rzekła:

— Dobry wieczór! Czy chce pan coś zamówić na poczet bonu konsumpcyjnego? Jest pan sam?

Spodobała mu się ta kobieta i całe przytulne, wyposażenie kawiarni, i grzeczność, do której nie przywykł i dlatego odpowiedział:

— Dobry wieczór. Wszystko, co pani doradzi. Jestem sam. — I dodał już żartobliwie: — Tylko proszę mieć na względzie moją talię. Dobrze?

Kobieta jakby zarumieniła się i zdziwiła:

— No, według mnie, panu nic nie grozi. Jest pan taki przystojny...

I w tym momencie nie wiadomo dlaczego pomyślał o sali koncertowej w soborze i o tym, że trzeba pamiętać rano o wzięciu biletów. A jeśli nagle okaże się to trudne?

* * *

Jak to wszystko się stało, nie da się opowiedzieć.

Przedstawiła się jako Ola, ale spytał, jak się nazywa po ojcu.

— Wasiliewna — powiedziała.

Jakoś nie potrafił zwracać się do niej po imieniu, chociaż ona, ta dziewczyna obok niego, była jeszcze bardzo młoda.

Kiedy podchodziła do jego stolika i o coś pytała, i trzeba było odpowiedzieć, odpowiadał i mówił także jakieś charakterystyczne dla niego słowa, ale niezmiennie:

— Olgo Wasiliewno...

W kawiarni dźwięczała teraz cicha, lecz niezrozumiała, szczątkowa muzyka.

— Podoba się panu? — pytała.

I on mówił:

— Podoba.

Olga Wasiliewna była urodziwa, uważna i bardzo młoda, i bał się czymś ją dotknąć. I było mu tu dobrze.

Nad ranem gdy zamykano kawiarnię wyszli razem. Przypadkowo. Jakieś jego zdanie i Olga Wasiliewna poprosiła:

— Poczeka pan na mnie? Ja zaraz. Ale nie na ulicy i nie pod kawiarnią. Bardziej na lewo. Zgoda?

Czekał i potem razem szli przez nocne miasto, chociaż zegarek wskazywał już prawie ranek. Ale zima jest zimą i do świtu było daleko.

— Pan nie był zamężny? — pytała.

Śmiesznie było odpowiadać na to pytanie, ale jeszcze śmieszniej poprawiać ją („żonaty", nie „zamężny"), nawet w tym zdradzała swą młodość.

— Nie, nie byłem. Jakoś nie trafiło się.

— A dlaczego? — pytała.

— Jak by to pani powiedzieć, Olgo Wasiliewno? Kochałem niegdyś pewną kobietę, ale to było dawno, na wojnie... A potem... Tak jakoś nie składało się.

— To i dzieci nie ma? — spytała nieoczekiwanie.

Speszył się i zażartował:

— Skoro nie ma żony, to oczywiście i dzieci.

Jak się zachowywać wobec niej, o czym mówić, naprawdę nie wiedział. Ale nie wiadomo dlaczego czuł wielką radość, że idzie obok niego, taka młoda i piękna, i że jakby jej przypadł do gustu, jest potrzebny.

Ile ma lat? Dwadzieścia, dwadzieścia dwa?

Zaufawszy sobie, zapytał.

— Dwadzieścia sześć — odpowiedziała Olga Wasiliewna.

— Wszystkiego dwadzieścia sześć. Ale czy pan wie, jak panu zazdroszczę i w ogóle takim ludziom, jak pan? Przeszli-

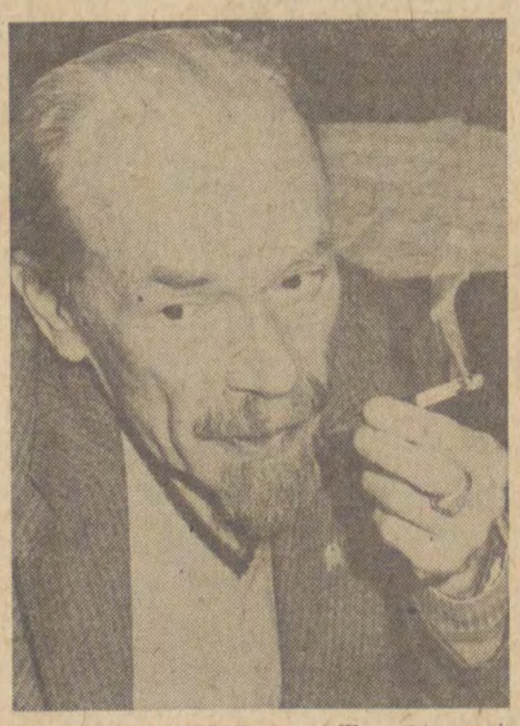

SIERGIEJ BARUZDIN: — „Wszystkie moje najważniejsze książki związane są z jednym tematem — z wojną". *Foto: R. Łucyszyn*

Dalszy ciąg ze str. 1

poszerzyła profil, nie wątpię, że na jej łamach gości często także literatura polska. Jakie są wasze związki z Polską?

— Chciałbym na wstępie powiedzieć o moich własnych związkach z Polską, bo są one bardzo serdeczne,

W słuszności poszukiwań utwierdza nas rosnący nakład, który aktualnie osiągnął 230 tys. egzemplarzy i mógłby być większy, gdyby nie kłopoty z papierem. To najpoważniejsza przeszkoda dalszego upowszechnienia naszego miesięcznika. Rozwiązujemy problem w ten sposób, że wydajemy rocznie, jako dodatek do „Drużby narodów" piętnaście książek naszych autorów. Rozchodzą się one w prenumeracie, albo łącznie z miesięcznikiem, albo nawet niezależnie od niego, bo jesteśmy przeciwnikami sprzedaży wiązanej, a znak firmowy „Drużby narodów" gwarantuje wysoką jakość wydanej przez nas prozy. Jako osobne tomiki ukazały się, na przykład, tylko w tym roku książki Bondariewa, Okudżawy, Bykowa, Trifonowa, Amiredzidu, a są to nazwiska, które mówią same za siebie. Przyjęliśmy także zasadę, że nasze kolegium redakcyjne decyduje o zamieszczeniu jakiegoś tekstu, co okazało się słuszne i dało możliwość większej selekcji, bo był okres, że o druku w dużej mierze decydowały republikańskie związki pisarzy.

— Skoro „Drużba narodów" tak

BYŁEM

a zostały zadzierzgnięte, kiedy miałem siedemnaście lat. Był to rok 1944. Przeszedłem Polskę na piechotę jako żołnierz od Leżajska do zachodniej granicy, zdobywałem Berlin i Pragę. Po wojnie odwiedzałem wasz kraj dobre dziesięć razy oczywiście już w zupełnie innym charakterze, między innymi parokrotnie zasiadałem w jury festiwalu koszalińskiego. Nawet Łódź odwiedzam już po raz drugi. Zawsze rwie się tu moje serce, choćby ze względu na przyjaźń z Igorem Sikiryckim.

ście wojnę, wiecie wszystko... A my? Mnie na przykład z moimi rówieśnikami jest jakoś nieciekawie, smutno.

Mówili jeszcze o przedsiębiorstwie, jadłodajni i restauracji, gdzie Olga Wasiliewna pracuje, gdzie ją wszyscy chwalą i nawet na Honorowej Tablicy wywiesili jej fotografię, niestety nie najlepszą, i o kawiarni, która jest znana w mieście i gdzie wszystkie kelnerki starają się, ponieważ sfera usług jest teraz najważniejsza i o tym wszędzie się mówi. I jeszcze o czymś.

„Zakochałem się! Idiota! Dureń! Zakochałem się! Po co?" — myślał o sobie słuchając Olgi Wasiliewny.

Usłyszał:

— A pan?

— Co ja?

— Pan nie pracuje w sferze usług?

Zawstydził się:

— Skąd, Olgo Wasiliewno! — A pomyślawszy dodał: — Chociaż, w pewnym stopniu...

Bo rzeczywiście, dlaczego jego działalność miała nie należeć do sfery usług. To nawet zabawne, że Olga Wasiliewna podpowiedziała mu taką myśl.

Nad miastem ukazały się chmury i zaczął padać śnieg. Gęsty, zacinający w twarz, z wiatrem. Olga Wasiliewna przytuliła się do niego, wzięła pod rękę i mimo woli przyspieszyli.

Aby nie milczeć, prowadząc ją zadawał głupie pytania:

— A pani jest mężatką?

— A dzieci?

— A mama i ojciec?

Olga Wasiliewna odpowiadała.

Okazało się, że jej się nie powiodło. Miała męża, Pietię, porucznika. Bardzo dobrego męża i wspaniałego człowieka, ale młodego i nie znaleźli wspólnego języka, chociaż dla niego przyjechała tutaj z Nowosybirska. Możliwe, że ona w czymś zawiniła. Jest rozsądna i wszystko rozumie, więc nie potrzebuje obciążać swymi brakami mężczyzn. No i tak to wyszło. A dzieci? To straszne. Miała dzieci, ale zmarły. Ojca i matki też nie ma.

„Nie jest głupia — pomyślał. — Mimo, że bardzo młoda. Jestem obok niej...".

I znów poczuł się bardzo dobrze. Dom Olgi Wasiliewny znajdował się obok soboru.

— Proszę, niech mnie pan nazywa po prostu po imieniu! — poprosiła. — Bo jest mi jakoś niezręcznie! A jutro zobaczymy się? I zaśmiała się: — Dlaczego „jutro". Dzisiaj.

I powiedział do niej po imieniu:

— Rzeczywiście, a co, może pójdziemy do tego soboru na koncert muzyki organowej, Olu? Kupiłbym bilety. Jak pani uważa?

— Cudownie — powiedziała. — Wspaniała idea. Przecież jeszcze nigdy nie byłam, a wszyscy mówią: interesujące...

Pocałował ją w rękę, co rzadko mu się zdarzało.

— Jaki pan, doprawdy — zawstydziła się.

— Do wieczora, Olu.

* * *

O siódmej rano, jeszcze powłóczywszy się po mieście, które wydało mu się tak piękne, zbliżył się do hotelu. Jacyś hałaśliwi cudzoziemcy wychodzili z drzwi, więc zaryzykował, by wejść i spytać:

— No, co z numerem?

I nagle zaskoczenie. Administratorka omal nie rzuciła się na niego z potokiem grzeczności:

— No, dlaczego to tak. Jak pan... Taki człowiek. Przecież był pan wczoraj... Właśnie, czy można pogratulować nagrody? Słyszeliśmy, słyszeliśmy! Niech pan nie będzie taki skromny. No, rzeczywiście, jaki z pana skromny człowiek. Zjawić się tak i nawet nie podać nazwiska. A panem już się tutaj wszyscy interesują. I my czekaliśmy na pana. Luks dla pana, wyższej kategorii.

* * *

Pod wieczór, po spotkaniu ze studentami i profesorami uniwersytetu, wystąpił w towarzystwie „Wiedza", gdzie wszystko było jakieś niezwykle, denerwujące, ale dobrze poszło, i zdążył jeszcze kupić bilety na koncert. To go niepokoiło.

Spotkali się z Olą, jak było umówione, za piętnaście siódma obok soboru.

A potem był koncert. Organy. Bach. Orkiestra i chór. Haendel. Czajkowski. Haydn. Beethoven. Borodin. I zupełnie nie znani wcześniej nawet z nazwiska: Eccles, Reger, Franck, Buxtehude.

Ola siedziała obok zasłuchana, a kiedy zabrzmiało Preludium i fuga D-dur, zapomniał o wszystkim i znalazł się w Krakowie, w styczniu czterdziestego piątego, i zobaczył Ninę, Ninę Fiodorowną Korolewę z oddziału piechoty morskiej. A chowali wtedy Wasię Kalajewa, fotozwiadowcę Kostię Nikołajewa, podporucznika Sołowiewa z ich oddziału i jeszcze wielu innych. I z oddziału piechoty morskiej, w której była Nina.

I kiedy Ola musnęła jego rękę, coś szepcząc, nie zrozumiał:

— Co, Nino?

Lecz widocznie i ona nie zrozumiała omyłki i nie obraziła się:

— Mówię, że jeśli te bilety w czterdziestym dziewiątym rzędzie kosztują rubel pięćdziesiąt, to ile może kosztować pierwszy rząd?

Niczego nie wyjaśniał, choć pierwszy rząd nie jest w tym wypadku lepszy, bo pod samymi organami, ale Bóg z nim.

Po koncercie szli prawie milcząc. Ola o coś pytała, coś jej odpowiadał.

Miasto było przyspane miękkim śniegiem i to wszystko: śnieg i ulice, i plac, i sobór, i głos organów, było nie tu lecz tam, w Krakowie. Wtedy, w czterdziestym piątym, był taki sam miękki śnieg.

Podeszli do bramy.

— Przecież u mnie nikogo nie ma — powiedziała Ola. — Wstąpi pan?

Milczał.

— A jeśli ja bardzo poproszę? — powiedziała Ola. — Bardzo, bardzo.

— Nie, nie, innym razem — powiedział niemal z poczuciem winy i dodał coś jeszcze o zajęciach, o kimś, kto ma zatelefonować do hotelu.

Ucałował rękę Oli i śpiesznie odszedł.

„Jak wrócę muszę odszukać Ninę. Niech będzie mężatką, z dziećmi, ale mam prawo po prostu wiedzieć, co z nią jest, co?".

* * *

Olga Wasiliewna, Ola, nie spała całą noc. Śnił jej się gdzieś przerażający sobór bez sufitu i dachu, i grzmiała muzyka, i było ciepło i przytulnie zarazem z tym dziwnym człowiekiem.

I płakała ze szczęścia i krzywdy i myślała, dlaczego zmyśliła wszystko o Pietii i o dzieciach, których nigdy nie miała.

Przełożył:
KONRAD FREJDLICH

SIERGIEJ BARUZDIN

NU-ŻYKA

P. Ossowski „Pejzaż"

I. Wasiliew „Orfeusz"

NA WOJNIE

Od trzydziestu lat znam Jarosława Iwaszkiewicza. Spotykamy się często w Moskwie i w Warszawie. Co prawda ostatnio nie widziałem go dobre dwa lata. I nagle telefon: odszukał mnie w hotelu „Europejskim". Spotkaliśmy się znowu, tym razem w redakcji „Twórczości". Nie tylko nic się nie postarzał, ale jeszcze poprawiał mnie: Nie, Siergieju Aleksiejewiczu, tamto zdarzenie miało miejsce 16 lat temu, a nie 10 lat, jak się panu wydaje.

Wracając do pytania. W ostatnich latach literatura polska często gości na łamach „Drużby narodów" podobnie jak jest obecna na naszym rynku wydawniczym. Mamy w Związku Radzieckim pełne wydanie dzieł Iwaszkiewicza i to wydaje mi się szczególnie cenne. Jego utwory prezentowaliśmy także na łamach naszego miesięcznika, a obok nich próby Marii Nurowskiej, Janusza Andermana Edwarda Stachury, Wisławy Szymborskiej, Jana Bolesława Ożoga. Skoro już jesteśmy przy Ożogu... W polskiej literaturze wydaje mi się szczególnie interesujące to, co my w Rosji nazywamy „powieścią wiejską". A to przecież u was znaczący nurt pisarstwa.

— A jakie ważne zjawiska odkrywa Pan w recepcji społecznej literatury radzieckiej ostatnich lat? Moje pytanie dotyczy także popularności literatury radzieckiej za granicą.

— Najważniejsze jest chyba to, że w ciągu ostatnich piętnastu lat czytelnik rosyjski zaczął odkrywać dla siebie literaturę innych narodów Związku Radzieckiego. Okazało się, że powstają dzieła wartościowe, a nawet wybitne. Obserwujemy coraz większe zainteresowanie literaturą bałcharską, gruzińską, estońską i innymi, których nie będę tu wymieniał, aby nie przekształcić mojej wypowiedzi w wyliczankę? Choć trudno będzie oczywiście uniknąć przywołania pewnych nazwisk, które poświadczają ten wzrost znaczenia literatur różnych narodów Związku Radzieckiego. Wspomnę tylko takich pisarzy jak Gamzatow, Karim, Kulijew. Bykow nie roszcząc sobie pretensji do wyczerpania tej listy. Wiersze Rasuła Gamzatowa zostały napisane w języku narodu, który liczy wszystkiego 6 tys. ludzi. Chodzi oczywiście o Awarów. Dziś Gamzatow znany jest milionom czytelników, a jego wiersze, oczywiście w przekładach, weszły do kulturalnego dziedzictwa narodu rosyjskiego, gdzie mają zaprzysięgłych wielbicieli. W ciągu ostatnich kilku lat to zainteresowanie czytelnika rosyjskiego literaturą współbraci przeniosło się także za granicę. Pisarze, których wymieniłem, znani są nie tylko w krajach demokracji ludowej, ale także na Zachodzie.

— Łączy Pan obowiązki redakcyjne z własną drogą twórczą. Jak mógłby Pan scharakteryzować rozwój własnego pisarstwa?

— Zacząłem od książek dla dzieci, ale stopniowo pociągnęła mnie proza dla dorosłych, choć pozostaję wierny młodemu czytelnikowi i może dlatego piszę także wiersze dla dzieci. Przez pewien czas pisałem zresztą wyłącznie dla dorosłych. Może pod wpływem własnych doświadczeń zmienił się także mój stosunek do literatury dla najmłodszych. Wydaje mi się, że twórców tzw literatury dziecięcej po prostu nie ma, a jeśli ktoś pisze wyłącznie dla dzieci, jest po prostu złym pisarzem. Napisałem ponad sto różnych książeczek dla dzieci. Są wśród nich i takie, których się teraz wstydzę, ale sporo ocalało i te niekiedy wznawiam.

Teraz, kiedyśmy już sobie to wyjaśnili, powiem może tak. Wszystkie moje najważniejsze książki związane są z jednym tematem, z wojną. Bo właśnie wojna była dla mnie, a nawet dla całego mojego pokolenia, tym zdarzeniem, które ukształtowało mnie jako człowieka. Nie powinno więc dziwić, że w naszej literaturze istnieje cały nurt pisarstwa związanego z dramatem wojny. Chyba jeszcze tylko literatura jugosłowiańska akcentuje tak silnie ten temat. Wydaje mi się, że nawet dla większości młodych pisarzy, których wojna pozbawiła dzieciństwa, jej okrucieństwo, bezwzględność nie przestały być głównym tematem. Mnie zmobilizowano w roku 1943. Jeśli przeżyłem, to chyba dlatego, że wcześnie poszedłem na wojnę, ostrzelałem się i nauczyłem się wojny. Tego nie można zapomnieć.

Mam przyjaciela w KC KPZR, który jest w pewnym sensie moim przełożonym. Posprzeczaliśmy się pewnego razu. Podniósł na mnie głos, a gdy mu zwróciłem uwagę stwierdził, że jest moim rówieśnikiem. O nie, powiedziałem, jestem od ciebie starszy o jedną wojnę.

— Co Pan uważa za swój największy sukces?

— Moje życie związane jest z książkami, ale nie będę się odwoływał do własnej twórczości. Muszę się jednak pochwalić, że w Nareku, w Tadżykistanie, istnieje biblioteka mojego imienia. W pewnym sensie powołałem ją do istnienia, a w każdym razie nieustannie zasilam ją nowymi pozycjami i to szczególnymi, bo z autografami pisarzy, poetów, nawet polityków. W Nareku jest książka z dedykacją Dolores Ibarruri, Indiry Gandhi, Angeli Davis, Janosa Kadara, Nicolae Ceausescu.

Dziękując Panu za rozmowę życzę, aby dla biblioteki w Nareku zdobywał Pan nowe, coraz wspanialsze książki z autografami. To rzeczywiście piękna inicjatywa.

Rozmawiał: KONRAD FREJDLICH

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

CZAS, LUDZIE, PRO-BLEMY...

Reportaż, który jako gatunek paraliteracki ukształtował się na dobre przed około stu laty, w związku z dynamicznym rozwojem prasy, jest obecnie niezmiernie popularny i ciągle bardzo potrzebny, zwłaszcza ze względu na specyficzne walory informacyjne. W Polsce burzliwy rozwój reportażu nastąpił w latach trzydziestych, po wojnie bywało różnie, miał reportaż swe lata chude, ma obecnie i tłuste. Wystarczy po prostu zajrzeć do czasopism, by się o tym przekonać (istnieją nawet periodyki wyłącznie mu poświęcone, mowa o „Kontrastach"). Wystarczy śledzić rynek księgarski, by się w owym przekonaniu utwierdzić.

Dobrze się więc stało, że od pewnego czasu **Wydawnictwo Łódzkie** publikuje własny cykl wydawniczy, grupujący różne odmiany reportażu. Ostatnio we wspomnianym cyklu ukazały się trzy książki: **Ryszarda Wójcika „Opowieści kradzione", Lucjusza Włodkowskiego „Żyć w ciekawych czasach"** oraz **Mirosława Kuźniaka „Rodowody"**. Wójcik ma za sobą wiele lat reporterskiej roboty w warszawskiej telewizji i różnych pismach. „Opowieści kradzione" to jego kolejny zbiór ukazujący indywidualność autora dokładniej może niż książki poprzednie. „Żyć w ciekawych czasach" i „Rodowody" są pierwszymi zbiorami reportaży dziennikarzy pracujących w naszym mieście.

Książki te są tak różne, jak odmienni są ich autorzy, jak odmienne są sprawy, które stały się udziałem ich reporterskich przygód. Różnią się także proporcjami między zawartością informacji a autorską interpretacją i oceną zjawisk. Różnią się wreszcie obszarem penetracji. Wójcik opowiada przeważnie o ludziach z kompleksami, o ludziach, którym nie zawsze udawało się życie, swe reporterskie obrazy maluje nie tylko światłem, pamięta, iż do pełni wyrazu potrzebny jest również cień. Ceni sobie niezwykle bezpośredniość, stara się pokonać barierę, jaka zazwyczaj dzieli reportera od ludzi, z którymi się styka. Stara się dotrzeć możliwie najbliżej spraw, o których pisze, chce wszystko widzieć niejako od środka, nie zaś budować relację postronnego obserwatora. Ma się za „tragarza faktów" jedynie, a w gruncie rzeczy jest kimś więcej — jest reporterem przeżywającym, żyjącym w niepokoju i niepokój wywołującym, operującym nastrojem, eksponującym niemal zawsze psychologiczne aspekty sytuacji wzbudzającej jego dziennikarską ciekawość. Zawsze wiadomo, że to on Ryszard Wójcik, opowiada, że niby przedstawia „nagie fakty", a przecież niepostrzeżenie je interpretuje, podaje przefiltrowane już przez własną osobowość.

Inaczej Włodkowski i Kuźniak. Dla nich najważniejsza jest informacja. Możliwie ścisła, możliwie najdokładniejsza. Chętnie, zwłaszcza Kuźniak, posługują się różnorodną dokumentacją. Nie rozbudowują psychologicznych charakterystyk swoich bohaterów, nie jest im to specjalnie potrzebne, ponieważ ocena spraw i ludzi, o których piszą, zawarta jest już niejako w tytułach i w pierwszych zdaniach kolejnych reportaży. Zawarta jest w doborze bohaterów — ludzi, którzy własnym życiem zapisywali ciekawe karty współczesnej historii (proszę mi wybaczyć takie sformułowanie, ale wydaje się, iż trafnie odzwierciedla ono reporterski punkt widzenia zarówno autora „Żyć w ciekawych czasach" jak i autora „Rodowodów"). Patrzą oni bowiem na swych bohaterów jako na reprezentantów pewnych prawidłowości historycznych: społecznego i intelektualnego awansu ludzi o prostych, zwykłych rodowodach, włączania się ich w nurt politycznej działalności. Tropią związki takich życiorysów z tym wszystkim, co zostało dokonane w Polsce po ostatniej wojnie.

Bez przesady rzec można, że **książka Ryszarda Wójcika** ma charakter intymny, stanowi wyznanie reportera, który sumuje swe dotychczasowe osiągnięcia (choć nie tylko). I te wyznania, własne rozterki, znaki zapytania, na które w żaden sposób nie można dać natychmiastowej i jednoznacznej odpowiedzi, wydają mi się najciekawsze. Wyodrębnił je zresztą autor, nadając im wymowny tytuł: **„Opowieści na własnej skórze spisane"**. Dają one czytelnikowi szansę dowiedzenia się pewnych prawd o zawodzie reportera: **„Takie zajście od kulis, od tyłu, przez dziennikarską kuchnię... Więcej to powie ludziom niż niejeden publicystyczny tekst. Musimy przebić się ze swoją prawdą na widok publiczny. Kim jest reporter? Bankietowym kelnerczykiem asystującym przy uroczystych otwarciach i przecięciach wstęgi, iluzjonistą, który z grzecznym uśmieszkiem podaje z jednej ręki dramat, a z drugiej komedię... I wreszcie: czymże ja sam jestem? Dziennikarzem? Kaznodzieją? Żałośnym Savonarolą? Przecież świadkiem zdarzenia dawno być już przestałem. Nie obserwuję, ale uczestniczę. Ba! Organizuję widowisko według zamierzonego wcześniej scenariusza, czyli — reżyseruję samo życie. Znaki zapytania. Wielokropki. Czytelnik mi wybaczy..."**

Powiada więc Wójcik o swych najtrudniejszych sprawach, które do dziś jeszcze w prywatnym archiwum spoczywają w teczce z napisem „Co dalej". O nagłych zgonach ludzi, o których napisał krytycznie O telefonach z pogróżkami, jakie otrzymywał przez długi jeszcze czas po opublikowaniu reportażu. O nagonkach, których stawał się obiektem. Sprawy, z którymi sam nie potrafił się uporać podaje pod osąd kolegów (na przykład na łamach „Kontrastów" w 1976 roku), poddaje refleksji czytelników. Jest reporterem inspirującym, zachęca do dyskusji, budzi sumienia.

Nie kryje też, iż ciągnęło go niegdyś do literatury, że jest autorem scenariuszy filmowych. Ślady owych ciągot widoczne są w reportażach, lecz nie ma się czego wstydzić, przecież nowoczesny reportaż wchłonął wiele doświadczeń prozy powieściowej i nowelistycznej, sucha, beznamiętna relacja jest dziś w takim przypadku chyba nie do pomyślenia. Nie chodzi mi przy tym o mieszanie materiału autentycznego i literacką fikcję, to jest już inne zagadnienie. I przy okazji książek innych reporterów będzie można doń powrócić.

Jako motto swej książki **Lucjusz Włodkowski** wykorzystał słowa Miodraga Bulatovicia, znanego pisarza jugosłowiańskiego, który goszcząc przed kilkunastoma miesiącami w Łodzi, powiedział: **„Historię piszą zwycięzcy, a tworzą ją zwykli ludzie"**. W myśl tej dewizy autor „Żyć w ciekawych czasach" nie szuka ujęć sensacyjnych, nie tropi spraw wyjątkowych. Pokazuje ludzi, którzy **„osiągnęli swoje cele dzięki przemianom, jakie dokonały się w naszym kraju"**. Pokazuje ludzi, którzy **„swoją pracą i postawą, realizując własne cele i marzenia, tworzą jednocześnie historię. I odwrotnie. Ich życie potoczyłoby się inaczej, gdyby nie historia"**. Przedstawione w książce Włodkowskiego biografie często zaczynają się w odległych czasach, w okresie międzywojennym, w latach zmagań z hitlerowskim najeźdźcą, a nieraz nawet i przed pierwszą wojną światową. Ich zasadnicza część dzieje się wszakże w Polsce Ludowej. Życiorysy te (wojskowego, profesora wyższej uczelni, działacza politycznego, współinicjatora Wyścigu Pracy, inżyniera, lekarza) ilustrują poszczególne fazy powojennych dziejów — okres odbudowy, urzeczywistnianie planu sześcioletniego, realizację kolejnych planów.

Książka ta bazuje na konkrecie. Biografie jej bohaterów są tak szczegółowe, tak bogate w realia, jakby autorowi szkoda było cokolwiek uronić. To chyba dobrze, bo w tak pomyślanej dokumentacji każdy detal może się przydać.

Pisze Włodkowski: **„Przeżywaliśmy w całym naszym trzydziestopięcioleciu okresy burzy i naporu, zwątpień, ale też i trudnej, ciężkiej pracy w imię narodowych ambicji"**. Jego reportaże potwierdzają, że czasy, w których żyjemy, są ciekawe, bo skomplikowane.

Mirosław Kuźniak bardziej znany był do tej pory jako poeta. Zainteresowanie reportażem datuje się od paru lat, od chwili podjęcia pracy w Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia. Specjalnością Kuźniaka stały się reportaże inspirowane problemami naszego miasta i regionu. Najchętniej penetruje on społeczność włókniarską, jej sukcesy i bolączki, jej przeszłość i dzień dzisiejszy. Tego właśnie wyrazem są „Rodowody".

Dawna Łódź to dziś tylko wspomnienie, i to wcale nie takie znów częste. Jak w piosence, przypomnianej w reportażu „Ostatni Mohikanie łódzkich ulic":

Teraz wszystko jest tu inaczej.
Tamte czasy minęły jak sen.
Nie ma Mańki, Mojsie Maksa,
A nad Łódką Starego Miasta,
Nawet księżyc bałucki nie ten.

Sporo miejsca w książce Kuźniaka zajmuje rekonstrukcja „drzewa genealogicznego" łódzkich rodów robotniczych, zasiedziałych w tym ongiś „złym mieście" od wielu pokoleń. Potwierdza ona znane fakty — z okolicy bliższej i dalszej napływała wiejska biedota, by ciężką pracą przy włókienniczych maszynach poprawiać swój los. Ludzie ci wrastali w fabryczne miasto, zakładali rodziny, wytwarzali specyficzny folklor. Wszystko to w charakterystycznych przejawach rejestruje autor „Rodowodów". Jego reporterski warsztat jest możliwie najprostszy: posługuje się wywiadem, źródłami drukowanymi i rękopiśmiennymi, ubarwia to własną refleksją bądź przeżyciem. Daje w ten sposób przejrzysty obraz włókniarskich dziejów. Daje w ten sposób świadectwo przemianom czasu i ludzi.

Reportaż bardziej może niż inne gatunki świadczy o zmienności czasu, o przemianach ludzi, weryfikuje problemy, stanowiska i oceny. Reportaże, o jakich była tu mowa, mają w zdecydowanej większości charakter społeczno-obyczajowy, koncentrują się na jednostkach, ale wyrażają to, co w losie i życiu Polaków typowe. Zarówno w pozytywach, jak i w sprawach niekoniecznie zasługujących na pochwałę. Potwierdzają potrzebę rzetelnej informacji i wnikliwej refleksji.

Ryszard Wójcik, Opowieści kradzione, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1979, nakład 7 000+330 egz., s. 223, cena zł 24. —

Lucjusz Włodkowski, Żyć w ciekawych czasach, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1979, nakład 4 000+300 egz., s. 180, cena zł 20. —

Mirosław Kuźniak, Rodowody, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1979, nakład 4 000+300 egz., s. 134, cena 14. —

PRÓBA ZBLIŻENIA

Jesteśmy narodem rozdyskutowanym. Wprawdzie oficjalnie, na zebraniach raczej „sprawozdajemy", ale za to już w kuluarach dyskusje toczą się zażarte. Dyskutujemy na spotkaniach towarzyskich, na imieninach, w pociągu, na spacerze. Słowem przy każdej niemal okazji. Dyskutujemy o wszystkim, ale najczęściej o gospodarce. Bez przesady można powiedzieć, że najwięcej w Polsce jest ekonomistów. Każdy zna się u nas na gospodarce. Każdy jest ekonomistą. Pytanie tylko, dlaczego mamy gospodarcze kłopoty? Być może właśnie dlatego, że w powszechnym przekonaniu każdy z ekonomią jest za pan brat, a w rzeczywistości mało się na tym zna.

Ludzie, którzy naprawdę interesują się złożonymi problemami ekonomicznymi sięgają po książki, aby poszerzyć i pogłębić swoją wiedzę na ten temat. Mają oni do wyboru spory zasób literatury. Od bardzo specjalistycznej do publicystyki traktującej o gospodarce. Jeśli jednak tej literatury specjalistycznej jest sporo, a traktuje ona nieraz o bardzo wycinkowych, wąskich sprawach, to tej drugiej, popularnej — nie jest wcale tak dużo. Niełatwo jest bowiem pisać popularnie o sprawach gospodarczych.

Próbę taką podjął ostatnio **Krzysztof Pogorzelec**. Nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazała się jego książka pod tytułem: **„Bez recepty na myślenie"**. Autor z góry przeprasza, już w pierwszych słowach książki, że nie wyjaśnia żadnych podstawowych choćby pojęć ekonomicznych. Chodzi mu zupełnie o coś innego.

Krzysztof Pogorzelec wyszedł ze słusznego założenia, że sprawami gospodarki interesują się wszyscy, bo to, jak funkcjonuje gospodarka decyduje o poziomie i sprawności naszego życia. Każdy z nas — pisze Pogorzelec — **„codziennie napotyka złożone, często niezmiernie trudne problemy i zjawiska"**. Interesuje się nimi, ale nie zawsze ma dostateczną ilość danych. Informacji, aby móc o tych sprawach wydawać właściwe sądy. I tak narodził się zamysł przybliżenia czytelnikowi trudnych spraw gospodarczych.

Mamy w książce Krzysztofa Pogorzelca sprawy różne. Pisze on o dyrektorach, współpracy międzynarodowej, kooperacji, czasie pracy, usługach, a w tym o hotelach i o wielu innych sprawach. Pisze o tym, co nas na ogół interesuje, z czym stykamy się codziennie, co nas skłania do pochwał, albo częściej denerwuje. Ileż ludzie wypowiedzieli różnych słów na temat eksportu. Ileż na tym eksporcie psów nawieszali, ciągle przecież nie rozumiejąc, że współczesna gospodarka nie może istnieć bez eksportu i importu. Nie ma takiej możliwości. Więc Krzysztof Pogorzelec cierpliwie tłumaczy czytelnikowi zależność gospodarki od eksportu i importu, wzajemny między nimi stosunek, proporcje i próbuje wyjaśniać nieporozumienia.

Autor, zasiadając do pisania **„Bez recepty na myślenie"**, zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw jakie na niego czyhają. Po pierwsze — nie można takiej książki przeładować liczbami. To niewyrobionego czytelnika na ogół nuży. Po drugie — o gospodarce pisze się na ogół sucho, a to też nie zachęca czytelników do lektury. Po trzecie — choć ogólne założenia rozwoju gospodarczego są stałe, to przecież, na skutek silnych związków naszej gospodarki ze światową, podlega ona różnym procesom, co powoduje zmianę taktyki gospodarczego działania, zmianę proporcji pomiędzy poszczególnymi działami gospodarki. Od lat mamy znane kłopoty z gospodarką żywieniową, co wpływa w różny sposób na całość funkcjonowania gospodarki.

A mimo to Krzysztof Pogorzelec podjął się próby zbliżenia nam trudnej i skomplikowanej problematyki gospodarczej. Jak z tej próby wyszedł?

Zastosował, w moim przekonaniu, jedynie możliwą metodę. Nie poucza, nie moralizuje, nie wytyka. Dyskutuje z czytelnikiem. Trudno powiedzieć, że jest to gawęda o gospodarce, jest to raczej włączenie się do dyskusji. Autor bardzo często zwraca się wprost do czytelnika, prezentuje mu swoje racje, poglądy, odczucia, ale nie może też obejść się bez danych, liczb, statystyki. Raz prezentuje je łagodnie, nie przeciążając uwagi czytelnika liczbami, innym razem nie może powstrzymać się przed pochwaleniem się, ile to on wie, jakim bogactwem liczb może sypnąć. Ale na szczęście zdarza się to dość rzadko.

Czy więc udała się Krzysztofowi Pogorzelcowi próba zbliżenia czytelnikowi problematyki gospodarczej? Udała się. I jeśli nawet czytelnik dojdzie do wniosku, że z takim, czy innym poglądem autora książki można dyskutować, to tym lepiej dla autora, bo założył on sobie, iż włącza się do powszechnych dyskusji. Ale włącza się z argumentami. I to się liczy przede wszystkim.

Przy lekturze książki Pogorzelca nasunęła się mi jedna refleksja natury ogólniejszej, acz technicznej. Tego typu książek nie czyta się na ogół rozdział po rozdziale, raczej wybierając partie nas akurat interesujące, wracając do niektórych rozdziałów w poszukiwaniu informacji o tej czy innej dziedzinie gospodarki. Pogorzelec w trosce o atrakcyjność zadbał o ładne, pociągające tytuły. To jego zasługa. Warto więc może zastanowić się, czy przy tego rodzaju zabiegach, bez szkody dla kształtu i kompozycji całości, nie byłoby dobrze, wzbogacić w spisie treści tytuły rozdziałów o informacje dokładniej mówiące o ich treści.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Krzysztof Pogorzelec — „Bez recepty na myślenie", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1979, str. 196, cena 20 zł.

DALEKI ARARAT

Wśród tegorocznych nowości kina radzieckiego znajduje się armeński film „Gwiazda nadziei" w reżyserii Edmonda Kieosajana, przypominający, jak istotne, zwłaszcza w ostatnich kilkunastu latach, miejsce zajmują narodowe kinematografie w całościowej panoramie filmu Kraju Rad.

Mając w pamięci klasyczną, lecz odległą w czasie twórczość Dowżenki, ze zdumieniem i zachwytem obejrzeliśmy w 1965 roku ukraiński film „Cienie zapomnianych przodków" S. Paradżanowa. Przypomnieliśmy sobie wówczas, że pierwsze sygnały przemian w kinie radzieckim w drugiej połowie lat 50-tych przyszły z Gruzji, gdzie powstały skromne, lecz jakże nowe swym klimatem takie filmy jak „Osiołek Magdany" T. Abuładze i R. Czcheidze oraz „Na naszym podwórku" R. Czcheidze. Od tego czasu kinematografia gruzińska, dzięki takim reżyserom, jak bracia Gieorgij i Eldar Szengełaja („Aławerdoba" i „Biała karawana") wspomniany Rezo Czcheidze („Ojciec żołnierza") i Otar Joseliani („Cierpkie wino" i „Był sobie drozd"), stale wypełnia ważny rozdział kina radzieckiego.

Filmy gruzińskie zwróciły uwagę na nowe zjawiska tego kina. Zaczęto baczniej obserwować to, co dzieje się w północnych i południowych republikach. To jednak, co wydało się najbardziej oryginalne, powstało na Ukrainie, w Turkmenii, Kirgizji, Azerbejdżanie, Mołdawii i Armenii.

Zauważono, że twórczości republikańskich wytwórni zawdzięcza kino radzieckie twórczy renesans tradycyjnego tematu rewolucji i zachodzących pod jej wpływem przemian w świadomości człowieka. Przypomnijmy tu choćby kirgiski film „Pierwszy nauczyciel" A. Michałkowa-Konczałowskiego czy uzbecki „Taszkient — miasto chleba" S. Abbasowa. W wielu filmach zwracała i zwraca uwagę dociekliwość i niebanalność pytań dotyczących postaw bohaterów współczesnych („Widzę słońce" Ł. Gogoberidze, „Parasolka" M. Kobachidze, „Cierpkie wino" i „Był sobie drozd" O. Joselianiego).

Najbardziej fascynujące dla publiczności innych krajów są jednak te filmy, które przynoszą obraz bogactwa folkloru i szeroko rozumianej tradycji, a więc powszechnie mało znanych wartości kultury południowych republik Związku Radzieckiego. Twórcy poszczególnych kinematografii ujawniali i ujawniają w swych filmach historyczną i kulturową tożsamość, a tym samym odrębność narodową. Czynią to dwiema drogami — bądź poprzez epickie konstrukcje istotnych wydarzeń swej historii, bądź poprzez powrót do żywych jeszcze legend, wierzeń i obrzędów ludowych. Folklor jest tu praźródłem i ciągle żywym jeszcze nurtem narodowej kultury.

Fascynacja przeszłością i ciągle żywymi odcieniami jej tradycji znalazła w większości przypadków swój niezwykły filmowy kształt. Jego głównym wyznacznikiem stał się liryzm. Mówiło się wówczas wiele o narodzinach nowego kina poetyckiego, którego inspiracją, przedmiotem i materią stał się folklor.

Należy w tym miejscu przypomnieć, że zrodzony w połowie lat 60-tych ów nurt poetycko-folklorystycznego kina znalazł swe równoległe ujawnienie przede wszystkim w republikach radzieckich i w krajach latynoskich, a więc tam, gdzie narodowe kinematografie szukały swej tożsamości i autentyczności. Znany to w dziejach proces, w trakcie którego oryginalne wartości narodowej kultury rodzą się na gruncie ludowej tradycji, bądź przeżywają swój renesans na drodze powrotu do jej źródeł. Twórczy, dynamiczny stosunek do przeszłości historycznej i kulturowej tak w kinie latynoskim jak i radzieckim niósł z sobą zarówno głębszą refleksję historiozoficzną jak i samą filozofię sztuki.

W kulturze XX wieku między innymi właśnie kino poetycko-folklorystyczne stało się wielką manifestacją owego powrotu do źródeł. Kino to przyniosło znużonemu modelami sztuki współczesnej odbiorcy powiew tajemnicy, a nawet irracjonalizmu i mistycyzmu. Zaproponowało bohaterów odznaczających się silną indywidualnością i targanych namiętnościami, o których przestaliśmy mówić. I co bardzo ważne, po raz pierwszy od czasów lekcji, jaką dało nam kino japońskie, nauczyło głębokiej pokory wobec kultury kształtującej się poza najbliższymi nam tradycjami. Poruszyło skonwencjonalizowaną wyobraźnię i odkryło wielość uniwersalnych motywów światowej kultury.

Filmy te wniosły do sztuki filmowej nowe inspiracje, wypływające z urzekającego pięknem materialnego bogactwa narodowych sztuk i folklorów, z urody obrzędów i rytuałów, przebogatych możliwości obrazowej metaforyki i symboliki oraz z oryginalności muzyki. Niezwykłość doznań estetycznych w połączeniu z głęboką refleksją historiozoficzną i kulturową decyduje o tym, iż owo zjawisko zwane kinem poetycko-folklorystycznym, w którym filmy radzieckie mają swój ogromny udział, tworzą jeden z najciekawszych nurtów współczesnego filmu.

A zaczęło się to wszystko wspomnianym na początku filmem S. Paradżanowa „Cienie zapomnianych przodków". Przypomnijmy zatem choć kilka innych tytułów filmowych tego nurtu. Należy do nich zrealizowany w Armenii film „Sajat — Nova" tegoż samego Paradżanowa, ukraińskie filmy „Noc świętojańska" i „Biały ptak z czarnym znamieniem" J. Iljenki, „Kamienny krzyż" L. Osyki, „Woda życia" G. Kochana, gruziński film „Błagania" T. Abuładze, mołdawscy „Lautarzy" oraz „Tabor idzie do nieba" E. Lotianu.

Armeńska „Gwiazda nadziei" E. Kieosajana, która stara się pretekstem do przypomnienia znaczenia narodowych kinematografii w całokształcie obrazu kina radzieckiego, jest filmem sytuującym się we wspomnianym wyżej drugim nurcie owych filmów regionalnych. Są nim wielkie widowiska historyczne tworzone na kanwie starych podań i faktów autentycznych. „Gwiazda nadziei" opowiada o walkach narodu armeńskiego, prowadzonych na przełomie XVII i XVIII wieku z najeźdźcą tureckim. Odkrywając nie znane lub mało znane karty historii Armenii, film ten przede wszystkim jednak wywołuje tę znamienną w kontakcie z filmami republikańskich kinematografii reakcję. Budzi zachwyt, wstyd i pokorę. Zachwyt dla ujawnionego przecież tylko w części piękna armeńskiej sztuki i kultury. Wstyd wywołany jest faktem, że tak niewiele o niej wiemy. Uczucie pokory tłumaczy się zatem samo. Wzmacnia je jednak świadomość trzech tysięcy lat historii, a więc i kultury narodu armeńskiego, który przypomnijmy tylko, stolicę swego kraju — Erewań, zaczął budować 2750 lat temu.

Przytłoczony tą świadomością recenzent pozwala sobie w tym miejscu przytoczyć anegdotę, przypomnianą ostatnio przez publicystę „Życia Literackiego". Gdy przed przeszło stu laty Jan Matejko wystawił w Paryżu swojego „Rejtana", francuski krytyk napisał podobno, że na tym wielkim obrazie dzielni Polacy wyrzucają z sali obrad pijanego posła tureckiego. Proszę zatem o wybaczenie, uzasadnionej chyba wstrzemięźliwości w opisie zjawiska, o którym była dziś mowa.

EWA NURCZYŃSKA

TAEDIUM VITAE CZYLI NA POGRANICZU ISTNIENIA

Kiedy przed ponad dwoma laty pisałem na tych łamach o pierwszej części „Doktora Twardowskiego" Jerzego Broszkiewicza, powieści realizującej w oparciu o współczesne realia stary faustyczny mit, zastanawiałem się, czy w części dalszej wątek poprowadzony zostanie w sposób tradycyjny, to znaczy czy cała sprawa zakończy się połowicznym sukcesem dzisiejszego mistrza — doktora nauk humanistycznych Grzegorza Twardowskiego. I oto doczekaliśmy się odpowiedzi, oscylującej — jak było do przewidzenia — wokół problemu „czym jest w istocie szczęście".

„Od tysięcy lat rozumni na pozór filozofowie mówiąc o szczęściu stawiali słowo przeciw słowu i myśl przeciw myśli" — rzecze w pewnym momencie narrator, rodzime wcielenie słynnego Mefista. W myśl tej zasady toczy się też narracja powieści. W poprzedniej jej części pozostawiliśmy młodego człowieka, gdy — znajdując się u szczytu życiowego powodzenia i sławy — rażony został niezwykle groźną chorobą. Znalazł się więc na krawędzi życia, zatrzymał się na pograniczu istnienia.

Trwa rozpaczliwa walka (nie bez różnych oporów zresztą i przeszkód) o przywrócenie go do dawnej świetności. Na tej to kanwie realizuje się ciekawy bilans między planem realistycznym a elementami legendowymi czy wręcz baśniowymi, aktualne realia obyczajowe (jakże dowcipnie i krytycznie niejednokrotnie przedstawione) wykorzystane zostają do uogólnień znacznie przekraczających czasowe ramy współczesności.

Korzenie drzewa genealogicznego pacjenta Twardowskiego, przebywającego okresowo w ekskluzywnej klinice psychiatrycznej, sięgają szesnastego stulecia, kiedy to na dwór króla polskiego Zygmunta Augusta przybył z Wittembergii mag i doktor wiedzy tajemnej z łacińska zwany Duranoviusem, po polsku zaś Twardoszem. Czyż wypadało jednak wprowadzać do królewskiej legendy nieszlachcica? Tak więc pojawił się imć pan Twardowski, czemu jako pierwszy bodaj dał swego czasu świadectwo dworski literat, autor „Dworzanina". Ostatni po mieczu potomek Duranoviusa nie wykazuje ciągot do czarnej magii, największym jego — jako historyka z wykształcenia — marzeniem jest „opowiedzieć Polskę", stworzyć syntezę dziejów narodu, jakiej jeszcze nie było. Lecz nie da się spiesznie tak ambitnego zamierzenia urzeczywistnić. Młody adept „nauczycielki życia" ćwiczy tedy swój umysł obserwując współczesny obyczaj, poszukując w tym zakresie wszechstronnych uwarunkowań. Obyczaju tego w drugiej części „Doktora Twardowskiego" więcej jest niźli w części pierwszej. I dobrze. Bo spostrzeżenia są i trafne i kpiące (choć to czasem śmiech z łezką w oku) w całej rozciągłości: od prezentacji „najmłodszej kadry" najstarszego zawodu świata po gry i zabawy najbardziej oświeconej warstwy społeczeństwa. W tym też — w potraktowaniu wysłużonej legendy trochę à rebours i odświeżeniu jej w ten sposób — dostrzegam wartość powieści Jerzego Broszkiewicza. Rozgrywa się ona w sytuacji zagrożenia, na pograniczu istnienia, a pełno w niej witalności: i cielesnej i intelektualnej. W tej ostatniej materii, podobnie jak i w tomie poprzednim, wykazać się trzeba przytomnością, aby odróżnić tradycyjne poglądy filozoficzne od zręcznej mistyfikacji.

Dysput filozoficznych jest tu zresztą sporo i wszystkie bez mała oscylują między dwiema krańcowościami: nieuchronnością i nieprzewidywalnością śmierci z jednej strony, a nienasyceniem w tęsknocie do powszechnego szczęścia. Jeremi Rokita, zły duch bohatera powieści, ponosi w końcu klęskę. Doktor Twardowski odnajduje się, a dalsze jego dzieje wyznaczają słowa lekarki-opiekunki:

„Człowiek istnieje wyłącznie poprzez otwarcie się ku ludziom. Nikomu nie wolno zamykać się w stanach czystych, bo są zaprzeczeniem nieustannego ruchu naszych usiłowań. A rozwój osobowości (...) może się dokonać przede wszystkim poprzez nieustanne starcia szczęścia z nieszczęściem, kondycji jednostki z losem zbiorowym, świadomego sporu z sobą samym o własną wartość, o każdą zgodną z doświadczeniem przygodą intelektu i uczuć. Nawet jeśli będzie to uczucie klęski...".

Faustyczna legenda wyraża wieczne nienasycenie poznawcze, stałą dążność do przekształcania istoty człowieczeństwa. Złowrogi cień, jaki zawisł nad nią od samego początku, usuwany jest z niemałym trudem, wskazując ludzkości metodę postępowania: należy zło obracać w dobro, rugować krzywdę, nie załamywać się w chwilach podłych doświadczeń, a szczęście własne łączyć z uszczęśliwianiem innych. Tak oto dokonuje się przezwyciężenie taedium vitae.

T.B.

Jerzy Broszkiewicz — „Doktor Twardowski", część II, Czytelnik, Warszawa 1979, nakład 30 320 egz., str. 420, cena zł 44.—

TEORIA I PRAKTYKA

W ostatnim numerze miesięcznika „Kino" profesor Kazimierz Żygulski przedstawia swoją kolejną apologię telewizji „jako ważnego czynnika w zasadniczych dla ostatnich dziesięcioleci procesie szybkiej demokratyzacji życia kulturalnego socjalistycznej Polski". A oto argumenty potwierdzające tę tezę: tv zaspokaja „bardzo zróżnicowane i powszechne potrzeby"; „oglądanie programów tv zajmuje pierwsze miejsce w strukturze zajęć czasu wolnego"; „rozwój telewizji przyczynił się ogromnie do ujednolicenia doświadczeń kulturalnych naszego społeczeństwa"; „tv dała ogromne wzbogacenie kulturalne codziennego bytu"; „rozwój tv i jej rola w kulturze współczesnej są jednym z katalizatorów reformy szkolnej"; „tv niesie ze sobą pogłębianie się świadomości narodowej". Kazimierz Żygulski powołuje się na badania. Trzeba jednak powiedzieć, iż w badaniach tych dominują statystyki i obliczenia o charakterze ilościowym. Sprawy oceny tego co się ogląda, odbioru i asymilacji wartości niesionych przez program tv są już mniej uchwytne są rozpoznawalne w stopniu minimalnym. Liczenie krzyżyków w rubrykach ocen wypełnianych przez respondentów OBOP (o czym była mowa w „Studio BIS z 12 listopada) nie na wiele się tu zdaje.

Przytoczyłem tu wypowiedź profesora Żygulskiego nie po to, aby z jego obserwacjami polemizować. Są one — jak się rzekło — utrzymane w tonie apologii, która idealizuje i generalizuje rzeczywistość. Z tekstu Kazimierza Żygulskiego możemy się dowiedzieć czym telewizja mogłaby być, biorąc pod uwagę swoje możliwości, albo czym ten środek masowego przekazu jest potencjalnie. Ów tekst zatem powinien determinować niejako na co dzień świadomość twórców tv, którzy wiedzą (także na podstawie badań), że efekty ich pracy mogą być oglądane przez 90 proc. dorosłej ludności naszego kraju, że statystyczny Polak spędza przed telewizorem około dwie i pół godziny dziennie, że 2/3 spośród widzów nie przeczytało ani jednej książki, czy czasopisma społeczno-kulturalnego, że 3/4 nie było w kinie, teatrze, na koncercie, na wystawie. Zestawiając te dane (rok 1976) ze skrótowo, z konieczności, zrelacjonowanym artykułem Kazimierza Żygulskiego, chcę jedynie podkreślić rangę odpowiedzialności, która spoczywa na telewizji.

I ja wdałem się w generalia. A przecież program ostatniego tygodnia można uznać za propozycję rzeczywiście różnorodną i wielowartościową. I gdyby nań spojrzeć poprzez perspektywę artykułu Kazimierza Żygulskiego, okaże się, iż trzeba się będzie wycofać z określenia „apologia" i przyznać profesorowi rację. Gdyby jeszcze to, co dane nam było oglądać w ostatnim tygodniu, stało się ciągłą praktyką naszej telewizji...

W kinie telewizyjnym niesłychane bogactwo: „One dwie" Marty Meszaros, „Ów chłodny dzień w parku" Roberta Altmana, „Stąd do wieczności" — film Freda Zinnemanna wg J. Jonesa, „Rzeźnik" C. Chabrela. A i horror, i pierwszy odcinek serialu z gatunku science-fiction „Najeźdźcy z kosmosu". Nie liczę seriali, do których chcąc nie chcąc już widownia TVP przywykła. „Korzenie" „Sam i Sally", „Van der Valk" „Najmłodszy z rodu Hamrów". Wreszcie druga część widowiska Grzegorza Królikiewicza „Idea i miecz". Wprawdzie czas zatarł znacznie wrażenia po emisji części pierwszej, trudno, spróbujemy je zrekonstruować, gdy zobaczymy część ostatnią tryptyku. Należy liczyć, że zobaczymy Tu, mając na myśli, zdanie z tekstu profesora Żygulskiego o roli tv w pogłębianiu świadomości narodowej, można byłoby zapytać, dlaczego interesujący, acz dekadencki film Altmana znalazł się w programie pierwszym, natomiast, ważne, bo sięgające do naszych tradycji widowisko Królikiewicza skazano na liczący się w ułamkach procent widzów? Pytam, choć zdaję sobie sprawę, iż nawet Krystyna Sienkiewicz w „Studio-Gama" na to pytanie nie zechce odpowiedzieć: za mało dowcipne. Zresztą gdyby nie „program naszych kolegów z Poznania" i Zenona Laskowika nie warto byłoby nawet wspomnieć o piątkowym magazynie. Te superpiętrowe parodie — pomysły Tadeusza Drozdy — ogląda się, jeśli się ogląda (co na to OBOP?), z trudnym do ukrycia zażenowaniem.

Chciałem się do końca, w tym felietonie, utrzymać w tonie aprobaty, nawet sobie wymyśliłem pointę z rysunku Andrzeja Krauzego „Wilk cały i owca syta". Niestety, rzucając okiem na powyższe zdania, zatrzymałem się nieopatrznie na tytule „Sam i Sally". Po pierwszym odcinku sądziłem, iż zakupiono ten serial z myślą o psychicznym podbudowaniu właścicieli małego fiata. Tytułowa Sally poruszała się po ulicach, bodaj Taorminy, tym właśnie samochodem. Jak łatwo było wielu widzom identyfikować się z ekranową rzeczywistością! Niestety Sally wchodząc w spółkę z dżentelmenem-włamywaczem, przesiadła się do wozów bardziej egzotycznych. Nie ma już zupełnie z czym się identyfikować. Pooglądajmy zatem „Popołudnie wiedzy i fantazji".

GRZEGORZ GAZDA

REDUTA

Wśród publikacji ukazujących się z okazji 40 rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej znalazła się też książka Mariana Krwawicza „Śląska Reduta 1939". Wydała ją Książka i Wiedza w „Bibliotece pamięci pokoleń".

Śląsk był szczególnie narażony na hitlerowskie ataki w okresie poprzedzającym wybuch wojny. Tutaj było wielu Niemców, działały pisma niemieckie, łatwo było przejść granicę do Trzeciej Rzeszy, dochodziło do częstych ataków na polskie placówki przygraniczne. Tutaj też trzeba było szczególnie uważnie przygotować się do zbliżającej się wojny.

Marian Krwawicz z wielką dokładnością opisuje przygotowania wojskowe. Pokazuje stan naszych sił i sił przeciwnika. Drobiazgowo też opisuje bitwy i starcia pierwszych dni wojny, a także udział społeczeństwa śląskiego w obronie ojczyzny. Jest to kronika wojny 1939 roku na Śląsku, kronika ukazująca nasze nieprzygotowanie. Do ukończenia umocnień zabrakło dosłownie tygodni. Podobnie do sformowania poszczególnych jednostek, które miały bronić Śląska. A przecież mimo tego nieprzygotowania, mimo przeważających sił nieprzyjaciela żołnierz polski, żołnierze batalionów obrony narodowej, harcerze, górnicy walczyli dzielnie, nieraz do ostatniego naboju, do ostatniego tchnienia. Wielu z nich zresztą, dostawszy się do niewoli poniosło śmierć z rąk hitlerowców.

Wart pamięci jest ten epizod wrześniowej wojny, gdyż na ogół w naszej wyobraźni bardziej utrwaliły się obrazy ucieczki, paniki, porażek i klęski, mniej wiemy natomiast o tym, że również i Niemcy cofali się, uciekali, nacierali dopiero wtedy, kiedy mieli świadomość decydującej przewagi własnych sił. A przecież mimo to nie zawsze było im łatwo iść naprzód, nielatwo było przełamywać opór obrońców Polski.

Marian Krwawicz — „Śląska Reduta 1939", Książka i Wiedza, Warszawa 1979, str. 192, cena zł 25.

WOLTER ZAKOCHANY

Nancy Mitford (proszę nie mylić z Nancy Milford, autorką wydanej niedawno u nas książki o Zeldzie Fitzgeraldzie i jej sławnym mężu), angielska powieściopisarka zdobyła sobie rozgłos powieściami pełnymi ironii i finezyjnego dowcipu o życiu wyższych sfer towarzyskich. Interesuje się ona historią, napisała kilka romansów historycznych, opublikowała też biografie znanych postaci. W 1954 roku wyszła jej książka „Madame de Pompadour", w 1960 — „The Sun King", w 1970 — biografia Fryderyka Wielkiego. Obecnie „Czytelnik" udostępnił polskiemu czytelnikowi nową książkę Nancy Mitford „Wolter zakochany".

Autorka przestrzega, aby jej książki nie traktować jako biografii lub studium o literackich, czy filozoficznych osiągnięciach Woltera. Jest to jedynie opowieść o kilkanaście lat trwającym związku Woltera z markizą Emilią du Chatelet. Czytelnik, zawsze ciekaw pikantnych szczegółików z życia wielkich ludzi, będzie zapewne usatysfakcjonowany lektura książki Nancy Mitford. Nie na co dzień przecież trafia mu się znalezienie odpowiedzi na pytanie, jakim kochankiem był wielki filozof Wolter. Nancy Mitford odpowiada jednakże nie tylko na to pytanie.

„Wolter zakochany" to książka rzetelnie ukazująca środowisko francuskiej elity intelektualnej z epoki Oświecenia. Czytelnik znajdzie tu również barwnie odmalowane postacie bohaterów romansu, a także — co szczególnie powinno zainteresować polskiego czytelnika — portret króla Stanisława Leszczyńskiego i jego dworu w Lunéville.

Nancy Mitford — „Wolter zakochany", przełożyła K. Szever, Czytelnik, Warszawa 1979, str. 273, cena zł 38.

COŚ SIĘ STAŁO

Zanim jeszcze ukazała się w księgarniach nowa powieść Josepha Hellera „Coś się stało", to już powstała wokół niej specyficzna atmosferka. A powstała dzięki temu, że w zapowiedziach skrupulatnie odnotowano fakt: autorka przekładu, pani Cecylia Wojewoda dziękuje panu Januszowi Głowackiemu za „życzliwą pomoc w ustaleniu terminologii erotycznej". Nic więc dziwnego, że próżno szukać w księgarniach nowej powieści Hellera, bo nakład tej książki był niewielki, a chętnych sporo.

Przypomnijmy. W roku 1961 ukazała się, przetłumaczona później na język polski, powieść Hellera „Paragraf 22", historia grupy lotników amerykańskich we Włoszech podczas drugiej wojny światowej, tragiczna w swojej wymowie książka obnażająca okrucieństwo i bezsens biurokratycznej machiny militarnej. Po ukazaniu się „Paragrafu 22", jeden z krytyków napisał: „Jeżeli nawet pan Heller nie napisze już ani linijki, jego pozycja pozostanie ugruntowana". Heller milczał dość długo. Dopiero w 1974 roku ukazała się jego druga powieść „Coś się stało".

Tym razem pisarz sięga po problem natury ogólniejszej. Przedstawia wewnętrzne przeżycia bohatera, dojrzałego mężczyzny, dla którego dwie rzeczy są najważniejsze: jego pozycja w przedsiębiorstwie i jego męskość. Bohaterowi Hellera powodzi się nieźle, a jednak ponosi klęskę w życiu rodzinnym, czuje się samotny, sfrustrowany, obsesyjnie wraca w pamięci do swoich pierwszych przeżyć erotycznych. Człowiek zagubiony we współczesnej, brutalnej cywilizacji, to główny temat nowej powieści Hellera.

„Coś się stało" jest na pewno wartościową i interesującą książką. Jeśli się pamięta „Paragraf 22", to po jej lekturze zostaje jednak pewien niedosyt.

Joseph Heller — „Coś się stało", przełożyła C. Wojewoda, PIW, Warszawa 1979, str. 512, cena zł 90.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

O POWOŁANIU PISARZA

Sądzę, że pierwszą sprawą, nad którą warto się chwilę zatrzymać, jest problem, jaki to nieodparty impuls, konieczność wypowiedzenia w słowie pisanym swoich myśli każe pisarzowi brać pióro do ręki? Ilekroć o tym myślę, przypomina mi się rozmowa, jaką miałem z naszą wielką pisarką, Marią Dąbrowską. Autorkę **Nocy i dni** poznałem w Warszawie, a przypadek zdarzył, że spotkałem się z nią ponownie we wrześniu 1935 roku na pokładzie statku Kościuszko w Gdyni. Statek wyruszał w rejs wokół Morza Śródziemnego i w czasie trwającej dwa tygodnie wycieczki miałem okazję przeprowadzenia z Marią Dąbrowską paru dłuższych rozmów. W jednej z tych rozmów zadałem autorce **Ludzi stamtąd** pytanie, co sądzi o tak zwanym natchnieniu? Odpowiedź brzmiała: **Do pisania przystępuję tylko pod naporem wewnętrznej konieczności, to znaczy tylko wtedy, gdy temat, przeżycie, zaobserwowane fakty nurtują we mnie przez dłuższy czas i stają się tak dokuczliwe i natrętne, że nie widzę innego sposobu uwolnienia się od nich, jak tylko przez unieruchomienie ich w słowie pisanym.**

Wielka pisarka porównywała ten przymus wewnętrzny do myśli natrętnych, które często przechodziły w obsesję.

Wybitny poeta, Jan Lechoń, opisuje w swoich **Dziennikach** godziny, które nieraz spędzał bezpłodnie przy biurku nad wierszem. Nie będąc zadowolony z kolejnych redakcji, rzucał zapisane karty do kosza. Ale wreszcie, prawdopodobnie pod wpływem skupienia i napięcia umysłowego, przychodziła — jak wspomniał poeta — **chwila, gdy spod pióra zaczynały tryskać iskry.**

Sporną kwestią jest, czy lektura beletrystyki może wzbudzać inspirację pisarza, czy raczej grozi niebezpieczeństwem mimowolnego naśladownictwa.

Maria Dąbrowska opowiadała mi, że w czasie pracy nad własnymi utworami unikała lektur powieści w obawie przed najdrobniejszym, mimowolnym i chociażby cząstkowym zapożyczeniem jakiegoś szczegółu z frazy z cudzego utworu.

Ale znane są również krańcowo odmienne poglądy. Bowiem gdy własne myśli i wyobraźnia słabną (a nie ma przecież pisarza, który by nie doświadczał przejściowych trudności i zahamowań w swojej sztuce pisarskiej), obca proza może stać się nie tylko podnietą, ale również wzbudzić ambitny zamiar przewyższenia autora, którego książkę mamy właśnie w ręku. Co więcej, na marginesie cudzej prozy mogą się otworzyć przed czytającym pisarzem nowe oryginalne perspektywy rozwiązania zagadnień, z którymi się spotkał przy lekturze, a które mu się przedtem nie nasunęły na myśl.

Warto też poruszyć sprawę nieco kontrowersyjną, która powinna zainteresować tych kolegów, którzy, uprawiając praktykę adwokacką, chcieliby się w godzinach wolnych od pracy zawodowej zająć wypróbowaniem swoich sił na niwie literackiej. Powiedziałem — w godzinach wolnych, gdyż wiem, że niewiele jest zawodów, które by w takim stopniu pochłaniały czas i siły jak zawód adwokacki. Czas, siły i nerwy. Życie w ciągłym napięciu, w ostrej polemice z przeciwnikami, reprezentującymi interesy swoich klientów. W tym zawodzie brak czasu na refleksję o sprawach oderwanych od codziennych zabiegów w sądach, brak czasu na kontemplację, na samotność. A samotność jest właśnie w literaturze matką doskonałości. Adam Mickiewicz w pełni doceniał znaczenie kontemplacji, pisząc:

Samotności, do ciebie biegnę jak do wody
Z codziennych życia upałów
Z jaką rozkoszą padam w jasne, czyste chłody
Twych niezgłębionych kryształów

Zmarły niedawno wybitny prozaik, Jan Parandowski, pisze w pięknym studium **Alchemia słowa:**

Każdy szuka samotności zależnie od swoich warunków i upodobania. Balzak pisał w nocy, Walter Scott wstając o świcie i pracując do śniadania, gdy cały dom spał jeszcze. Kto nie jest pewny siebie, chwyta się środków niezwykłych jak Wiktor Hugo, który ostrzygł sobie pół głowy i pół brody, po czym wyrzucił nożyce za okno i w ten sposób uwięził się w domu na parę tygodni. Spokój i cisza to elementy najważniejsze dla pisarza. Schopenhauer napisał szkic o hałasach ulicznych, gdzie namiętne słowa zdradzają zadawnione a wciąż jątrzące rozdrażnienie. Marcel Proust był chory i wymagał szczególnych warunków pracy. Będąc bogatym mógł sobie na to pozwolić. Jego gabinet miał ściany wyłożone korkiem, a i w tym szczelnym zamknięciu nie mógł pracować w dzień, w obawie hałasów (...) Gdy zdarzyło mu się opuścić swoje apartamenty, wynajmował w hotelu kilka pokojów, aby nie mieć sąsiadów. Niewielu znalazłoby się pisarzy, którzy by z całą szczerością powiedzieli, że mu nie zazdroszczą.

Sądzę jednak, że człowiek doświadczony wewnętrzną koniecznością wypowiedzenia się, że więc adwokat, nawet z dużą praktyką, potrafi tak ułożyć swoje sprawy, że wygospodaruje sobie czas na pracę literacką.

Żeby nie być gołosłownym, pozwolę sobie powołać się na przykład wybitnej współczesnej pisarki francuskiej, Nathalie Sarraute, znanej w Polsce z dwóch przekładów na język polski jej powieści: **Portret nieznajomego i Słyszy pan te śmiechy** oraz eseju drukowanego w numerze 5 miesięcznika **Twórczość** z 1959 r. Natnalie Sarraute jest adwokatką paryską i ma w swoim dorobku literackim 8 powieści, 3 sztuki teatralne i wspomniany esej, który zapoczątkował nową erę w sztuce powieściowej, tzw. nouveau roman, czyli **nową powieść.** Jak pani Sarraute łączy bogatą twórczość powieściową i dramatopisarską z praktyką adwokacką, tego nie wiem. Wiem tylko, że Francuzi znani są ze swej benedyktyńskiej pracowitości. Wspomniany esej **Era podejrzliwości** traktuje o założeniach **nowej powieści,** pozbawionej fabuły, lekceważącej chronologię, zbliżonej do eseju i spowodował jak dotąd duże zmiany w sztuce powieściopisarskiej, nie tylko zresztą we Francji, lecz również u nas. Podobne dzieła, zbliżone formą do **nowej powieści,** wyszły w Polsce spod pióra Leopolda Buczkowskiego i Andrzeja Kuśniewicza, którego powieść **Król obojga Sycylii** została przełożona na język francuski i cieszy się we Francji dużym powodzeniem.

Maria Dąbrowska i Władysław Rymkiewicz — 1935

Spośród przedwojennych adwokatów warszawskich należałoby wymienić znakomitego znawcę prawa autorskiego, mec. Jana Lesmana (pseudonim Brzechwa), świetnego poetę i bajkopisarza, który w 1946 roku opuścił szeregi adwokatury wychodząc z założenia, że nie można pogodzić zawodu adwokackiego z pracą pisarską. Poszedłem za jego przykładem, był moim przyjacielem. Dalej, trzeba przypomnieć mec. Emila Breitera, znanego w swoim czasie jako krytyka i herolda powieści Kadena-Bandrowskiego oraz mec. Gustawa Beylina, publicystę, i Jana Dąbrowskiego, krytyka. Również wspomnieć należy o mec. Mieczysławie Jaroszu, którego książka **Na ścieżkach wspomnień** zawiera duże wartości literackie.

Wydaje mi się, że szczególnie dwie formy: felieton i pamiętnikarstwo, jak również dziennikarstwo, takie, jakie uprawiał niezapomniany mec. Leon Okręt, najłatwiej dadzą się pogodzić z pracochłonnym zawodem obrońcy.

Ale wróćmy na zakończenie do Parandowskiego, który we wspomnianej **Alchemii słowa** pisał: **Cech znamiennych pisarza jako artysty słowa trzeba szukać w wyobraźni, w polocie, w głębokim rozumieniu świata, w trosce o wybór środków, którymi najpełniej można osiągnąć zamierzony efekt estetyczny, uczuciowy, intelektualny — wreszcie, a może przede wszystkim, we własnym stylu.**

Przemówienie z I Ogólnopolskiego Zjazdu Adwokatów Pisarzy.

(„PALESTRA" nr 7/1979)

POEZJA NRD

Na trzydziestolecie Niemieckiej Republiki Demokratycznej wydawcy polscy przygotowali kilka wyborów poezji, dramatu i krótkiej prozy, grupujących najcelniejsze dokonania twórców zza Odry po roku 1949. Jedną z pierwszych pozycji tej serii jest **Antologia wierszy poetów Niemieckiej Republiki Demokratycznej,** opracowana przez Stefana H. Kaszyńskiego i Eugeniusza Wachowiaka. Wprawdzie w minionych latach ukazały się w Polsce antologie liryki NRD (**Dopowiedzenie świtu,** opr. S.H. Kaszyński i E. Wachowiak 1969, 1974 oraz **Przybliżenia,** opr. S.H. Kaszyński 1978), jednak **poezja narodu o twórczych ambicjach jest źródłem nie wysychającym. Wraz z upływem czasu zaistniała potrzeba ułożenia nowej antologii poetyckiej, antologii, która przy pełnym zachowaniu prawdy i perspektywy minionych lat nie będzie jednak powiarzała czytelnikowi polskiemu wierszy znanych mu z poprzednich wydań, bądź z licznie już u nas reprezentowanych tomów indywidualnych. Zamiast kolejnej szerokiej panoramy ogólnej postanowiliśmy** — piszą edytorzy antologii — **przybliżyć naszym miłośnikom liryki NRD sto znakomitych wierszy dziesięciu czołowych poetów zza Odry.** Przeglądając propozycje poznańskich wydawców można bez oporu zgodzić się z ich typami, gdyż tacy lirycy jak Bertolt Brecht, Johannes R. Becher, Erich Arendt, Georg Maurer, Stephan Hermlin, Johannes Bobrowski, Hanns Cibulka, Günter Kunert, Heinz Czechowski czy Volker Braun należą rzeczywiście do najwybitniejszych reprezentantów tego rodzaju literackiego w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Można by oczywiście dorzucić jeszcze dwa lub trzy nazwiska, lecz pamiętać należy, że każdy wybór tego typu jest równocześnie rezygnacją z innych możliwości. Wydaje się jednak, że antologia ułożona przez Kaszyńskiego i Wachowiaka jest w pełni reprezentatywna, gdyż obejmuje generacje twórców tak różnych, jak J.R. Becher ur. 1891 czy B. Brecht ur. 1898, aż po poetów młodszego pokolenia, jak H. Czechowski ur. 1935 lub V. Braun ur. 1939. Słusznie zauważa tutaj Stefan H. Kaszyński, że mimo różnicy wieku **nie ma między nimi podziału na mistrzów i uczniów, przeciwnie, ich indywidualności jakby się uzupełniały, tworząc w sumie kształt pełen bogactwa doświadczeń, światopoglądów i uczuć.** Lirycy uwzględnieni w wyborze hołdują różnym poetykom i koncepcjom artystycznym, reprezentują różne temperamenty twórcze i zróżnicowane doświadczenie życiowe. Wiersze antologii, powstałe na przestrzeni lat, różną spełniały rolę, jedne z nich były wyrazem **buntu przeciwko historii i współczesności,** inne aprobowały, współtworzyły rzeczywistość. Ich wspólną cechą jest jednak szlachetna dążność do budowy nowego, lepszego świata, niezależnie, czy poetyckie wezwanie skierowane było ku cieniom przeszłości, czy ważkim zagadnieniom dnia dzisiejszego. Naczelną dominantą jest w lirycznym świecie poetów Niemieckiej Republiki Demokratycznej odpowiedzialność wobec współczesności, szacunek dla humanistycznych wartości minionych epok i wrażliwość wobec politycznych, moralnych i społecznych konfliktów współczesnego świata. Z dojrzałością ideologiczną idzie w parze bogata estetyka i mistrzostwo formalne, wyrażające się bądź harmonią i prostotą wiersza, bądź symboliką i urozmaiconą materią językową. W Polsce dobrze jest znana poezja Johannesa Bobrowskiego czy Bertolta Brechta, przyjrzyjmy się więc nieco bliżej wierszom np. Ericha Arendta lub Georga Maurera.

Właśnie Erich Arendt jest typowym przedstawicielem tej grupy poetów, którzy w oparciu o dziedzictwo przeszłości, nie adaptowanej jednak biernie, lecz twórczo przeanalizowanej, potrafią w doskonałej formie, bogatej w symbole i znaki poetyckie podjąć ważkie treści polityczne. Z kolei Georg Maurer, poeta łączący tak różne tematy jak obrachunek z niedawną przeszłością czy konflikty ideologiczne i światopoglądowe z motywami czysto osobistymi, nierzadko intymnymi. Można w tych wierszach odnaleźć refleksję nad miłością i przyrodą, ale i pełne uroku obrazy zaczerpnięte z krain antyku.

Nie sposób sprowadzić do jednego mianownika bogactwa formy i treści szerokiej palety wierszy poetów Niemieckiej Republiki Demokratycznej, zawartej w antologii, gdyż utwory dziesięciu liryków to **i dziesięć różnych, głębokich i osobistych interpretacji tej samej rzeczywistości społecznej. Pokazanie jedności w wielości oto założenie prezentowanej tu antologii. Cel i czas owych dziesięciu poetów jest wspólny, różny jest jednak ich temperament, zakres doświadczeń i działań, różna wreszcie ich skala wrażliwości i estetycznych upodobań. Każdy z wymienionych ma swój krąg spraw, którymi żyje jego twórczość, ma również własną oryginalną poetykę, która umożliwia mu wypowiedzenie się w sposób najbardziej przekonywający.** Twórczy niepokój oraz dojrzałość artystyczna i światopoglądowa, to cechy, które można odnaleźć we wszystkich niemal wierszach, jak np. w interesującym utworze Ericha Arendta **pt. Niobe:** (cytuję fragment wiersza)

Kamieniem wszystko —
spojrzenie moje.
Obumarłe na wietrze oblicze
mego drzewa.
Rozpłakana
duma. Żałobą
wydrążone
oko miasta.
Skała, rozdwojona, przekleństwa
błaga
me usta.
(Tłum. Stefan H. Kaszyński)

Antologia wierszy poetów Niemieckiej Republiki Demokratycznej daje dobry wgląd w najcenniejsze utwory, jest równocześnie udaną wizytówką poezji tego kraju. Tom niniejszy, opatrzony wartościowym wstępem pióra Stefana H. Kaszyńskiego, zawierający udane tłumaczenia m.in. Bolesława Faca, Stefana H. Kaszyńskiego, Marii Krysztofiak, Roberta Stillera czy Eugeniusza Wachowiaka, stanowi pozycję, która dokumentuje wysokie walory poezji NRD i jest przykładem rzetelnej roboty edytorskiej. Te cechy pozwalają upatrywać w antologii Kaszyńskiego i Wachowiaka szczególnie cennego polskiego wkładu do obchodów jubileuszowych naszych przyjaciół zza Odry.

KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI

Antologia wierszy poetów Niemieckiej Republiki Demokratycznej, wybór Stefan H. Kaszyński i Eugeniusz Wachowiak, przedmowa S.H. Kaszyński, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1979, s. 182.

MIŁE SZELMOSTWA SYMPATYCZNEJ SWATKI

Umowa o stałej współpracy, jaką z Teatrem Muzycznej Komedii w Tbilisi podpisał w 1977 roku łódzki Teatr Muzyczny, owocuje pierwszymi realizacjami. W ramach wymiany realizatorów przedstawień łódzcy twórcy przygotowali na gruzińskiej scenie musical Mariana Lidy pt. „Najpiękniejsza" a artyści z dalekiej Gruzji nadali atrakcyjny kształt sceniczny wprowadzonej do repertuaru naszej sceny operze komicznej **Wiktora Dolidze** pt. **„Szelmostwa swatki".** Wybór pozycji repertuarowej nie mógł być trafniejszy. Dzieło gruzińskiego kompozytora będącego, jak informuje nas nota biograficzna zawarta w programie, klasykiem tego gatunku w swojej ojczyźnie, odznacza się dużą urodą. Jej elementami są: melodyjna, łatwa ale szlachetna muzyka (tym dla nas ciekawsza, że zawierająca egzotyczne motywy i brzmienia), wartka akcja której podstawę stanowi klarowny, zawsze dobrze sprawdzający się na scenie schemat fabularny i wreszcie naprawdę dobry dowcip.

Wiktor Dolidze skomponował swoje dzieło przeszło 60 lat temu i miłe zdumiewa fakt, iż zachowało ono wdzięk młodości i oparło się niszczącemu działaniu czasu i kolejnych mód, które sprawia, że wiele utworów tego gatunku po upływie mniejszej ilości lat „trąci myszką" i przestaje bawić. Ta świeżość „Szelmostw swatki" (oryginalny tytuł utworu brzmi „Keto i Kote") jest najlepszą miarą ich wartości i cieszyć się wypada, że trafiły one na naszą scenę. Mamy bowiem w Łodzi, dzięki wymianie między zaprzyjaźnionymi teatrami przedstawienie, które będzie leciutko wzruszać i dobrze bawić urzekając przy tym oryginalnością i egzotyką niezbyt przecież znanego, a tak lubianego folkloru Gruzji.

„Szelmostwa swatki" to oczywiście rzecz o miłości, pokonywaniu przeszkód, stojących na drodze zakochanych, a wreszcie o niewieścim sprycie, który w walce z tymi przeszkodami okazuje się bronią najlepszą i najskuteczniejszą. Znane motywy fabularne cechują się tutaj bezpretensjonalnością ich dramaturgicznego opracowania. Z równą lekkością zaprezentowali je na scenie twórcy spektaklu, słusznie nagrodzeni długą owacją na zakończenie premierowego wieczoru.

Uroda utworu Wiktora Dolidze idzie w parze z urodą przedstawienia i śmiało stwierdzić można, że jego realizatorzy nie tylko nie zmarnowali ani jednej szansy danej im przez kompozytora i autora libretta w jednej osobie, ale ciekawymi rozwiązaniami reżyserskimi i scenograficznymi przydali dodatkowych barw „Szelmostwom swatki", czyniąc z nich na łódzkiej scenie widowisko prawdziwie miłe dla oczu i uszu spragnionego dobrej rozrywki widza.

Guram Meliwa, znany łodzianom z inscenizacji przygotowywanych wcześniej w Teatrze Wielkim, wyreżyserował tę operę komiczną z niezwykłą starannością i troską o czystość spektaklu i klarowność składających się nań sytuacji scenicznych, wprawną ręką prowadząc przy tym solistów w takim kierunku, by, zachowując indywidualne cechy kreowanych przez siebie postaci, tworzyli barwny świat gruzińskich książąt i księżniczek, kupców i subiektów i tak istotną odgrywających rolę pośredniczek matrymonialnych. **Awtandil Mamacaszwili,** wydobył z orkiestry czyste brzmienia i egzotyczne rytmy gruzińskiej muzyki, a **Uszangi Imerliszwili** nasycił scenę wszystkimi kolorami tęczy, pokrywając je złotym pyłem, który tak specyficzną barwę, klimat i nastrój nadaje dziełom sztuki gruzińskiej. Twórcą ciekawych pełnych rozognia, raz niezwykłej delikatności układów choreograficznych w tym przedstawieniu jest **Jurij Zariecki.** Nakreślona przez nich wizja spektaklu — powiedzmy to od razu — nie jest łatwa do zrealizowania. Zespół łódzkiego Teatru Muzycznego w zasadzie stanął na wysokości zadania, wypełniając ramy stworzone przez inscenizatorów żywą i w wielu przypadkach interesującą treścią.

Podobać się zatem mogli **Edward Kamiński i Terasa Mulawa** (nienaganni wokalnie — Teresa Mulawa zaprezentowała znakomitą koloraturę — sprawni aktorsko i realizujący swoje zadania z dużą lekkością i swobodą, a przy tym, jak mi się wydawało, bawiący się wespół z publicznością), a przede wszystkim **Hanna Matyskiewicz,** która nie obawiając się ostrzejszych środków wyrazu aktorskiego, stworzyła ciekawą, charakterystyczną postać tytułowej swatki. Kreujący postać księcia Lewana **Zbigniew Waloch,** z wyczuciem i umiarem wykorzystujący swe znakomite w tej roli warunki zewnętrzne, nieco mniej ciekawie zaprezentował się tym razem od strony wokalnej. Bardzo zwykle zabawny **Janusz Duński** wszedł w roli subiekta Sako w niebezpieczne rejony tych rozwiązań aktorskich, które określa się mianem przeszarżowania. Tą samą oceną określić mi wypada sposób istnienia na scenie **Jana Padkowskiego** w roli kupca Makara. Chórowi i baletowi chciałabym dziś poświęcić osobne słowa, stwierdzając, iż starania obydwu zespołów, godne przecież pochwały, na niewiele się tu zdadzą wobec ich niewielkiej liczebności. Wspaniała pieśń biesiadna nie zabrzmiała z mocą, z jaką „słyszał" ją kompozytor, a tańczonej przez pięciu zaledwie tancerzy lezgince po prostu zabrakło niezbędnego ognia.

Reżyserska koncepcja spektaklu stawia przed wykonawcami jeden podstawowy warunek. Przedstawienie to wymaga niezmiennie dobrej formy i nic nie może osłabić jego wartkiego rytmu. Ciekawe, w jakim zmierza ono kierunku (opera komiczna jest dla zespołu tego teatru czymś nowym i trudnym), obejrzałam je także po trzech tygodniach od premiery i... polecam Państwu ten spektakl. Jest po prostu dobry i daje uzasadnioną nadzieję, że ciekawie zapoczątkowana współpraca między Teatrem Muzycznej Komedii w Tbilisi i Teatrem Muzycznym w Łodzi przynosić będzie coraz ciekawsze rezultaty.

EWA PANKIEWICZ

Wiktor Dolidze „Szelmostwa swatki": Teresa Mulawa (Keto) i Edward Kamiński (Kote)

Foto: Ch. Zieliński

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

PREHISTORIA ŁODZI AKADEMICKIEJ

Wiele się mówi i pisze o Łodzi akademickiej, zwłaszcza każdej jesieni, gdy tysiące studentów rozpoczyna zajęcia w setkach sal wykładowych i laboratoriów. Myślę, że warto w roku 35-lecia PRL przypomnieć także prehistorię Łodzi akademickiej, bo są to dzieje ciekawe i — jak sądzę — szerzej nie znane.

Otóż, na początku drugiej połowy XIX wieku zrodziła się koncepcja przeniesienia do Łodzi Instytutu Politechnicznego istniejącego w Puławach. Łódź była wówczas bardzo małym miastem, liczyła bowiem około 40 tysięcy mieszkańców, ale miała tę zaletę, że leżała w centrum przemysłowym kraju.

Wiadomo, że łódzcy przemysłowcy czynili wówczas starania o uczelnię techniczną. Być może — koncepcja władz zbiegła się z tymi staraniami, a może i była wynikiem tych starań... 10 grudnia 1864 roku powstało w Łodzi coś w rodzaju Komitetu Obywatelskiego. Ponad 300 miejscowych obywateli zadeklarowało udzielenie pożyczki na ten cel w wysokości 75 tysięcy rubli. Postanowiono też oddać bezpłatnie plac pod budowę gmachu Instytutu, przy rogu ulic Dzikiej i Przejazd, czyli Sienkiewicza i Tuwima.

Instytut — tymczasowo wynajęto dla niego kamienicę przy Piotrkowskiej — miał być otwarty 1 października 1865 r. Przewidziano trzy wydziały: inżynierii cywilnej, mechaniczno-technologicznej oraz górniczy. Gdyby rzecz doszła do skutku, mielibyśmy dziś, być może, w Łodzi Akademię Górniczo-Hutniczą.

Całe lato trwały przygotowania. Jesienią do kamienicy przy Piotrkowskiej przywieziono z Puław meble i urządzenia. Niestety, władze carskie dość niespodziewanie zastopowały całe przedsięwzięcie. Może kierowała nimi obawa, że lokowanie w środowisku robotniczym kuźni kadr inteligencji spowoduje wzrost świadomości społecznej i narodowej proletariatu, może zaważyły inne względy?

W tym czasie zresztą powstała Politechnika w Rydze i Instytut Technologiczny w Petersburgu, a zatem sprawa uczelni w Łodzi ostatecznie upadła.

Ale nie był to koniec marzeń o Łodzi akademickiej. W roku 1869 powstaje Łódzka Wyższa Szkoła Przemysłowa. Wbrew swojej nazwie szkoła ta kształciła tylko majstrów i techników — a więc zamiast uczelni miasto otrzymało jej namiastkę. A jednak warto tę szkołę wspomnieć, bo liczyła się ona dużym poparciem łódzkiego społeczeństwa. Nie bez powodu, była to bowiem szkoła dostępna dla średniozamożnych mieszkańców Łodzi. Opłaty były niewysokie, a jedna czwarta uczniów korzystała z całkowitego zwolnienia z „czesnego".

Potem przyszły lata dwudzieste naszego wieku. Wysiłki na rzecz powołania w Łodzi wyższej uczelni trwały nadal. Już w trzy lata po odzyskaniu niepodległości ze środowisk robotniczych wyszedł wniosek o utworzenie szkoły wyższej, zgłoszono go formalnie w Sejmie 15 marca 1921 roku. Niestety — przeszedł bez echa.

Trzy lata później powstaje jednak w Łodzi oddział Wyższej Szkoły Nauk Politycznych i Społecznych. I znów niestety była to efemeryda. Uczelnia przeżyła tylko cztery lata i uległa następnie likwidacji.

Wreszcie 1 października 1928 roku powołano w Łodzi oddział Warszawskiej Wolnej Wszechnicy Polskiej. Ta zasłużona dla nauki i kultury polskiej instytucja uzyskała rok później prawa akademickie. Można zatem powiedzieć, że była to pierwsza prawdziwa wyższa uczelnia Łodzi. W ostatnim, przed wojną, roku akademickim kształciło się w niej około tysiąca studentów, była to więc uczelnia niewielka, ale do jej pięknych tradycji nawiązano już po wyzwoleniu.

Mało kto zapewne wie, że pierwsza nazwa Uniwersytetu Łódzkiego brzmiała: „Wolna Wszechnica Polska — Uniwersytet Państwowy w Łodzi". Nowa era Łodzi akademickiej rozpoczęła się w roku 1945. Już w cztery miesiące po wyzwoleniu miasta prezydent KRN, Bolesław Bierut, podpisuje 24 maja 1945 roku dekrety o utworzeniu Uniwersytetu i Politechniki w Łodzi.

Dziesiątego grudnia minie 115 lat od pierwszej obywatelskiej inicjatywy powołania w tym mieście szkoły wyższej. Rocznica ta przejdzie zapewne bez echa, zapatrzeni w osiągnięcia i sukcesy współczesnej Łodzi akademickiej, nie pamiętamy o wysiłkach sprzed wieku... Ale przecież w tych sukcesach i osiągnięciach współczesności jest jakaś cząstka tamtych XIX-wiecznych marzeń i inicjatyw. Wspomnijmy je zatem z szacunkiem.

WIDOK

Z GALERKI

JAN GIERAŃCZYK

Patrzcie sztuki księgarskiej młodzi mazgaje,
Może to już ostatni co tak książki sprzedaje.

Rys: Stanisław Ibis Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PROPOZYCJE

DZIURA

Tak się jakoś dziwnie złożyło, że ostatnio tematem rozmów są dziury. Rozmawialiśmy o sprawie niby ważnej, bo o centralizacji. Pytanie było — jak to się mówi — z gatunków systemowych. Gdzie jest granica koncentracji? Ze względu na konieczność likwidacji przerostów administracyjnych niezbędne jest łączenie przedsiębiorstw. Dzięki takiemu łączeniu mniej ludzi „zarządza" i „administruje", a więcej zajmuje się produkcją. Niby racja, ale stąd też i cudzysłów przy słowach: zarządzanie i administrowanie, że czasem to samo można osiągnąć likwidując czynności biurokratyczne, nikomu niepotrzebne, bezcelowe, a wynikające tylko z tego, że skoro są ludzie, mają etaty, biorą pensje, to muszą coś robić. Jako przykład pojawiła się dziura.

— Wyobraźmy sobie — powiedział jeden z moich rozmówców — że na Bałutach, Górnej czy Polesiu powstała dziura. Gdyby służby, które zostały powołane do reperacji takiej dziury były w gestii dzielnicy, to sprawę można byłoby załatać w kilka godzin. Ale tak trzeba sygnalizować centrali, a tam mają do załatania pięć dziur i muszą rozważyć problem hierarchii, która dziura jest ważniejsza i którą szybciej trzeba załatać.

Ten przykład rodzi inne pytanie. Czy funkcjonowanie przedsiębiorstwa należy mierzyć ilością etatów, czy też jego sprawnością? Logika podpowiada, że miernikiem powinna być sprawność działania tego czy innego przedsiębiorstwa, że również miarą koncentracji możliwości produkcyjnych powinna być sprawność w ich wykorzystywaniu.

Kilka dni temu wiele osób skarżyło się, że nagle w ich mieszkaniach zrobiło się zimno, że nie mają ciepłej wody. Przez wiele tygodni w parku im. Wł. Hibnera była również dziura, która — tak się wszystkim wydawało — „zapomniano" zasypać. Okazało się, że nie zapomniano, a tylko awarie oderwały „ciepłowników" od dziury w parku im. Wł. Hibnera i skierowały w inne, ważniejsze miejsca. W końcu znalazł się czas, na południu Polski zima już wyrządziła pierwsze poważne szkody, i wzięto się do reperacji ciepłociągu w dziurze w parku im. Wł. Hibnera. 300 budynków na Górnej przeszło dobę nie miało ciepła i ciepłej wody.

Pisaliśmy niedawno w „Odgłosach" o stanie sieci cieplnej w Łodzi i — jak z tego wynika — trzeba być przygotowanym na to, że awarie mogą zdarzać się w najmniej oczekiwanych momentach. Nie jest to pocieszające, ale jest prawdziwe. Ta świadomość powinna przede wszystkim zmusić Zakład Sieci Cieplnej do szukania takich metod działania, aby ludzie jak najmniej ucierpieli w czasie usuwania awarii. Po prostu awarie muszą być usuwane szybko.

W ostatniej „Kulturze" ukazał się reportaż Andrzeja W. Wróblewskiego pt. „Dziura". Reportaż ten można byłoby nazwać historią jednej dziury i wielu instytucji powołanych do jej usunięcia. 6 września 1979 roku w „Trybunie Ludu" ukazała się informacja, z której wynika, że na ul. Annopol w Warszawie na skutek awarii kanału sanitarnego zapadła się ziemia pod torowiskiem i w związku z tym od 4 września 1979 roku aż do odwołania od ulicy Toruńskiej do Żerania Wschodniego wstrzymana zostaje komunikacja tramwajowa. Reporter zajął się tą jedną dziurą i przedsiębiorstwami, które zostały do tego zaangażowane, aby usunąć dziurę. Reportaż zaczyna się 6 września 1979 roku, a jego akcja kończy się 2 listopada 1979 roku. Do tego dnia dziura spokojnie sobie zieje w jezdni na ul. Annopol. Sprawą zajmowały się różne przedsiębiorstwa, prezydent miasta stołecznego Warszawy, zjednoczenie, a także jeden z wiceministrów budownictwa. Przez cały czas, kiedy uzgadniano między sobą, kto naprawi uszkodzoną kanalizację, dziura sobie spokojnie istniała i wydawała się szydzić z biurokratycznej niemocy.

Można całą sprawę uznać za — jak to się ładnie mówi — incydentalną, można spokojnie powiedzieć, że rzecz się wydarzyła w Warszawie i niech oni się tam martwią. I niby wszystko jest w porządku. A przecież nie po to Andrzej W. Wróblewski opisał całą historię dziury, aby zadziwić Czytelników bezradnością kilku warszawskich instytucji, ale po to również, aby inni się zastanowili, czy swoim postępowaniem nie przyczyniają się do utrzymywania innej, tym razem już symbolicznej dziury.

Ludzie sobie poczytają taki reportaż i powiedzą: — ale im dołożyli! Zainteresowani zaczną gęsto się tłumaczyć, wykazując, że są w porządku wobec przepisów, że takie mają kompetencje, zakres działania i wina jest nie tylko po ich stronie. Powołają się na trudności obiektywne. A czy tak nie postępuje się w innych przypadkach?

Krytyka konkretna ma to do siebie, że wskazuje winnego niedopatrzenia. Krytyka uogólniająca wskazuje nieprawidłowości można powiedzieć typowe. W pierwszym przypadku obruszają się, obrażają i tłumaczą, albo nie — winni. Pozostali cieszą się: — ale im dołożyli! W drugim przypadku pozostaje tylko radość: — ale im dołożyli! W tym miejscu warto byłoby sparafrazować pytanie Gogolowskiego Rewizora: z czego się cieszycie? Śmiejemy się przecież i cieszymy z własnych wad, których nie umiemy dostrzec u siebie, a widzimy u innych.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

PRZYSTANKI

Nie ma już chyba takiej miejscowości w kraju, która nie byłaby włączona w gęstą sieć połączeń pekaesowych. Nie ma też takiej drogi bitej, na której co parę kilometrów nie miałoby się autobusowego przystanku.

Przystanki są bardzo różne. Czasem jest to na okrągło wycięty kawałek blachy z literami PKS przybity do drzewa, do ściany jakiejś szopy, do płotu albo do specjalnie postawionego słupka. Czasem stoi przy drodze wiata, czyli daszek na dwóch słupkach nie chroniący przed niczym, a coraz częściej widzimy prawdziwą małą poczekalnię dla dwóch — pięciu osób.

Przystanki autobusowe są wznoszone prawie zawsze w czynie społecznym miejscowej ludności i świadczą o zdolnościach organizacyjnych miejscowych działaczy. O stronie finansowej nie ma co mówić, koszty są minimalne, tyle że ktoś musi się tym zająć i uparcie doprowadzić sprawę do końca. Ponieważ każda gromada sama buduje swoje przystanki — ich rozmaitość jest ogromna i to wcale nie jest źle. Małe budki i domki przydrożne są jeszcze jednym elementem krajobrazu, zdobią go lub szpecą, a byłoby bardzo dobrze, żeby zawsze zdobiły.

Najgorzej, gdy pomysłu nie ma żadnego, jest tylko zrozumienie potrzeby postawienia czegoś takiego, co by pozwoliło czekać godzinę lub dłużej na spóźniony autobus nie marznąc i nie moknąc, żeby nie trzeba było stać na wichrze i zadymce, żeby zmęczony pasażer przysiadł na kwadrans i zwinął parasol. Stawia się więc trzy ściany byle jakie i z byle czego — z drzewa, cegły, kamieni, płyt falistych — przyczepia się do tego gospodarskim sposobem daszek, wstawia ławkę — i już ma się podręczny szalet dla niechlujów. Ale są i pomysły. Są domki jak z rysunkowego filmu, ze stromym daszkiem wyciętym w ząbki, z płotkiem malowanym na lilaróż, z okienkiem, zawsze niestety wybitym przez młodych gniewnych. Są bunkry z betonu i stali, są prefabrykowane płyty zawieszone na szynach żelaznych, których odporność na zginanie wypróbowują miejscowe osiłki z chwalebnym dla siebie wynikiem. Widuje się też solidne budyneczki z nie ciosanych głazów, zamykane drzwi których nigdy nie ma na wiszących smętnie zawiasach. Może byłoby pięknie, gdyby nawet takie użytkowe drobiazgi, jak przystanki autobusowe, projektowali plastycy, chociaż ich gusty też nie zawsze spotykają się z powszechną aprobatą. Byłeby tylko nie wymyślił ktoś tak zwanego „projektu typowego" i nie narzucił go odpowiednim aktem administracyjnym całej Polsce. Byłoby pięknie, gdyby każdy przystanek stanowił rzeczywiście miejsce krótkiego, ale godziwego, kulturalnego, zabezpieczonego od wichru, mrozu i deszczu pobytu dla kilku osób.

Przecież to tu umawiają się na randki zakochani z sąsiednich wiosek. Tu wychodzi się na spotkanie kogoś przyjeżdżającego z daleka, tu odprowadza się gości, stąd odjeżdża się co dzień do pracy i do szkoły. Przystanek jest miejscem, z którego każdy mieszkaniec wioski musi korzystać tysiące razy. Dlaczego to miejsce jest prawie zawsze tak skandalicznie brudne, oszańcowane wałem śmieci, zaplute, zdewastowane cuchnące? Dlaczego rozkład jazdy jest zawsze zniszczony pogięty, podarty na strzępy, nieczytelny? Komu na tym zależy — żeby był śmietnik i wychodek w miejscu, które bez żadnego wysiłku mogło pozostać w stanie przynajmniej czystym i użytecznym?

Ja wiem — bardzo ciężka jest walka z łobuzami i świntuchami, którym w ustronnych miejscach patrzeć na ręce nie można. Dużo musi się stać, zanim świntuch także na osobności zacznie się zachowywać jak uspołeczniony człowiek. Ale na razie — może jednak włączyć w zakres czyichś obowiązków opiekę nad przystankami PKS — może to będzie dróżnik (jeśli istnieje jeszcze taka instytucja), może funkcjonariusz PKS, może ktoś z najbliższego zakładu przemysłowego lub PGR? Nie można przecież bezsilnie, bezradnie przyglądać się rozpanoszonemu wandalizmowi. Może doczekamy czasów, kiedy na przystanku w najdalszych Dołkach Górnych poczekamy sobie z przyjemnością kwadrans na PKS, który — może i tego doczekamy — wcale się nie spóźni i zatrzyma się tu, gdzie powinien...

ĆWIEK

SPORT

TE OKROPNE FAKTY

Po co polscy piłkarze pojechali do Miskolca? Pojechali oni tam, „aby ratować prestiż polskiego piłkarstwa". Selekcjonerzy PZPN poszli na całego. I co? I nic. Nie udało się nie tylko uratować „prestiżu polskiego piłkarstwa" ale nawet nie udało się przegrać w ładnym stylu. Tak więc polska reprezentacja olimpijska znalazła się na trzecim miejscu w swojej grupie, czyli na ostatnim, mając 6 punktów straconych, tylko 2 zdobyte, jedną bramkę strzeloną i 4 stracone. Do tego należy dodać d w i e czerwone kartki. I co tu mówić o prestiżu.

Na boisku w Miskolcu nagannie zachowywali się nie tylko piłkarze, ale również pewien pan w ortalionowej kurtce, który wbiegł na boisko i wykrzykiwał coś w stronę sędziego. Demonstrował ten pan znaną już powszechnie postawę: jak się nie ma argumentów, to się krzyczy.

Edmund Zientara — trener olimpijskiej reprezentacji — powiedział przed odlotem do Miskolca:

„Co tu dużo mówić, jak się w zawodników wciąż wmawia, że nie potrafią kopać piłki, ocenia według najgorszych, wymawia bogactwa, jak to może ich mobilizować?".

No właśnie, jak? Nasze biedne piłkarskie dziewice są niebywale wrażliwe. Byle krytyka, a już w piłkę nie potrafi trafić taki jeden z drugim. Na przykład stale dobrze zapowiadający się Marek Kusto znakomicie strzela do pustej bramki i to już po gwizdku sędziego, który odgwizdał spalony. Popis celności nadzwyczajny, ale postawa raczej nie do naśladowania przez piłkarską młodzież.

Przykro mi, ale jakoś fakty nie pasują do pięknych teorii lansowanych ostatnio przez obrońców honoru polskiej piłki nożnej. Jeden z obrońców, stały felietonista „Piłki Nożnej", Krzysztof Mętrak dowodzi na przykład, że „my tutaj, na łamach „Piłki Nożnej", od lat i na co dzień sygnalizujemy złe przejawy, zebrałby się z tego niezły materiał do rzetelnej analizy, gdyby ktoś zechciał go analizować", ale jakoś nikt nie chce. Inni natomiast tylko napadają, łają, moralizują. Wara im od tego.

W tym samym numerze „Piłki Nożnej" Mieczysław Szymkowiak, w sprawozdaniu z narady trenerów, stwierdza autorytatywnie, że trenerzy „bardzo krytycznie ocenili stronę fachową i wręcz tendencyjność komentarzy TV", nie podając żadnych argumentów. Skądinąd wiem już, że mecz jedynie trafnie może ocenić tylko trener. Wszystkim innym wara od tego, nawet gdyby Grzegorz Lato zamiast w piłkę trafiał w ziemię, to tylko trener wie, czy spełnił on swoje zadanie czy nie. Komentator oczywiście na tym się nie zna i opowiada bzdury, które tylko denerwują piłkarzy.

Nie dziwi więc mnie wcale, że Jerzy Lechowski — we wcześniejszym numerze „Piłki Nożnej" — napisał:

„Zdziwiła nas tylko próba oddzielenia przez Jana Mulaka piłkarstwa od całości polskiego sportu i przypisywania futbolowi właściwości „świętej krowy". Zresztą słyszeliśmy o tym nie po raz pierwszy. Ale w Sejmie, z ust doradcy przewodniczącego GKKFiS nabiera to szczególnej wymowy. Tylko komu jest to potrzebne i komu ma służyć?"

Jerzy Lechowski tego nie wie i oburzony jest, że piłkarskie brudy pierze się poza własnym gronem, jakby cała Polska nie wiedziała „w co jest grane". Stąd też Jan Mulak nie jest teraz mile widziany przez „Piłkę Nożną". Kiedy w „Sztandarze Młodych" napisał o demoralizacji młodzieży piłkarskiej i śmiał mieć własne zdanie na temat sposobów przeciwdziałania temu, zaraz mu J. L. — P. S. wypomnieli, że oni już dawno o tym pisali i że to oni przede wszystkim mają rację.

Fakty są oczywiście okropne, wstrętne i bezczelne. Lezą pod oczy, natrętnie pchają się na wierzch, przypominają, a nasze biedne piłkarskie dziewice wolałyby, aby o tym zapomniano. Wtedy można spokojnie tworzyć piękne teorie, że wszystko jest właściwie w porządku, że oni grają świetnie, tylko sędzia jest niesprawiedliwy, przeciwnik bezczelnie silny, wiatr wieje w oczy, deszcz pada zawsze po naszej stronie boiska i tak dalej. Ale niestety, mecze na ogół gra się przy widowni, pokazuje w telewizji i oceniają je nie tylko trenerzy, ale i kibice. A gdybym miała coś zarzucić komentatorom telewizyjnym, to tylko to, że często zbytnio łagodzą swoimi wypowiedziami to, co wszyscy widzą na ekranie. — Pięknie strzelił — powiada sprawozdawca — tylko nie trafił.

Otóż to!

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa Książka-Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11, kod poczt. 90-438. Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680 99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762, 2657, A-2.

Załącznik nr. 52/.../79

HASŁO NUMERU: Kto pyta nie błądzi. Najwyżej nie usłyszy odpowiedzi.

Wiadomości optymistyczne

— **Z LONDYNU** donoszą, że Wojciech Fibak „awansował do drugiej rundy londyńskiego turnieju tenisowego".

— **Z MANCHESTERU** natomiast donoszą, że Kazimierz Deyna jest w dobrej formie. Natomiast jego drużyna — Manchester City — jest w nieco gorszej formie i zajmuje 14 miejsce w angielskiej lidze. Ale to już nie nasze zmartwienie.

— **Z ŻYWCA** nadeszła inna optymistyczna wiadomość. Tamtejsze zakłady futrzarskie uszyły już czapki futrzane i futrzane rękawiczki jednopalcowe dla naszych zimowych olimpijczyków, którzy pojadą do Lake Placid. Producenci „czapek olimpijskich" w Żywcu oczekują, że stana się one modne wśród krajowych amatorów sportów zimowych. Nas wszakże zajmuje zupełnie coś innego: czy poza atrakcyjnymi czapkami i jednopalcowymi rękawiczkami nasi zimowi reprezentanci powiozą coś

ZE SPORTU

więcej do Lake Placid? Zapewne zakłady przemysłu odzieżowego staną do chlubnej rywalizacji, aby ładnie ubrać naszych reprezentantów. Ale oprócz ubrania potrzeba będzie im w Lake Placid coś jeszcze. Otóż to!

Coś się nie zgadza

„Przegląd Sportowy" opublikował listę 20 kandydatów do miana najlepszego sportowca polskiego 1979 roku. Wśród 20 reprezentantów różnych sportowych dyscyplin nie ma ani jednego piłkarza. Coś to znaczy. Tylko nie wiemy, co?

W opinii działaczy i trenerów, piłkarze spisywali się dobrze, tylko dziennikarze zbytnio się ich czepiali, denerwowali, frustrowali, co piłkarzom, zawsze dobrze przygotowanym i w znakomitej kondycji, szalenie przeszkadzało grać. Czyżby kibice typujący 20 najlepszych sportowców byli innego zdania? Aż wierzyć się nie chce. A jednak!

K. I. Bic.

„Sztandar Młodych" poinformował swoich Czytelników, że radio się zestarzało, a słuchacze zrobili się kapryśni. „Lato z radiem" już nie takie, jak

CO SIĘ STAŁO Z RADIEM?

było kiedyś, „60 minut na godzinę" nudzi i zajmuje się tematami ze szkolnej gazetki. „Wesoły Autobus" „Program z dywanikiem" i „Podwieczorek przy mikrofonie" — to antenowe truposzki. A poza tym dno. Nie ma się z czego cieszyć?

A tak ogólnie to jest się z czego cieszyć?

S. Ł. Uchacz

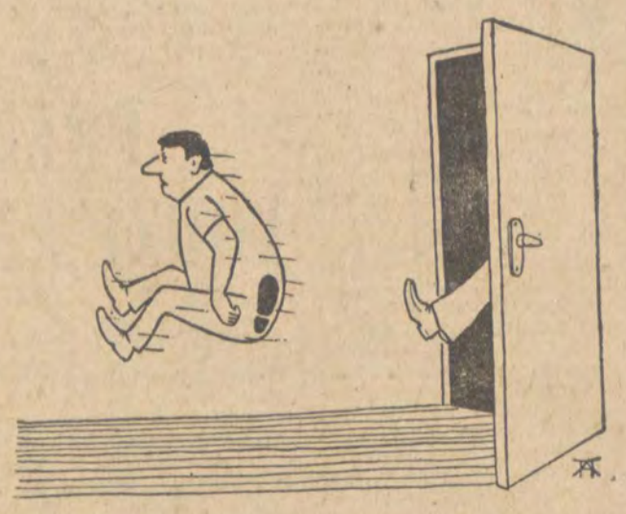

MIĘŚNIOLOT

Rys. Andrzej Adamowicz

Nowość nad nowościami

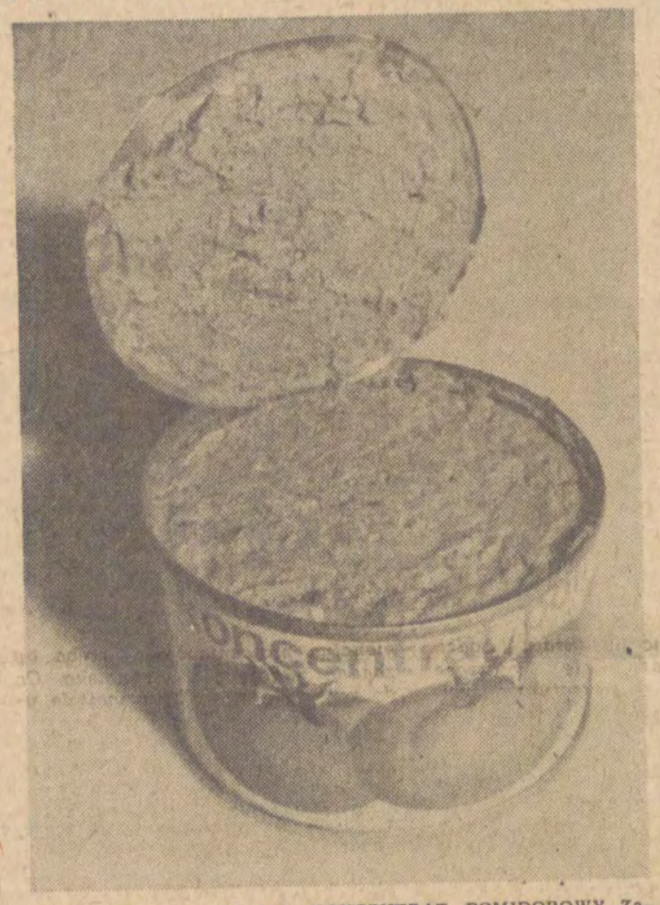

Nasza Czytelniczka kupiła KONCENTRAT POMIDOROWY Zakładów Przemysłu Owocowo-Warzywnego ŁOWICZ w Łowiczu, ul. Wodociągowa 5. Kupiła 15 puszek. Po otwarciu okazało się, że zawierała... pasztet.

I bardzo dobrze! Po co kupowała 15 puszek. Niechby i inni mieli możność zapoznania się z NOWOŚCIĄ „ŁOWICZA".

Foto: R. Łucyszyn

Straszne rzeczy działy się, kiedy 46 numer „ODGŁOSÓW" dotarł do kiosków. W „Załączniku" bowiem ukazała się informacja pod znamiennym tytułem: **„KREWKA STARUSZKA".** W informacji tej znalazło się następujące zdanie: **„Jej bohaterką jest 50-letnia staruszka...".**

— Czy u was informacje do „Załącznika" pisują przedszkolacy? — pytał miły damski głos rozlegający się w telefonicznej słuchawce. — Od kiedy to 50-letnie kobiety są już staruszkami.

Liczenie wieku kobiet w ogóle jest bezczelnością. Obraziły się

BIJĘ SIĘ W PIERSI!!!

więc na mnie wszystkie panie w redakcji, nawet te, którym daleko jeszcze do 50 lat.

— Czy ten Zyg. ma już kompletną sklerozę? — pytała kolejna rozmówczyni.

— Jaka staruszka?!! — oburzała się inna rozmówczyni — dziś jeszcze kobiety 60-letnie są w pełni sił. I daleko im do starości.

Doczekałem się bogatej litanii epitetów. A więc zostałem nazwany idiotą, sklerotykiem, gówniarzem, patałachem, posądzono mnie o to, że mam wodogłowie, że zapomniałem już, co to jest myślenie. Reszty wolę już nie pamiętać.

DROGIE PANIE! Biję się w piersi. Przepraszam. Więcej nie będę. Przyrzekam. Wybaczcie. Bardzo proszę.

Staruszek Zyg.

CIĘŻKI LOS PRYMUSA

Los prymusa nie jest lekki. Wiele się musi natrudzić, aby zdobyć prawo wstępu na studia bez egzaminu. A i potem nie jest mu łatwo, bo — mimo wszystko — szkoła wyższa, to nie liceum i trzeba uczyć się inaczej. Praktyka wykazuje, że prymusi nie wyróżniają się na wyższej uczelni, raczej uczą się średnio i łatwo im to też nie idzie. Ale szkoły średnie nieustannie produkują prymusów. Coś z nimi trzeba robić. Obiecało się im wolny wstęp na studia wyższe, to słowa trzeba dotrzymać. Ale i system rekrutacji na studia trzeba zreformować, bo ten coraz mniej przystaje do rzeczywistości. Co więc zrobić z prymusami?

Ktoś z reformatorów wpadł na pomysł pierwszego gatunku. Wprost geniusz. Otóż, ów doskonały umysł doszedł do wniosku, że prymusi muszą i tak zdawać egzaminy wstępne, ale niezależnie od tego, czy zdadzą na bardzo dobrze, na dobrze czy na dostatecznie, to i tak będą przyjęci na studia. Po cóż więc egzamin? Czyżby światły reformator sądził, że prymus może przypadkiem nie zdać egzaminu i będzie po kłopocie z prymusami. Może się i tak zdarzyć, ale to sprawy nie rozwiązuje.

Jakby jednak na to patrzeć, los prymusa nie jest do pozazdroszczenia. A mimo to prymusów nie brakuje.

N. N.

Ktoś napisał w „Życiu Warszawy" że łódzkim studentom **„jakoby skrzydła opadły"**. Dociekliwy ze wszech miar Zdzisław Szczepaniak wyruszył w Łódź, aby dowiedzieć się dlaczego tym studentom **„jakoby skrzydła opadły"**, tego nadal nie wiadomo. I Zdzisław Szczepaniak proponuje dyskusję na temat dlaczego studentom **„jakoby opadły skrzydła"?**

BEZ SKRZYDEŁ

tom **„jakoby opadły skrzydła".** Chodził, pytał, słuchał co ludzie mówią, a potem wszystko opisał w „Dzienniku Popularnym".

Z obszernego raportu wynika, że — jak to przyznaje ze wszech miar dociekliwy autor — **„w owym podejrzeniu o uwiadzie skrzydeł jest chyba sporo racji".** Ale dlaczego

A nie mamy to przypadkiem ważniejszych zmartwień. Może jak z nimi się uporamy, to i studentom odrosną skrzydła? Studenci póki co niech się dobrze uczą. Później im się to przyda do udziału w różnych dyskusjach.

B. S. Tudent

Będziemy mieli nowe zjednoczenie

Metoda jest taka. Jeśli gdzieś się dzieje nie najlepiej, to albo się coś łączy, albo dzieli, albo tworzy się nowe zjednoczenie. Takie właśnie zjednoczenie ma powstać w rozrywce. Będzie się ono nazywało „Estrada Polska". Ale to jeszcze nic pewnego, gdyż jak to ujawnili w „Sztandarze Młodych" Ryszard Naleszkiewicz — „SM", Andrzej Jóźwiak — „Łódzka Estrada" i Józef Pielka — ZG ZSMP, nikt z nich nie widział projektu reorganizacji przedsiębiorstw estradowych w Polsce. To znaczy nikt z wyjątkiem Andrzeja Jóźwiaka, któremu jakiś znajomek pożyczył ten program na kilka godzin. Teraz w Ministerstwie Kultury i Sztuki trwają poszukiwania tego, kto naruszył tajemnicę i udostępnił dyrektorowi „Łódzkiej Estrady" tajny projekt.

I to jest to! Z rozrywką nie jest najlepiej, ale będziemy mieli nowe zjednoczenie i nadal nie będzie przez to lepiej. Żeby jednak ktoś rozsądny przypadkiem nie skrytykował takiej metody ratowania rozrywki, cała rzecz przygotowuje się w głębokiej tajemnicy. Słusznie, gdyż najbardziej ze wszystkiego potrzeba nam nowych zjednoczeń.

P. O. Nury

Tygodnik „RAZEM" (nr 46) zajął się szaletami w województwie miejskim łódzkim (w rubryce „po znajomości").

Dziennikarz (nomen omen) Bajorek donosi, że „w łódzkiej aglomeracji miejskiej, na ponad milion mieszkańców, jest rap

Szalety znowu na łamach

tem 50 szaletów publicznych, przy czym według oceny „Sanepidu" tylko w 20 istnieją odpowiednie warunki do...".

Ponieważ tematem tym zajmowała się prasa — w tym także łódzka — dwa, trzy, pięć, osiem, dziesięć dwanaście itd. lat temu, my go już nie podejmujemy. Z satysfakcją odnotowujemy jednak kolejny powrót szaletów na łamy.

(t.s.)

Nie ma czego zazdrościć

„JAK TAŃCZYŁAM Z KARELEM GOTTEM" — chwali się w „Głosie Robotniczym" Jadwiga Wasiak.

Wszystkim Czytelniczkom „Głosu Robotniczego", które przez zazdrość nie przeczytały wyznań Jadwigi Wasiak, wyjaśniamy, że zupełnie nie ma czego zazdrościć. I to z kilku powodów.

Po pierwsze — Jadwiga Wasiak nie była w Pradze tylko w Rydze. Co prawda w Rydze też można spotkać Karela Gotta, ale...

Po drugie — Jadwiga Wasiak nie spotkała Karela Gotta, a jedynie studenta szkoły aktorskiej, który Karela Gotta parodiował.

I po trzecie — wcale z nim nie tańczyła, tylko w czasie dyskoteki — jak przyznaje — **„udało mi się w tłoku wpaść na Karela Gotta"**, a ściśle na studenta, który Karela Gotta parodiował.

Poza tym wszystko się zgadza.

Zyg.

GRUNT TO DYSKRECJA

Jan Himilsbach zwierzył się Janowi Piaseckiemu, że zdarza się, iż aktorzy teatralni proszą go o ułatwienie im odbycia kilku dni zdjęciowych. **„Trzem załatwiłem** — powiedział Jan Himilsbach — **ale to jest sprawa żenująca".** Przez dyskrecję nie ujawnił nazwisk. Wśród aktorów rozpoczęły się domysły: kto prosił Himilsbacha o protekcję i komu załatwił?

Zwierzenie Jana Himilsbacha ukazało się w „Sztandarze Młodych". Są tam jeszcze inne ciekawe szczegóły.

L. E. Ktor

Poczta „Załącznika"

Moi Drodzy, okazało się, że trzeba wracać do pewnych lektur dzieciństwa. Dawno już nie czytałem Wilhelma Tella i chyba dlatego wypsnął mi się błąd w rodzaju Theil (fraszka w „Odgłosach"), po którym uzdolnieni rymotwórczo czytelnicy mieli prawo zakrzyknąć ze zgrozą:

Z kuszy Tella
byki strzela.

Na szczęście nie jestem, jako człowiek, odosobniony w błądzeniu, wszak „errare humanum est". Nawet moja wykształcona redakcyjna koleżanka Bogda Madej przypisała Kopernikowi poglądy, od których wielki astronom zwiją się od śmiechu. Nie wstrzymamy chyba Słońca, ani Ziemi ale na przyszłość wstrzymamy się od błędów, co solennie przyrzekam.

KONRAD FREJDLICH

HORACY SAFRIN

W czasie robót polnych

Spostrzegłszy nieznanego osobnika w życie,
brygadzista nań huknął: „Co wy tu robicie?!"
„Nic nie robię — rzekł młodzian
zapatrzony w chmury —
Jestem wszak instruktorem tylko od kultury".

Nagrobek prelegenta

Tu spoczywa prelegent. Błogim snem się raczy.
Cóż? Poszedł za przykładem setek swych
słuchaczy.

BYŁ, ALE NIE W ŁODZI

„Kultura" poinformowała swoich Czytelników:

„W kraju przebywał Artur Rubinstein. Prócz Warszawy był m.in. w Łodzi i Żelazowej Woli...".

„Kultura" myli się. Artur Rubinstein w Łodzi nie był, choć go tu oczekiwano. Nawet uporządkowano kamienicę przy ul. Piotrkowskiej, w której w przeszłości miał mieszkać mistrz. Ale nic z tego. Była tam tylko ekipa francuskiej telewizji.

N. N.

FELIKS RAJCZAK

Warunek

Chcesz pracować
I żyć w spokoju?
Nie wyprzedzaj
Szefa w rozwoju.

To oni

To oni się zajmują kulturą?
A kultura nie jest ich naturą.

DAWNIEJ

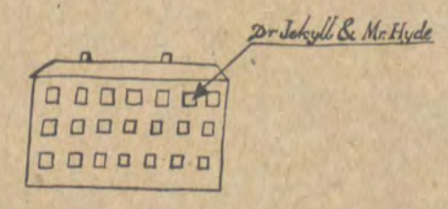

DZISIAJ

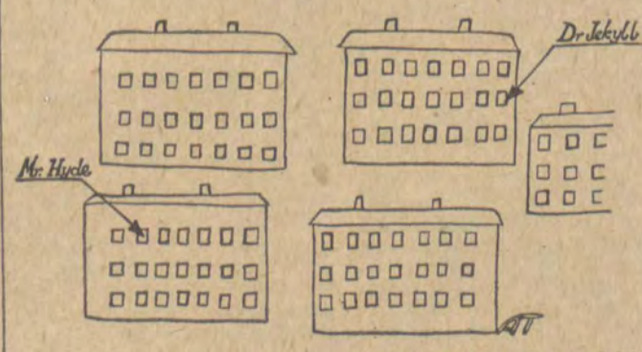

Rys. Andrzej Tylczyński